





Strien

№ 000531 *

JAN WAŚNIEWSKI

OGNIE W PIRYTACH

Warszawa - 1935

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”



86834

DRUKARNIA ARTYSTYCZNA
W A R S Z A W A
NOWY-ŚWIAT 47
TELEF. 635-80



Motto:

Próżność — to silny popęd, równie
chyba silny jak miłość. Być! Zna-
czyć!... Żeby wiedzieli, mówili, chwa-
lili...

Zygmunt Kisielewski

I.

LUDZIE „HERAKLESA“.

Bywają instytucje, które przez długie lata działa-
ją sprawnie i bez zarzutu, niby dobrze nakręcony me-
chanizm. Gdy jednak w tym mechanizmie zbraknie jed-
nego, nawet drobnego kółka — cała maszyna zaczyna
odrazu kwękać, skrzypieć i klekotać.

Kopalnia cynku i pirytu „Herakles“ była dobrze
zmontowanym zakładem i funkcjonowała przez ćwierć
wieku bez większych wstrząsów. Później przyszły na
nią czasy burz, zawieruch i niepowodzeń...

Zaczęło się od nikłego pozornie faktu. W upalny
dzień sierpnia o ósmej rano — jak codziennie od wie-
lu, wielu lat — przed dom zawiadowcy kopalni zaje-
chał powóz, żeby go odwieźć do biura. Na ganku uka-
zała się drobna postać inżyniera Roncewicza. Schodził
ze schodów ze swym zwykłym, napół dobrotliwym, na-
pół zakłopotanym uśmiechem. Wsiadłszy do powozu, po-

kręcił ryżą, już mocno siwiejącą bródkę, i rzucił furmanowi z kresowym śpiewnym akcentem:

— Ruszajcież, Ścigaj, proszę, ruszajcież.

Powóz potoczył się szosą prowadzącą od Krążka, miejsca zamieszkania inżyniera, do Tłukienki.

Roncewicz zdjął kapelusz i jechał z gołą głową wciąż jednak ośmieszony. Czuł lekką duszność.

— Astma, czy co? — myślał.

Postanowił nie zjeżdżać dzisiaj na dół, gdyż prócz duszności dolegał mu w sercu jakiś nieprzyjemny ucisk.

Wszedłszy do biura, zawołał woźnego:

— Józefie, czy pan nadsztygar jest jeszcze w biurze?

— Przed chwilą wyszedł do łaźni...

— At, szkoda, chciałem ja jemu coś rzec.

— Pan sztygar Łuczyński jeszcze nie zjechał.

— Pan Łuczyński to już nie to...

— Mam polecieć po pana nadsztygara? Może się jeszcze nie przebrał...

Roncewicz zastanowił się chwilę, a później machnął ręką:

— At, nie warto... Jak zjechał, to i zjechał. Powiem jemu jutro...

Zaczął przerzucać papiery, niektóre podpisując, niektóre odkładając na bok. Potem go to znudziło, więc jął wyglądać przez okno. Ucisk serca stawał się silniejszy, dusznica bardziej dokuczliwa. Kilkakrotnie odechnął z wysiłkiem, wciągając powietrze głęboko.

— A ot i starość przyszła, nie wiedzieć kiedy...

Słoneczny dzień był prześliczny. Powietrze rozedrgało się od upału i falowało po pagórkach, ubogich polach, po zieleni sadów i ogródków.

Roncewicz wstał z dużego fotela, w którym jego drobna postać zdawała się niknąć, i ująwszy w rękę kilofek, wyszedł z gabinetu. Minął biuro, minął zabudowania kopalni i począł się wdrapywać na wysoką kamienistą hałdę. Znalazłszy się na szczycie, przysiadł

na kamieniu. Dobrotliwy uśmiech nie znikał mu z twarzy, gdy patrzył na okolicę, na żółte zwały miału galmanowego, na pryzmy rdzawej rudy, na wieże szybu wyciągowego... Wszystko to było od niego dość daleko, bo od kopalni dzieliła go skalista paszcza wylotu pochylni...

Od szybu dochodziły odgłosy sygnałów i dudnienie wozów, a wąskim kominem z hali maszyn prychała para miarowemi wyfukami...

— Ot, idzie, jak zegarek... — myślał, wsłuchując się w odgłos pracy kopalni -- Niemałoż ja się napracowałem, żeby tu tak było, niemało! Trzydzieści dwa lata.

Rozumiał zasługi, które oddał kopalni, lecz z tej roli, jaką odgrywał na „Heraklesie“, niezbyt jasno zdawał sobie sprawę. A rola była bardzo ważna i doniosła. Ten drobny, niepozorny i w gruncie rzeczy nieśmiały człowieczek posiadał w wysokim stopniu umiejętność rządzenia i kierował wszystkim z nadzwyczajnym taktem i spokojem, doskonale orjentując się w charakterze swych podwładnych, których potrafił odpowiednio użyć.

Słońce przygrzewało coraz silniej, wtaczając się wyżej i wyżej na niebo. Zbliżało się południe... Do uszu Roncewicza doleciało metaliczne uderzenie sygnału. Bito z dołu trzy razy na znak, że mają wyjeżdżać ludzie. Para fuknęła powolniej — szyb dudnił dłużej... Po chwili na nadszybiu zahuczał mocny bas nadsztygara Walickiego, wyrzucającego jakieś urywane rozporządzenia.

Roncewicz uśmiechnął się szerzej, jak na coś dobrze sobie znanego. Bez tego grubego głosu, rozlegającego się na kopalni już od dwudziestu ośmiu lat, trudno było ją sobie wyobrazić. Bas Walickiego stanowił jakby jakąś nieodzowną część kopalni, coś organicznie z nią związanego, nieodzownego jak maszyny, jak pompy, jak wieża szybu...

Walicki był olbrzymem, pełnym energii, siły woli i ambicji. Od kilku lat Roncewicz powierzał mu gros swoich obowiązków, będąc pewnym, że się na nim nie zawiedzie. Nadsztygar spełniał wszystko chętnie, bo jego życiowa energja domagała się pracy i utrudzenia, a ambicja pożądała władzy. Kopalnię znał na wylot i w szczegółach rządził nią samodzielnie, bo słabowity, starzejący się szybko Roncewicz pozostawił sobie decyzje tylko w sprawach najważniejszych. Znaczenie Walickiego na „Heraklesie“ utrwaliło się również z tego powodu, że zawiadowca, jako człowiek nieśmiały, unikał bezpośredniego wydawania rozporządzeń niższym funkcjonarjuszom kopalni, wyręczając się nadsztygarem. Odbывał z nim zwykle długie konferencje, na których ustalano plan postępowania, a potem Walicki wykonywał to, co we dwóch postanowili.

Roncewicz spojrział na plac kopalniany. Olbrzymi Walicki w zażółconem rudą ubraniu szedł w kierunku składu drzewa i wołał coś do stróża.

— Tak, tak — pomyślał inżynier. — Toż nietylko ja mam zasługi względem „Heraklesa“, ale my obaj, a właściwie...

Spojrział na zegarek. Dochodziła dwunasta.

— Właściwie i Łuczyński, który o tej porze powinien być na szosie przed łaźnią.

Przeniósł swój wzrok w tamtym kierunku i znów się uśmiechnął.

— A i jest tam, jak zawsze... Akuratny!

Na szosie tkwił jak czapla sztygar Łuczyński w swym białym kitlu od kurzu. Gruby, w nasuniętej na oczy cyklistówce, czekał na konie, które go miały odwieźć wraz z Walickim na Krążek.

— Ot, jakież to dziwne, dziwnieńkie... My, trzech ludzi zupełnie różni i z wyglądu, i z charakteru, działamy jakoś wspólnie, niby jeden. Nawet bez porozumienia, a tak i działamy, jak... jak... — szukał chwilę w myśli porównania — jak te koła trybiaste od maszyny

ny... Czas to nas tak ustalił i wygładził, że się zają-
biamy...

Porównanie było trafne. Trzej starzy ludzie uzu-
pełniali się wzajemnie i pod ich opieką „Herakles“
kwitł i rozwijał się bez większych wstrząsów i niespo-
dzianek w ciągu dwudziestu pięciu lat.

— Czas iść! — pomyślał.

Dźwignął się szybko i naraz świat mu się zakręcił
i zawirował w oczach. W jakimś szalonym tempie, jak
jedna barwna, a zamazana wstęga przeleciała mu przed
oczami wieża szybowa, żółte hałdy, skaliska pochylni,
chałupy, szosa, a potem już tylko zieleń i zieleń pól...
Zachwiał się i upadł na ostre kamienie zwałów...

Gdy się obudził, dostrzegł nad sobą olbrzymią twarz
Walickiego, który nachylał nisko swe grube rysy oko-
lone szpakowatą, ciemną brodą. Z wielkich oczu nad-
sztygara wзираł niepokój.

— Co panu jest, panie zawiadowco, co panu jest?

Roncewicz dostrzegł na czubku potężnego nosa Wa-
lickiego długi ciemny włos. Wydało mu się to bardzo
śmieszne.

— Nic takiego, nic! — uspakajał, czując jakieś mi-
łe wyczerpanie, które czyniło cały świat odległym i da-
lekim.

— Może pan wstać?

— Naturalnie...

Chciał się podeprzeć na ręce, ale syknął z bólu.
Upadając, rozciął sobie dłoń o kamienie... Ból przywró-
cił mu całą świadomość.

Walicki dźwignął go pod ramię i ostrożnie sprowa-
dzał po urwistym zboczu hałdy.

— Któż to widział na taki upał z odkrytą głó-
wą?... — gderał, miarkując swój zbyt donośny bas.

— Już lepiej... — szepnęła inżynier.

— Kolego Łuczyński, — huknął naraz Walicki —
a poślijcie tam kogo do biura po Ścigaja, niech za-
jeżdża.

Tęga figura sztygara obróciła się ku idącym, a oczy spojrzały obojętnie spod daszka cyklistówki.

— A bo co?

— Jakto co? Przecież widzicie, że mi pan inżynier zwisa na rękach! Znalazłem go zemdlonego.

— Tak, proszę bardzo, panie sztygarze, po Ścigaja, bardzo proszę. I przepraszam za kłopot... — uśmiechnął się z zakłopotaniem inżynier.

Łuczyński potoczył się, jak bryła, ku łaźni, skąd po chwili wypadła szychciarka, gnając po Ścigaja.

Walicki ulokował inżyniera w powozie i odwiózł do domu.

— O, Jezu najśłodszy! — wykrzyknęła stara gospodyni Roncewicza na widok swego pana — O Jezu...

— Nie krzyczeć, nie krzyczeć!...

Ułożył Roncewicza na łóżku.

— Pani Marjanno, po łód do piwnicy, ale szybko... A Ścigaj po doktora.

— Dziękuję panu, nadsztygarze, dziękuję! — drobna dłoń inżyniera zacisnęła się mocno wokół wielkiej czerwonej ręki Walickiego.

— Zaraz panu będzie lepiej, tylko ten łód przyniosą...

— Przecież chyba nie umieram? — szepnął Roncewicz i przejął go dreszcz strachu.

— Co też pan zawiadowca?...

Olbrzym krzątał się i zabiegał koło chorego z delikatnością troskliwej opiekunki...

Doktór pochwalił pierwsze zarządzenia Walickiego i kazał inżynierowi przez tydzień leżeć w łóżku.

— Wyleczymy pana zawiadowcę, wyleczymy!... — zapewniał nadsztygar.

Wychodząc od Roncewicza, dostrzegł Łuczyńskiego w ogrodzie. Sztygar siedział przy stole, ciągnąc z dużego kufła piwo i wycierał spocone czoło.

— Ten ma nerwy, psiakrew... — pomyślał Walicki.

— Jakże tam zawiadowca? — spytał sztymar.

— Lepiej, znacznie lepiej!

— To chwala Bogu! — uciał Łuczyński, podnosząc kufel do ust.

Nadsztymar skinął mu głową i skierował się ku domowi, mieszczącemu się naprzeciwko mieszkania zawiadowcy po drugiej stronie szosy.

Łuczyński powoli suszył swój kufelek... Podobnie jak Roncewicz, był starym kawalerem i odznaczał się niezmaconą równowagą. Spokój i obojętność na sprawy tego świata wyzierały nawet z jego ruchów i postaci. Gruby, nalany — zwracał się do świata dwoma potężnymi zaokrągleniami, z których jedno — większe i szersze — wystawało naprzód jako brzuch, drugie — pałakowate plecy — warowało sobie spokojnie stylu pod apoplektycznie czerwonym karkiem. Na kopalni odgrywał znaczną, choć zupełnie niewidoczną rolę. Młodszy kolega Walickiego ze Szkoły Górniczej, próbował swego czasu konkurować z nadsztymarem, ale za leniwy i za wygodny — walkę odrazu przegrał. Zepchnięty na drugi plan, bardzo wcześnie począł zaspakajać swe ambicje na innym, dużo szerszym polu. Zamiłowany etnolog i znawca historii górnictwa, wydał z tych dziedzin kilka prac, które znalazły uznanie w kołach naukowych. Zdobywszy w ten sposób trochę sławy i rozgłosu, spoglądał na swe obowiązkowe zajęcia z pewnego rodzaju dobrotliwą wyrozumiałością. Nie przeszkadzało mu to wszakże podsuwać Walickiemu jakieś dobre projekty, a że czynił to zawsze głosem spokojnym, niemal znużonym, w którym nie można się było doszukać ani drobnej nutki jakiejś chęci przodowania, więc nadsztymar zwykle projekty przyjmował i wprowadzał w czyn z żelazną konsekwencją. Niejednokrotnie, gdy przy realizowaniu idei Łuczyńskiego praca aż kipiała — sam projektodawca obnosił na krótkich nogach swą tęgą postać po kopalni i zdawał się niczego nie dostrzegać.

Wierny swym zasadom zachował również obojętność wobec wypadku z Roncewiczem...

Od tego sierpniowego dnia coś się zaczęło zmieniać na „Heraklesie“...

Roncewicz wprawdzie wrócił po tygodniu na kopalnię, lecz ze zdrowiem jego było coraz gorzej. Prócz niedomogi serca przyplątała się jakaś złośliwa choroba żołądka i coraz częściej powtarzały się okresy, że po dwa i trzy tygodnie nie zjawiał się na kopalni. Wreszcie jesienne słońce zupełnie zwały go z nóg.

Gdy świat zaniósł się bezustannemi pluchawicami, a szyby ociekały bez końca kroplami dżdżu — mały, drobny Roncewicz tonął w swem łóżku samotny i opuszczony. Policzki żółkły mu na niezdrowy kolor pergaminu, a zmarszczki poźłobiły je, łupiąc twarz na kawały. Zwykły zakłopotany uśmiech wyrodził się w wyraz cierpienia, z którym inżynier patrzył przez duże okna na poszarzały świat. Do wielkiego pokoju, gdzie stały tylko najniezbędniejsze sprzęty, zaglądała co chwila bezzębna Marjanna, a każdego popołudnia zjawiał się tam Walicki. Składał raporty swym huczącym basem, zapytywał o zdanie, przedstawiał projekty...

Roncewicz witał wchodzącego olbrzyma uśmiechem wywoływanym na usta siłą woli. W miarę czasu coraz mniej zwracał uwagi na to, co nadsztygar mówi, myśląc zupełnie o czem innem. Potem sprawy kopalniane zaczęły go drażnić.

— Panie Zygmuncie, — rzekł kiedyś — Wie pan, co ja panu powiem?

— Słucham.

— Niech pan mi nie mówi o kopalni.

Walicki zdziwił się:

— Dlaczego?

— Dalekaż ona jest teraz odemnie, ach, jak daleka... Pójdę ja pod ziemię, ale w inny sposób... I aż żal, że

w taki oto czas, na taką mokrzycę. — wskazał oczami na rozdeszczony świat.

— Ależ, panie zawiadowco...

Nadsztygar spojrział na drobną figurkę. Chude kolana bodły starą, czerwoną koldrę, formując dwa wysokie, śpiczaste wzgórza; wychudzona twarz zapadła we wgłębienie poduszki, cała zaś postać wyrażała bezradność niemal dziecięcą. Walickiego wzruszyło starokawalerskie osamotnienie zawiadowcy.

— Przychodziłem — rzekł — żeby pana rozerwać, pocieszyć, ale może moje odwiedziny pana męczą...

— Ależ nie! Rad jestem panu i wdzięczny za wizyty, tylko już raportów słuchać się nie chce.

Walicki zastosował się do życzeń zawiadowcy, nie przestając go odwiedzać i troszczyć się o jego zdrowie.

Jako człowiek silny, nigdy nie żywił specjalnego szacunku dla swego zwierzchnika, teraz jednak darzył go głęboką sympatją i serdecznością.

— Muszę go wyleczyć! — postanawiał i sprowadzał coraz nowych lekarzy.

Troskliwość, jaką roztaczał nad chorym, miała w sobie również nieco wyrachowania. Walicki kochał władzę i obawiał się, że utraci ją wraz ze śmiercią zawiadowcy. Następca może nie okazać się względem niego równie powolny, jak ten schorowany drobny człowieczek.

Kiedy miejscowi doktorzy nie pomagali, sprowadził jakąś sławę z Krakowa. Odbyło się konsyljum. Po zbądaniu lekarze wyszli do sąsiedniego pokoju.

Doktor Słucki z Krakowa, przecierając chusteczką binokle, oznajmił:

— Złośliwy nowotwór w przewodzie pokarmowym.

— Zupełnie to samo mówiłem! — poparł go lekarz kopalniany.

— To możeby operacja?.. — wtrącił Walicki.

Słucki, nie przestając wycierać binokli, mruknął.

— Serce nie wytrzyma!

— Więc co, więc jak? Czyż ma umierać?

— Ciszej, panie!...

Nadsztygar zniżył głos do szeptu:

— Przecież trzeba go jakoś ratować...

Doktór machnął ręką:

— Sprawa beznadziejna!

Od tej pory Walicki sposepniał zupełnie. Nie mógł sobie wyobrazić, co będzie, gdy Roncewicza nie stanie... Przecież on jest potrzebny, on jest konieczny, żeby „Herakles“ szedł, jak do tej pory! Odwiedzał chorego nadal, patrząc, jak ten niknie w oczach. Roncewicz tak z dnia na dzień obojętniał na wszystko, że nawet nie dziękował mu za pieczołowitość. Wdzięczność wyrażała jedynie stara gospodyni — baba chuda, z wystającym brzuchem i dwoma wielkimi zębami w zapadłych ustach, które chwyciła charakterystycznym ruchem dłoni.

— Zmieni się tu wszystko, zmieni, gdy jednego z nas zabraknie! — myślał Walicki.

Zastanawiając się nad przyszłością, żywił nieśmiałą nadzieję, że po Roncewiczu nie zamianują następcy, a powierzą kopalnię jemu, jako samodzielnemu nadsztygarowi. Pragnął się dowiedzieć, co o tem myśli Łuczyński, lecz jakoś nie śmiał go indagować.

Któregoś dnia późną jesienią Roncewicz czuł się bardzo źle. Wychudły, żółty, z przymkniętymi oczami — jęczał boleśnie... Walicki nachylił się nad nim i spytał:

— Jak się pan zawiadowca czuje?

Chory zaczął rzucać głową po poduszce, jakby chciał odpędzić od siebie ten gruby, tubalny głos, męcący mu spokój.

— Jest źle, jest bardzo źle! — pomyślał Walicki i na palcach wyniósł się z mieszkania.

Pchnął posłańca do biura, aby stamtąd zatelefono-
wano po doktora.

— Niech przyjeżdża natychmiast!...

Nie mógł długo usiedzieć w domu i po półgodzinnem

przerzucaniu gazety poszedł do Łuczyńskiego. Sztýgar majstrował coś swoim zwyczajem przy stole zarzuconym książkami i narzędziami. Na pokój biło gorąco od silnie nagrzanego pieca i Łuczyński był bez marynarki.

— Niema to, jak wasz spokój! — wybuchną Walićki — Człowiek umiera, a wy sobie dłubiecie swoje ramki!

— A cóż mam robić? Przecież przeciw prawu natury nic nie poradzę. Człowiek się rodzi, chodzi po świecie, a potem umiera. Tak już matuś-przyroda to wykombinowała.

— Wasz spokój zawsze mi imponował, lecz teraz mnie drażni.

— Taak? To źle trafiliście ze zwierzeniami, bo dla mnie spokój jest wszystkim. Ja nawet w ubikacji mam oprawioną w ramkę dewizę: „Nie spiesz się!“.

— Zaczynacie już kpić z samego siebie, co?

— Jakto zaczynam? Ćwiczę się w tem oddawna. Gdy człowiek jest sobie marnym sztygarkiem, nie wolno mu podkpiwać z wyższych i musi, nolens-volens, ostrzyć dowcip na swej własnej osobie. W ten sposób przynajmniej nie naraża się nikomu.

Łuczyński mówił to wszystko spokojnie i bez uśmiechu. Twarz mu spotniała i wicherki rzadkiej czupryny ciągnionej „na pożyczkę“ spod ucha, sływały na czoło.

Wygadawszy się, sapnął i począł dalej majstrować. Walićki patrzył na jego mięsiste ręce.

— Ostatniem zdaniem scharakteryzowaliście się znakomicie. — zaczął.

— Jakiem?

— Że nie chcecie się narażać... To wasza zasada, w której cały się mieścicie.

— Tak, to moja zasada!

— Właśnie chciałem z wami o tem porozmawiać...

W tej chwili pchnięto drzwi gwałtownie i do pokoju wtoczyła się gospodyni Roncewicza. Popatrzyła na obu, jakby ze zdumieniem, i oznajmiła:

— Pan umarł! — pcczem obtarła sobie bezzębne usta, jakby zdejmując z nich niewidzialną pajęczynę.

— Co?

— Pan umarł! — powtórzyła, zachlipawszy naraz cicho i przenikliwie.

Walicki porwar się na równe nogi. Gospodyni utarła nos w fartuch z wielkim hałasem i dodała:

— Przed chwileczką! O, Jezu Najśladzzy!...

Wyszli wszyscy troje.

Walicki przemierzył duży pokój, huczając olbrzymimi krokami, i zbliżył się do łóżka Roncewicza... Pod kołdrą rysowały się kontury wychudłych zwłok. Kosmyki rudo-siwawych włosów plamiły głęboki wkłās poduszki.

— Stało się! — mruknał Walicki, dotknąwszy zimnej ręki nieboszczyka.

W dzień pogrzebu deszcz padał od samego rana. Niebo kotłowało się chmurami, które pełzały nisko, szare, oślizgłe, wydłużone, jak tumany... Listopadowy wiatr szalał, wirował, ciskał się na wszystkie strony i, porywając deszcz, pluł nim wprost w twarze uczestników orszaku, zdążającego od pobliskiego kościoła na cmentarz. Mimo niepogody ludzi zgromadziło się mnóstwo, lecz każdy pragnął, żeby się ceremonia jaknajrychlej skończyła.

Przy mogile, wykopanej w żółtym, gliniastym gruncie, skupili się wszyscy urzędnicy. Popychani przez tłum coraz bardziej się stłaczali, przestępując z nogi na nogę w mokrem bloku. Walicki sterczał po przeciwniej stronie mogiły na podwyższeniu, skąd miał wygłosić krótką mowę, i widział wszystkich dokładnie. Tuż nad brzegiem świeżego grobu opierał się naporowi ciżby wysoki, o szerokich barach sztygar Targowski. Stał z podniesionym kołnierzem palta, a pod nosem czerniały mu starannie pielęgnowane wąsy, stercząc na obie strony, niby kokardy krawatu... Tuż przy nim szef biura Biernacki... Dalej ruchliwy, wygadany i zawsze giestykułujący markszajder Rzuchowski, który

gwałtem narzuciwszy sobie spokój, czuł się nieswojo i mrugał nerwowo lewem okiem. Maszynistka, panna Strzałkówna, wzięła to widocznie do siebie, więc odwróciła się doń bokiem, ukazując swój ładny owalny profil... Mały, krępy sztygar Kwiecień patrzył przez cały czas na córkę Walickiego, Wiktorję, z którą był od kilku lat zaręczony. Pani Walicka — pulchna, czerwona osoba — sapała astmatycznie, wciśnięta między dozorcę Gładysza, któremu sięgała mniej więcej pod pachę, a swego starszego syna Andrzeja, dwudziestokiloletniego wesołego blondyna o zadartym nosie.

Walicki spozierał na podwładnych ponuro... Czuł jeszcze teraz nad nimi swą władzę, ale wyobrażał sobie, jak się od niego w przyszłości odwróca. Miał wrażenie, że wraz z Roncewiczem zstępuje do grobu jego znaczenie na kopalni. Przeczuwał, że stary porządek się rozprzęgnie, a nie umiał sobie wyobrazić nowego i w gruncie rzeczy ubolewał nietylko nad sobą, ale i nad całym „Heraklesem“.

Rzucił okiem w bok i dostrzegł bryłową postać Łuczyńskiego... Pogoda uczyniła ze sztygarem dziwne rzeczy. Nasiąkły płaszcz zwiślał z figury bezwładnie, spadając od brzucha wdół sztywnymi połami. Na głowie wiatr wzdął mokre włosy, że sterczały nakształt płotu, warującego u szerokich, białych równin łysiny odsłoniętej teraz dokładnie. Mokre oblicze wyrażało ten sam co zawsze, spokój i obojętność.

— No, ten się niczem nie przejmuję! — pomyślał Walicki.

W tej chwili ksiądz trącił go w ramię.

— Czas przemówić.

Walicki zaczął basem huczeć swą mowę.

Po skończonej uroczystości tłum szybko topniał, znikając pośpiesznie z cmentarza... Nadsztygar ujął żonę pod rękę i ruszył do domu. Przed nimi szli narzeczeni: wysoka, wspaniale zbudowana Wiktorja,

o ruchach spokojnych i nieco wyniosłych, oraz pękaty Kwiecień. Andrzej gdzieś się ulotnił.

Obiad minął w milczeniu... Zaledwie się skończył, Walicki wstał od stołu i przeszedł do swego pokoju. Położył się na kozetce i przymknął oczy...

Jak to teraz będzie na „Heraklesie“?... Hm... Gdyby on objął kopalnię, potrafiłby utrzymać dawny jej rozkwit... Zna instytucję, zna jej pracowników.

Przed przymkniętymi oczami przedfilowali wszyscy ludzie i wszystkie sprawy, związane z „Heraklesem“....

...Rzuchowski... Co on teraz robi?... Aha... Flirtuje ze Strzałkówną, albo wysłuchuje filozoficznych uwag Łuczyńskiego, który tłumaczy mu, na czym polega wyższość stanu kawalerskiego nad małżeńskim. Jeżeli rozmawiają oddawna, to obaj są lekko wstawieni, i Rzuchowski śmieje się rozgłośnie, krzyczy, wymachuje rękami; Łuczyński zaś, nadawszy obie swe wypukłości, siedzi przy stole, jak kloc, i przemawia głosem pozornie znudzonym, kończąc każdy z dowcipów zdaniem: „A więc, mówię ci, nie żeń się, kochasiu“...

Zdolni ludzie... No, Rzuchowski trochę za mało pracowity...

...Kwiecień jest w sąsiednim pokoju i radby się jakoś zbliżyć do Wiktorji, ale niebardzo śmie. Zbyt mu imponuje jego wyniosła, opanowana narzeczona, więc się trochę zasępił...

...Wiktorja rysuje wzory, lub tylko opisuje pomysł nowego kilimu.

— Pięknie będzie, zobaczysz... Już ja je nauczę...

Niedawno skończyła Wydział Zdobnictwa Artystycznego i obecnie z zapalem młodej nauczycielki dzieli się swą wiedzą z uczenicami szkoły zawodowej, gdzie już drugi rok pracuje...

...Układny Targowski uśpił cichym głosem i oficjalnymi pieszczotami swoją kwękającą żonę i przemyśliwa, jak tu przebrnąć po błocie do młodej wdówki,

nauczycielki we wsi Wodąca — pani Ireny Przeclawskiej...

— Romans przeszkadza mu w pracy. Trzeba go silniej kontrolować...

...Gładysz targa swe piękne wąsy... Najeżył się, zasumował... Może przeżuwa słodką myśl zemsty... Może kombinuje, w jaki sposób podejść swą młodą żonę, którą posądza — nie bez słuszności — o romans z Andrzejem, rodzonym synem Walickiego...

...Biernacki już zapewne w biurze, bo to ideał, wzór urzędnika...

Gdyby Walicki chciał, mógłby tak pokolei wyliczyć, co teraz robią wszyscy ludzie „Heraklesa“, mógłby ich scharakteryzować... Jest jednak nieco senny...

— Tak czynią ludzie „Heraklesa“... — myśli — A „Herakles“ sam? Ba... „Herakles“...

Z temi słowami usypia...

II.

„HERAKLES“ SAM.

W skaliste łańcuchy pagórów i wzniesień jury krakowsko-wieluńskiej wdarła się długa płaszczyna olkuskiej doliny. Wędrujące piachy rozlewają się po niej szerokimi jezorami, zastygłe w swym suchym bezruchu, jak jakieś olbrzymie martwe jeziora. Gdzieniegdzie krzewy jałowca, najczęściej zaś zwarty bór sosnowy przeciwstawił się lotnym piaskiem, zwalczył, je, lub odparł dalej, i stoi murem gęstych pni, broniąc życia przed zalewem pustyni. Gdyby się wznieść wysoko i z lotu ptaka rzucić okiem na kotlinę, mieszałyby się na niej żółty kolor piasków z zielenią lasów liściastych i iglastych... W samym środku kotliny, zdala od białej wstęgi szosy Miechów—Sosnowiec, gurbią się wielkie kretowiska dwóch sąsiednich kopalń: „Bolesławia“ i „Herakle-

sa". Przepaściste zapadliny czynnych i porzuconych odkrywek zstępują wglęb ziemi, a żółte hałdy galmanu warują obok nich, jak długie cielska przedpotopowych olbrzymów.

Między rozwałami starych hałd, w pobliżu nieczynnych oddawna odkrywek, sterczy wieża szybu wyciągowego... Wokół kilka budynków: płóczkarnia, hale z maszynami, łaźnia — i oto cały „Herakles“. Po dawnych kopalniach zostały jeno nazwy: odkrywka „Jerzy“, szyb „Anna“, oraz kilka murowanych domów we wsi Krążek. Zarząd kazał je przebudować na mieszkania i ulokował tam niektórych urzędników. Z tego powodu zawiadowca, nadsztygar i dwaj sztygarzy mieszkali o półtora kilometra od „Heraklesa“, a tylko pozostali funkcjonariusze kopalni rozlokowali się na Tłukiencie, t. j. w tej wsi, gdzie mieściła się kopalnia. Od kilkudziesięciu więc lat zawiadowca powozem, a jego podwładni trzęsącą się bryczuszką, czy raczej wasągiem, jeździli dwa razy dziennie z Krążka do Tłukienki.

Po obiedzie pani Walicka stawiała zawsze pasjan-sa i nadśluchiwała, czy nie zbliża się bryczka. Na turkot podrywała się z miejsca i toczyła nakształt samowarka do pokoju męża, wykrzykując.

— Zajechał!

Na to Walicki zrywał się na równe nogi, przeciągał, aż w stawach trzeszczało, i ziewając kłął:

— Psiakrew, że się to człowiek nigdy wyspać nie może.

Potem wychodził na podwórze, gdzie z jednej strony wasągu okrągłały wypukłości grubego Łuczyńskiego,—z drugiej zaś widniała wysoka, szczeropolska postać Grzymały, sztygara powierzchni. Walicki jednym olbrzymim krokiem wwałił swą osobę na bryczkę, sadowiąc się na tylnem siedzeniu po prawej stronie. Po lewej rozlewał się Łuczyński, a Grzymała siadał naprzeciwko nich obu.

Dzisiaj odbyło się wszystko według ustalonego od

lat kilkudziesięciu ceremonjału, z tą tylko różnicą, że zabrał się jeszcze z nimi Kwiecień, i że jadący milczeli na inny, niż zazwyczaj temat, t. j. na temat śmierci Roncewicza.

W biurze Walicki zasiadł w swym małym gabinecie, przylegającym do pokoju sztygarów. Kancelarja zawiadowcy znajdowała się po drugiej stronie korytarza i sąsiadowała z pokojem, gdzie pracowali urzędnicy biurowi.

Walicki dwukrotnie wchodził do gabinetu zawiadowcy. Szeleścił rulonami planów, grzebał w starych zakurzonych raportach... Korciła go myśl, żeby zacząć tutaj urzędować. Tu, za tem wielkiem biurkiem, w tym miękkim, skórzanym fotelu... Bał się jednak narażać na śmieszność. Przecież i tak wkrótce będzie musiał ustąpić miejsca nowemu zwierzchnikowi.

Wrócił do swego pokoju.

Na myśl o rychłych zmianach i o śmierci Roncewicza chwycił go taki żal, że rozczulił się nad nieboszczykiem niemal do łez.

— No, głupstwo! — pohamował się — Wszystko tu musi iść tak, jak szło do tej pory.

W tej chwili był przekonany, że „Herakles“ zawdzięczał swój rozkwit wyłącznie energii i rozumowi zmarłego i przerzekł sobie kontynuować pracę Roncewicza.

Rozwinął plan kopalni i przypiął pluskiewkami do blatu gładko wyheblowanego stołu. Od czarnych, zagmatwanych linijek płynął ku niemu rytm wysiłku i rozgwar pracy. Patrząc na plan, odczuwał tętno „Heraklesa“ i przenikał jego tajniki... W tem miejscu dojeżdżają teraz chodnikami do gniazda pirytu, tutaj drażą wiertarkami skałę galmanową, łyskającą gdzieś niedzie kruszczem.. Ta mała pochylnia z siódmego poziomu na piąty zaledwie może wydolać ruchowi wózków... Tam dalej na pół zawalone, na pół podsadzone zroby. Na planie wyglądają jak kłębowisko linii.

— Tych miejsc nigdy się nie ruszy. Roncewicz ka-
zał je omijać.

Zasłaniał się Roncewiczem i jego powagą, ale w
gruncie rzeczy obaj nabrali kiedyś przekonania, że
starą część kopalni należy zostawić w spokoju. Istniały
tam chodniki sprzed kilkuset lat, kute w skałach w tych
zamierzchłych czasach, gdy Olkusz słynął na całą Pol-
skę ze złóż srebra.

Nikt nie miał właściwie pojęcia, jak wygląda ta
część kopalni i nie umiałby jej nawet w przybliżeniu
odtworzyć, więc plany wcale nie były pewne. Na dole
wiała od niej zapachem siarki, na powierzchni zna-
czyła się głębokim wkłosem gruntu. Odór świadczył,
że gdzieś tam wśród zawalisk odbywa się proces utle-
niania pirytu, a wkłosa, że napór warstwie zmiażdżył
już chodniki. Kilkakrotne starania, aby dostać się do
prawdopodobnych złóż starej kopalni, lub zamiary prze-
kopania tam nowych chodników, kończyły się zawsze
nieszczęściem. Robotnicy nabrali jakiegoś zabobonnego
respektu dla pól - zawalonych zrobów, zaś zarząd, t. j.
Roncewicz i Walicki przed piętnastu laty postanowili
nie zakłócać spokoju sędziwym podziemiom.

— Tak będzie i teraz..

Odpiał pluskiewki, a plany zrulowały się same z
suchym szelestem..

Ręce sięgnęły po korespondencję. Jeden z pierwszych
listów brzmiał:

„Do

W. Pana Nadsztygara kopalni Herakles
w Tłukience.

Wobec śmierci ś. p. inżyniera Roncewicza, Zarząd
T-wa Górniczo - Hutniczego w Dąbrowie Górniczej po-
leca W. Panu pełnienie obowiązków zawiadowcy ko-
palni aż do odwołania.

Dyrektor (—) Stalkowski“.

— Do odwołania? Hm!... A więc nie zostawię mnie tutaj jako samodzielnego! Rychło zapewne nastąpi to odwołanie. Teraz jeanak jestem na stanowisku inżyniera.

Wstał z miejsca.

— Józefie! — zawołał na woźnego.

— Słucham pana nadsztygara.

— Przenieście mi te plany i papiery do gabinetu zawiadowcy.

Zasiadł wygodnie w fotelu, wyciągnął nogi i zapalił papierosa.

— No. przynajmniej przez kilkanaście dni...

Naraz czoło mu się zasępiło.

— Wszystko rozbija się o ten mały, głupi świstek papieru... Gdybym miał dyplom inżynierski, pozostałbym już na tem miejscu na stałe...

Poczuł, że to byłoby jedynem logicznem rozwiązaniem sprawy. Któż tu bowiem naprawdę rządził?

On!

Siadywał wprawdzie za tym stołem tamten drobny człowieczek o ryżawej bródce i dobrotliwym uśmiechu, ale on, Walicki, był zawsze duszą kopalni.

Roncewicz zmalął naraz w oczach nadsztygara. Mimo to nie mógł się pozbyć rozczulenia, gdy o nim myślał.

— Tak, ja tu działałem i tworzyłem... Myśleliśmy wszyscy trzej (bo i Łuczyński także), ale Roncewicz miał ten umiar, potrafił hamować moje zbyt daleko zdążające zapędy... Umiał dojrzeć sedno sprawy, i sam ostatecznie wszystko rozstrzygał.

Po chwili dodał z melancholją:

— Co to będzie bez niego?

Zdusił niedopałek papierosa w popielniczce i rzekł niemal głośno:

— Dobrze będzie!

Wstał z fotela, ujął w rękę papier, w którym główny zarząd przynaglał go do zwiększenia wydobycia błyszczu ołowiu i olbrzymimi krokami udał się do po-

koju sztygarów, gdzie wyhuczał całą litanję rozporządzeń.

— Zwłaszcza pan Targowski ma się postarać, by jaknajwięcej fedrować kruszcu. Na pańskim polu jest tego poddostatkiem...

Były to pierwsze rozkazy, które wydał na swoją wyłączną odpowiedzialność. Pilnował ich wykonania z nadzwyczajną drobiazgowością, i rzeczywiście w kilka dni wydobycie ołowiu wzrosło bardzo silnie. Przeglądał raporty z błyszczącymi oczyma.

— Jeszcze się tam na coś przyda stary Walicki!

Pracował ze zdwojoną energją, nie folgując sobie ani podwładnym. Żadne niedopatrzenie, a tembardziej przestępstwo nie uszło robotnikom, ani dozorcóm na sucho. Dawniej znany był z tego, że się wykrzyczał, ale winę puścił płazem; teraz za upomnieniami posypały się kary, jak grad...

Napawał się pełnią władzy.

— Niedługo będę rządził, ale im pokażę, co znaczy porządeczek!...

Robotnicy i niżsi funkcjonariusze kopalni, obserwując posunięcia Walickiego, doszli do wniosku, że napewno zostanie zawiadowcą... Sztygarzy jednak powątpiewali w to mocno, a Łuczyński dziwił się nawet taktyce nadsztygara.

— Miota się i wrzeszczy, jak opętany... Jak Boga kocham, szkoda gardła... Stanowiska i tak nie wyrzeszczy!

Naciskał jeszcze mocniej cyklistówkę na oczy i łaził, jak zwykle, z założonemi wtył rękami po powierzchni kopalni.

Kwiecień przypuszczał, że zrobi teraz karierę i nabierze dużo większego, niż dotychczas znaczenia. Gdy jednak wyrwał się kiedyś nieproszony z radą. Walicki odrazu go usadził. Zrobił to w taki sposób, że Kwiecień poczuł się dotknięty. Zaczerwienił się, nadał się i wysunął z pokoju...

Walicki, patrząc, jak pękaty sztygar opuszcza jego gabinet, pomyślał:

— Niech się nie pcha... Ja tam nie biorę pod uwagę ani przyjaźni, ani przyszłego pokrewieństwa. Służba i już... Obowiązek, psiakrew!...

Urósł we własnych oczach, nie zdając sobie i teraz sprawy, że właściwie od śmierci Roncewicza wciąż gra z przejściem rolę idealnego zawiadowcy i samodzielneho pana kopalni, zatracając się w niej całkowicie.

„Heraklesowi“ ta gra wychodziła na dobre, w gruncie rzeczy bowiem życie nie pyta o połudki czynów, a mierzy je rezultatami, jakie wydają.

III.

ŻONA I KOCHANKA.

Pani Targowska nie mogła wziąć udziału w pogrzebie Roncewicza. Chorowita, nawiedzana często nieznośnymi bólami głowy, dziś właśnie cierpiała bardziej, niż zwykle. Siedziała w stołowym pokoju razem ze swem przygnębieniem, ze swojemi nerwami, i słuchała, jak na dworze wyje listopadowy wicher. Za niskimi oknami szarzał ciemny, bezsłoneczny dzień... Szkielety drzew trzęsły się pod naporem wiatru, a oślizgłe pagóry pół zlewały się w szary, jednolity ton z pochmurnem niebem. Było zimno, przejmująco i głucho... Pani Targowska ruchem zmęczonym i powolnym przyciskała zimne ręce do skroni. Męczyło ją już życie... Anemiczna od urodzenia, nigdy nie zaznała prawdziwej, aż na wskroś przejmującej radości. Każdą chwilę wesela jeszcze w dzieciństwie i młodości warzyła krótka, ale jakże wymowna przestroga matki lub opiekunów:

— Jadziu, uważaj na siebie.

Gdy w tańcu zanadto tłukło się serce, lub kłuło w płucach, musiała opuszczać bal w połowie dopiero za-

częty... Gdy podczas spaceru zbyt silnie spotniała, musiała zostawiać towarzystwo i odpoczywać, otulając się w nieodłączną chustkę...

To ustawiczne zważanie na siebie sprawiło, że świat jej zamykał się w bardzo ciasnym kręgu, a zainteresowania sprowadzały się wyłącznie do własnej osoby, a nawet do stanu zdrowia.

Pierwsze lata małżeństwa mogły jej przynieść szczęście, ale pani Targowska niezdolna była do jego przyjęcia. Już tak nasiąkała troskami, że nigdy nie mogła się od nich uwolnić całkowicie.

Z latami zmartwienia i zmartwionka coraz bardziej się mnożyły wskutek komplikacyj życiowych, ale zarazem wskutek czynnej i wydatnej pomocy samej pani Jadwigi. W córce, dziś trzynastoletniej dziewczynce, bardzo rychło odnalazła swoje własne cechy: chorowitość i osamotnienie, płynące z poczucia wątpliwości, stroniącej od dzieci zdrowych i żywych. Gdy patrzyła na swoją Anielkę, chudą blondynkę o twarzy bladej i rzadkich jasnych włosach, dostrzegała w niej samą siebie sprzed laty. Różnica zachodziła tylko ta, że Anielka była jeszcze bardziej anemiczna i nerwowa. Ośmioletni Wacek wdał się raczej w ojca, tylko pozbawiony był jego flegmy. Pani Jadwiga kochała bardziej chłopca, mając ukrytą, niemal podświadomą pretensję do córki, że ta wdała się całkowicie w nią samą, że podobnie jak ona nigdy się nie wyżyje.

Targowski zaczął zdradzać swą żonę dość wcześnie... Pani Jadwiga bardzo boleśnie przeżyła pierwsze rozczarowanie. Potem jakoś się uspokoiła, ale pozostała w niej nieufność, którą okazywała przez kilka lat, czy był po temu powód, czy nie. Tak traktowały Targowski rozgrzeszał we własnym sumieniu nowe swe zdrady. Powoli pani Jadwiga nabierała do męża głuchej niechęci. Raziło ją zaś specjalnie to, co on w sobie najbardziej cenił, to jest jego takt i spokój.

Targowski był zawsze opanowany, przemawiał głosem cichym, dobierał zdań okrągłych, pieszcząc się swoją elokwencją... Ponieważ mówił dla efektu, często więc mijał się z prawdą, a zwłaszcza ze szczerością. Czytało się to w jego ciemnych oczach, które niemal z reguły nie patrzyły na rozmówcę, a biegały z przedmiotu na przedmiot, muskając jeno przelotem twarz osoby, z którą prowadził konwersację.

Pani Jadwiga początkowo starała się demaskować męża, ale wywoływała tem tak zacięte spory, kwasy i nieporozumienia, że wreszcie dała spokój. Poprostu nie miała sił na walkę. Udawała, że mu wierzy, a w duchu rosła w niej wroga nieufność, streszczająca się w nigdy niewypowiedzianem zdaniu: „Ah, jak on łże!”

Targowski przekonany, że swą wymową usypia w niej czujność i rozwiewa nieporozumienia — tem więcej utwierdzał się w dobrem mniemaniu o swym takcie i swem krasomównstwie.

Między małżonkami rósł mur urazy i pewnego rodzaju wzajemnej pogardy. Targowski w dumnym samoomamieniu uważał żonę za naiwną, i jego pogarda kryła w sobie odcień pobłażliwości, podczas gdy ona gardziła nim ze sporą dozą upartej wrogości.

Od kilku miesięcy Targowski zrobił się czulszy niż zazwyczaj, a równocześnie zaczął znikać z domu na całe popołudnia i wieczory. Pani Jadwiga zamknęła się w zimnej niechęci, jak w skorupie, i myślała: „Znów mnie zdradza“. Nie wiedziała tylko z kim i odkąd? Gdyby miała więcej intuicji, lub zniżyła do mieszkania się w miejscowe plotki, dowiedziałaby się, że przedmiotem uwielbień jej męża jest Irena Przeclawska.

Zaczęło się to w lipcu, miesiącu letnich wywczasów i plażowań.

Mała stacyjka Bukowno leży wśród zagajników miodrzewiowych i sosnowych lasów. Za torem i budynkami kolejowemi płynie wartko nurt małej rzeczki Białki, która wyźłobiła sobie wśród piachów głębokie koryto.

Krystalicznie czysty strumień wiruje i przelewa się w obramowaniu świeżej zieleni krzewów leszczynowych i traw. Nieco dalej żółty piasek, wznoszący się suchą ścianą w górę, ułożył się w idealną plażę. Do Bukowna i pobliskich wsi zjeżdżają letnicy z całego Zagłębia i podczas lata gwarно jest tutaj i rojno.

Targowski często chodził sam lub z całą rodziną na plażę. Żona i córka z racji swego zdrowia nie korzystały z kąpeli rzecznych, wygrzewając się w słońcu, natomiast on, a zwłaszcza Wacek, siedzieli w wodzie całymi godzinami.

Kiedyś spotkali tam panię Irenę Przeclawską, nauczycielkę szkoły w Wodącej.

Targowski już przedtem zwrócił na nią uwagę, nikt bowiem nie mógł przejść obciężnie obok pani Ireny.

Rzucały się przedewszystkiem w oczy jej piękne ciemne włosy i ruchy całej postaci. W tych powolnych ruchach miała coś ze wschodniego rozleniwienia, wydłużającego się również w pochyleniu głowy, uginającej się jakby pod ciężarem puszystych włosów. Duże ciemne oczy, napół przysłonięte ciężkimi powiekami, dodawały jeszcze bardziej wyrazu rozleniwienia i lubieżnej senności... Pani Irena lubiła mówić wiersze, których znała mnóstwo i które recytowała głosem matowym i bez specjalnego temperamentu, ale z dużym zrozumieniem i odczuciem.

Gdy Targowscy zbliżyli się do kładki, dostrzegli panią Irenę po tamtej stronie rzeczki. W obcisłym czarnym kostjumie jej posągowa figura rysowała się wyraźnie na tle jasno - żółtego piasku. Faliste linje ciała były tak harmonijne, że aż pani Jadwiga przystanęła na chwilę.

— Jakże ona pięknie zbudowana! — rzekła.

— Phi... — mruknął mąż.

Przywitali się. Targowski patrzył na ciemne opalone kształty Przeclawskiej spojrzeniem napół taksującym, napół pożądlivem. Naraz Irena, chcąc poprawić

sobie włosy, podniosła swym sennym ruchem ręce ku górze. W tem naprężeniu ciała, z lekkim, zamyślonym uśmiechem wydawała się tak piękną i tak lubieżnie zmysłową, że Targowski doznał jakby wstrząsu. Kiedy usiedli, pani Jadwiga, nie zwracając specjalnej uwagi na otoczenie, otworzyła książkę; natomiast Anielka dostrzegła, że z ojcem dzieją się jakieś niezwykle rzeczy. Twarz mu zbladła i skurczyła się dziwnym grymasem. Był tak wstrząśnięty, że zamiast wygłaszać okragłe zdania, bełkotał coś, wykonując rękami drobne, gwałtowne ruchy...

Co się mogło z tatusiem stać — Anielka nie wiedziała.

Targowski tymczasem przysuwał się coraz bliżej, bo czuł niepohamowaną żądzę dotknięcia ciała Przeclawskiej. Dokonawszy tego niby nieumyślnie, szarpnął ręką, jakby się sparzył i przybladł jeszcze bardziej.

Od tego spotkania nie był już panem samego siebie.

Przeclawska długi czas nie zdradzała chęci nawiązania romansu, ale wreszcie uległa zalotom napół z nudy, napół z nieukoju zmysłów.

Po pogrzebie Roncewicza Targowski wrócił do domu przemknięty tak, że mokra, zimna bielizna przylepiła mu się do ciała. Zmienił całe ubranie, a po obiedzie długo szcztokował wąsy, aby je doprowadzić do zwykłej formy skrzydeł czarnego krawata. Kiedy Anielka dukała półgłosem lekcje w swoim pokoju, a pani Jadwiga tkwiła przy stole, trzymając swe białe, długie ręce na ciemnej serwecie — wszedł do stołowego pokoju i z bolesnym wyrazem w twarzy oświadczył:

— Dzień jest okropny, kochanie... Lepiej tak siedzieć zawiniętej w szal, niż iść na tę szarugę... Prawda?

Ujął jej białą dłoń i przycisnął do ust...

— Moja pani tu zostanie, a ja będę musiał iść na kopalnię. Ten stary Walicki poprostu wścieka się z nadmiaru gorliwości. Nie będzie przykro tak samej, co?

— Nie! A gdzie idziesz?

— Mówię ci: na kopalnię.

— Aha...

„Jak on łąze, jak on strasznie łąze.“ — pomyślała i uwolniła się od dalszej rozmowy krótkim:

— Więć idź już.

Włożył nieprzemakalne palto, postawił kołnierz i, przesławszy od progu ręką pocałunek, wyszedł.

Deszcz padał beznadziejnie... Krople gnane oszalałym wichrem dudniły na gumie płaszcza, spływając po niej strugami. Targowski brnął po rozkisłych drogach, wymijając kałuże, marszczące się od podmuchów wiatru i kłął zcicha.

Od pewnego czasu Przeclawska coraz częściej miała odpływy humoru, a on znajdował się u szczytu roznamiętnienia i pożądań. W tej chwili szedł również podniecony, a oczy miał pełne jej brązowej nagości.

Przypomniał sobie jej lubieżną pozę z letniej plaży.

— Jakie to dziwaczne, — pomyślał — że jeden ruch może wzbudzić nagle tyle namiętności. Kto wie, czy kochałbym ją, gdyby go wówczas nie wykonała?

Zapukał do drzwi niskiej chałupy.

— Patrz, co może miłość! — uśmiechnął się. — Oto jestem..

— Nie wątpiłam ani na chwilę, że przyjdiesz.

— Tak więc pewną jesteś swej przewagi i swego czaru nademną, kochanie?

Przeclawska sama była nieco sztuczna, nie lubiła więc w nim nieszczerości i deklamacji. Dzisiejsza niepogoda napełniała ją przytem nudą i przygnębieniem.

— Ah, zostaw te swoje... „czary“ i to swoje „kochanie“.

— Humor zgaszony deszczem... Pochlebiam sobie jednak, że potrafię uczynić przemianę... Prawda, Iruchna?

Wywinęła mu się z objęć.



— Daj spokój! Wcale nie pragnę dziś karesów. Idź do pokoju, siadaj, a jak chcesz, nalej sobie herbaty.

— O, moja pani, jak zwykle, otoczona poezją! — rzekł, dostrzegłszy na zarzuconym stertami zeszytów stole jakąś książkę z wierszami.

— Et! — wzruszyła ramionami.

Targowski usiadł, nie wiedząc, jak rozproszyć jej niehumor. Najlepiej byłoby zaproponować, żeby coś przeczytała, ale w gruncie rzeczy nie lubi jej deklamacji. Droga ta przytem wydawała mu się zbyt okólną i długą. Irena się zapali i wpadnie w ten swój poetyczny nastrój, do którego nie będzie się mógł dostosować. Sam zresztą pragnął zagrać rolę nieszczęśliwego, więc rozpoczął najfatalniej od zwierzeń rodzinnych.

— Czujesz się dzisiaj źle... Rozumiesz to... Wpływa na ciebie ten dżdżysty dzień i to niebo. Ludzie wrażliwi zależą od pogody więcej, niżby się zdawało.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju, co robił zawsze, ilekroć wpadał w dłuższą perorę. Chód miał cichy, elastyczny, pochylał przytem głowę i skakał oczami po wszystkich przedmiotach. Od czasu do czasu delikatnym ruchem muskał swe wąsy w jedną i drugą stronę.

— Cóż ja mam powiedzieć? „Twój czar nademną trwa“, jak mówi poeta... Brnę przez błoto, smagany wiatrem i deszczem poto tylko, aby ciebie zobaczyć. Mało! Zostawiam rodzinę samotną, bo mnie do ciebie gna, bo chcę cię czuć przy sobie... Widzę teraz Jadwigę, dostrzegam jej anemiczną, bladą twarz w okolu jasnych włosów; patrzę, jak samotna kładzie pasjansa, oczekuje na mnie... Jest to kobieta, którą kochałem i wobec której mam duże zobowiązania moralne. Moje dzieci też są same. Anielka kocha mnie bardzo. Boję się, że coś rozumie. Jeśli tak — dostrzegam nieraz w jej oczach niepokój i wyrzuty — to cóż ona sobie myśli o tatusiu?... Mimo to nic mnie nie zdoła powstrzymać. Muszę być przy tobie! Oceniam dobrze swe postępowanie, jestem dla siebie surowy, nie pobłażam, a....

Irena przerwała:

— Jeśli masz tak czułe sumienie, to nie przychodź...
Targowski przystanął.

— Czy to ma być zerwanie?

W pierwszej chwili chciała uciąć: „Tak!“, ale się zreflektowała. Nie myślała o zerwaniu, a pragnęła tylko, aby więcej liczył się z jej nastrojami i był subtelniejszy.

— No, nie! Ale czy ty przy swoim takcie nie rozumiesz tego, że nie powinienieś mi o tych rzeczach mówić?

Na słowo „takt“ Targowski się uśmiechnął. Ujął ją za obie dłonie i usadowił na sofie.

— Iruchna, dlaczego mają się między nas wciskać nieporozumienia?... Jeśli nie zyczysz sobie, to nigdy nie będę już mówił o rodzinie. Pragnęłam tylko przekonać cię o swych uczuciach.

— Ja właśnie chciałam ci dużo mówić o sobie...
A tyś tego nie odczuł...

— Ależ mów, słucham z całą rozkoszą.

Rozmowa jednak rwała się co chwila, a to, że siedzieli obok siebie, nie zbliżało ich bardziej. Wszelkie czulsze i bardziej poufale gesty odpieszała prawie przemocą.

— Ależ ja nie chcę... Zrozum, że dzisiaj nie chcę.
Jacy wy mężczyźni jesteście gruboskórni!

Jej opór podniecał go; jej leniwe ruchy, któremi starała się uwolnić od niego, roznamiętniały... Brutalnie przycisnął ją do siebie. Błysnęły opalone uda i zaciemniło duże, wyraźne znamię. Tulił ją żelaznymi uściskami... Wreszcie i w niej krew uderzyła silniej. Zaimponował jej.

— Prawdziwy mężczyzna! — pomyślała i poddała mu się biernie...

W powrotnej drodze świat wydał się Targowskiemu miłszy i przytulniejszy, chociaż było ciemno i ciapał po błocie, rozgarniając butami kałuże i zastoiny.

— Czyż jest na świecie człowiek, który mógłby mieć do mnie pretensje?... — myślał — Ona i Jadwiga... Cóż za porównanie!

Przypomniawszy sobie blade ciało żony z niebieskimi żyłkami pod skórą.

— Nie oddam Ireny za nic i nikomu....

IV.

DAWNA MIŁOŚĆ.

O tej samej mniej więcej porze, gdy Targowski wracał do domu, Andrzej Walicki brnął inną, choć równie wyboistą drogą na Podlipie do Gładyszowej. Utykał wśród ciemnicy po błocie i wybojach, a wiatr targał przemokłymi połami jego płaszcza i chlastał deszczem po twarzy.

Szedł zwykłym sobie, kołyszącym się krokiem, jakby podrygiwał za każdym stąpieniem, pełen smutnych myśli. Pierwszy raz w swem beztroskiem życiu pustaka znalazł się w sytuacji, której nie potrafił rozwikłać... Sprawa ciągnęła się od kilku lat, a ostatnio tak się skomplikowała, że nawet on — wesoły chłopak, z ustami stworzonymi do śmiechu, sposępniał i stał się, jak mówiła matka, sensatem.

W Gładyszowej zakochał się przed kilku laty. Nie była jeszcze wtedy Gładyszową, lecz Marysią Podkowską, córką zwykłego górnika. Ojciec posyłał ją do gimnazjum w Olkuszu, póki mu starczyło pieniędzy. A że dobrobyt nie trwał długo, zdążyła skończyć tylko sześć klas. Przez pewien czas pracowała w biurze na „Hera-klesie“, lecz zwolniono ją przy pierwszej redukcji. Wówczas osiadła w domu. Po pewnych wzdraganiach i dąsach zabrała się do pracy gospodarskiej, harując przy krowach i na gruncie, którego posiadali sześć morgów.

Praca sprawiła, że ze szczupłego podlotka rozro-

sła się w wysoką, zgrabną pannę. Rasowa blondynka o szlachetnych rysach twarzy, dużych niebieskich oczach pełnych trochę smutnej zadumy, płynącej zapewne z nieziszczonych nadziei — zwracała uwagę swoją urodą. Naturalnie wijące się włosy układały się w złote sploty, przeciwnie harmonizując z cerą o matowym odcieniu kości słoniowej.

W czasach, gdy oboje jeździli brekiem do szkoły, Jędrak nie zwracał na nią uwagi. Był młodym chłopcem i tęsknił raczej do wyobrażenia kobiety, niż do kobiety samej, lekceważąc dziewczęta w równym sobie mniej więcej wieku.

Gdy przestała uczęszczać do gimnazjum, stracił ją z oczu. Spotkali się po kilku latach na zabawie parkowej w Bolesławiu. Jędrak zdumiał się jej urodą. Miał wówczas dziewiętnaście lat i był jakby wcieleniem erotycznych pożądań. Wizje nagości wprost go przesładowały, myśl wiła się bezustannie wokół miłości, imaginacja przesuwiała mu przed oczami fantastycznie — lubieżne obrazy.

Wiek podniecenia miłosnego jest zarazem wiekiem cynizmu w wysłowieniu, a idealizmu w postępowaniu. Kobieta, która w wyobraźni ma tylko zaspakajać pożądanie, przybrawszy kształty realne, staje się całym światem...

Tak było i z młodym Walickim.

Pierwsze spojrzenia, konfetti, a potem długie godziny błędzenia alejkami wśród starych, rozrosłych drzew w parku...

Nie mogli się rozstać... Odprowadził ją do domu, pożegnał i znów przytrzymał za rękę.

— Jeszcze chwileczkę!

Gdy wracał, radość przelewała się w nim i huczała, jak fala... Uśmiechał się sam do siebie i prężył pierśi z dumą. Gdyby mógł, objąłby cały świat ramieniem i zatańczył jakiś szalony taniec upojenia, krzyżąc ogniecie: „Uha! Uha!...” Tak całym gardłem, ażeby się

wkoło rozzwoniło radosnem szaleństwem!... Walił szerokimi krokami przed siebie, a mięśnie sprężały się do czynu.

Widywali się każdego dnia. Przychodził po nią do domu, albo spotykali się w umówionem miejscu i nie rozstawali aż późnym wieczorem. Sam nie zdawał sobie sprawy, jak do tego doszło, że ją posiadał, dość, że była jego pierwszą kochanką; a dwa miesiące wakacyj po maturze jednym miłosnem upojeniem.

Starego Podkowę niepokoiło postępowanie córki. Nieraz wyjmował swą porcelanową faję górniczą z ust i spluwając, mówił:

— Oj, doigrasz ty się tem chodzeniem, dziewczyno, doigrasz!...

Nie wierzyła przestrogom...

W tym wieku przysięgi składa się łatwo, a jeszcze łatwiej roi o wspólnej przyszłości, o uczuciach wzniosłych, wiecznych i mocnych jak śmierć. Roili więc i oni o swem szczęściu i o małżeństwie.

Potem stało się to, co zwykle dzieje się w takich wypadkach. Jędrzek wyjechał do Krakowa do Akademji Górniczej. Jako wesoły kompan, dowcipny i miły towarzysz, wkrótce został wciągnięty w wir życia koleżeńskiego i zabaw. Powodzenie i łatwe triumfy sprawiły, że wakacje zaczęły się zacierać w jego pamięci. Miłość odzywała się podczas feryj, kiedy zjeżdżał do domu. Wówczas trapiły go wyrzuty sumienia. W chwilach depresji wypominał sobie hulanki, pijaństwo, stosunki z płatnemi dziewczynami i przyrzekał uroczyście poprawę. W Krakowie znów go jednak ponosił temperament i, gdy nadszedł jakiś nowy triumf, biedny Andrzej sam już do prawdy nie wiedział, kogo kocha: Marysię czy tę nową swą wybraną?

Warunki życia, jakie pędził, nie sprzyjały nauce, i przez Akademję przedzierał się dość opornie. Począwszy od drugiego roku studjów, wakacje spędzał na praktyce. Po trzech latach wyjechał do kopalń francuskich,

po czterech do Czechosłowacji, skutkiem czego nie odwiedzał Krążka na dłużej i z Marysią widywał się przelotnie.

Po powrocie z Czech dostał od niej krótki i niemal oschły list:

„Nie mogę się już doczekać od Ciebie odpowiedzi. Giną gdzieś moje wołania. Trudno! Nie dowołałam się. Zawiadamiam Cię, że wychodzę za mąż za Gładysza, tego wdowca, dozorcę. Pisałam Ci kiedyś o tej możliwości, miałam nadzieję, że nie pozwolisz... Nie odpisałeś nawet...“

Kiedy pisała?... Aha, prawda... tak!...

Tyle miał teraz zajęcia, stosunków, znajomości...

Nie przejął się zbyt otrzymaną wiadomością i nawet nie odpowiedział na list.

Zobaczył ją dopiero w trzy lata po wyjściu za mąż podczas ostatnich wakacyj.

Był niedzielny pogodny przedmrok sierpniowy. Ludzie wracali z nieszporów... Andrzej dostrzegł Gładyszową przez okno. Widocznie mąż miał nocną dniówkę, bo szła sama. Przez te trzy lata przytyła nieco, ale jeszcze bardziej wypiękniała.

Buchnęła fala wspomnień. Andrzej porwał czapkę i wybiegł z domu. Dogonił ją, idąc szybko swym kołyszącym, podrygliwym krokiem. Nie miał zamiaru odświeżać dawnej miłości, zdając sobie sprawę, że byłoby to niemożliwe, mignęła mu natomiast myśl o nawiązaniu romansu. Z szerokim uśmiechem, przy którym nos jego wydał się jeszcze bardziej zadarty, przemówił jej niemal do ucha:

— Dzień dobry, Ryśka!

Dostrzegł, że drgnęła i zatrzymała się, jak wryta. Spojrzeli sobie oko w oko... Jej gwałtowny rumieniec ustąpił naglej bladeści.

— Dzień dobry! — powtórzył.

Twarz Maryśki nabrała wyrazu ostrej zawziętości.

— Czego pan sobie życzy, panie Walicki? — spytała zimno i oschle.

Andrzeja zaskoczyło to pytanie. Stał z zastygłym na twarzy uśmiechem, nie wiedząc, co robić, i miał minę ogłupiałą

— Ja... to jest... — wyjąkał.

Idący z kościoła mijali ich w milczeniu, rzucając ukradkiem ciekawe spojrzenia.

— Czy pani pozwoli, że ją odprowadzę?

— Jak pan sobie życzy.

Andrzej napróżno silił się nawiązać żywszą rozmowę. Czuł, że przedewszystkiem powinien wytłumaczyć swe postępowanie, ale na ten właśnie temat najtrudniej było mu mówić.

Dopiero żegnając ją przed domem, zdobył się na odwagę:

— Ja mam jeszcze pani dużo do powiedzenia!

— O czym?

— No... o tem, dlaczego się tak stało... O nas, o wszystkim...

— Poco pustą słomę młócić? Czy to co teraz pomoże?

— Ja jednak muszę...

— Jak pan sobie życzy....

— Tylko nie dzisiaj... Ja tu wstąpię którego dnia.

— Proszę.

Kilkakrotne wizyty nic nie wyjaśniły... Pozostała nadal zimna i zawzięta. Andrzej odczuwał to tem silniej, że obecnie zakochał się prawdziwą miłością dojrzałego mężczyzny. Pragnął wszystko odrobić, a sprawił tylko tyle, że zaczęto plotkować, snując zgoła fałszywe domysły. Gładysz kipiał z zazdrości. Podczas odwiedzin z trudem zachowywał pozory dobrego gospodarza. Często pochmurniał, a długie piękne blond wąsy naczapierały mu się, gdy wydymał usta, marszcząc gładkie czoło.

Andrzej przyjechał na pogrzeb Roncewicza z tą my-

ślą, że odwiedzi Gładyszową i teraz szedł oto do niej, aby się ostatecznie rozmówić.

Wstępował po schodach na ganek podmurowanego, drewnianego domu.

Gładyszowa nie zdziwiła się, gdy go ujrzała. Znaleźli się w obszernym pokoju o czysto utkanej wyszorowanej podłodze. Własnoręczne białe hafty i robótki Maryski zalegały stół, dużą wysoką komodę i stolik pod oknem, co bardziej jeszcze nadawało pokojowi charakter czystości. Wrażenie psuły tanie cacka i rzeźby — imitacje brązu, stłoczone na komodzie. Na ścianach trochę zadużo kart z widoczkami i fotografii, przedstawiających małżonków. W środku otoczona krepą, widniała podobizna synka Gładyszów, który umarł, mając pół roku. Naftowa lampa na wysokiej nóżce rzucała spod białego klosza żółte światło na pokój.

— Jak pani widzi, przychodzę raz jeszcze.

Gładyszowa usiadła przy stole jakby zmęczona.

— I poco i naco? Męczy pan siebie i męczy pan mnie!... Najlepiej byłoby i dla pana i dla mnie—zapomnieć... Ze mną już tak prawie było, a pan zaczął na nowo....

Andrzej siedział wyprostowany na ponsowej kanapie, założywszy nogę na nogę. Świeżo odprasowane spodnie sływały od kolan prostymi linjami kantów. Zmartwienie zupełnie nie licowało z jego twarzą o zadartym nosie i szerokich ustach, więc wyglądał nieco zabawnie.

— Tak, — ciągnęła — był czas na wszystko, ale pan zaniedbał.

— Przyznaję się do winy, nie chcę usprawiedliwiać! Niech pani jednak zwróci uwagę, że niema sytuacji bez wyjścia.

— Są!... Mówi się przecież: „Klamka zapadła!”

— Więc za jeden fałszywy krok, jedno zapomnienie mamy płacić całym życiem?

— A co pan robi?

— Właśnie przychodzę z projektem, który wszyst-

ko naprawi. Jeżeli pani się zgodzi, będziemy jeszcze szczęśliwi!...

Uśmiechnęła się niedowierzająco.

— Jakiż to projekt?

— Rozwód...

— A jak mi go dadzą?

— No, oczywiście, musiałyby pani zmienić religję.

Słowa te wywołały niespodziewany skutek. Gładyszowa zerwała się z miejsca.

— Co? Co? — wybuchnęła. — To może tam u was, u jaśnie wielmożnego państwa, ale ja nigdy! Już i tak mnie Pan Bóg ukarał, że mi się z tobą gziła!.. Mieli ojciec rację, kiedy tak mówili! — Uniesienie pośsuwało jej zwroty gwarowe i kazało Andrzeja nazywać „ty“. — Myślałam, że cię kocham, a ja się gziłam, i za to mi Pan Bóg dziecko odebrał. Za to! Wiesz?

— Uspokój się!

— Nie, nie uspokoję się!... Wygarnę ci teraz wszystko... Przemyślałam ja tę sprawę nie raz i nie dwa, bo mnie ona dusiła, i wiem... Wiem, żeś ty mi wszystko, wszystko odebrał! — W głosie dźwięczała zimna, chłopka zawziętość. — Tak! Pobawiłeś się ze mną i rzuciłeś jak przyszły lepsze, bo cóż ja dla ciebie byłam? Chamka!....

— Daję ci słowo, że się mylisz!... Nigdy nie zwracałem na to uwagi.

— Nie ty, to wszyscy twoi!...

— Odpowiadam tylko za siebie i zapewniam cię raz jeszcze, że się mylisz.

— To jeszcze gorzej, boś miłość zniszczył dla niczego... I nietylko miłość!.... Ja dwa razy miałam się wydzwignąć na szerszy świat. Raz przez gimnazjum! No, trudno: zbrakło ojcu pieniędzy... A drugi raz, jak miałam iść za ciebie. Sameś mówił: zagranica, powóz, auto. Ja już w tym świecie żyłam, cieszyłam się nim, aleś ty wszystko zdradził! A teraz jeszcze chcesz, abym się

kościola zaparła? Nie, nigdy! Ja jestem chamka, twar-
da chamka, miałeś rację!

Andrzej stał od pewnego czasu, opierając się ręką o
stół.

— Poczekaj, poczekaj... — przerwał — więc jak ty
mówisz? Że przezemnie chciałaś na szerszy świat?
Więc to ty nie mnie kochałaś, lecz ten los, który ci go-
towałem?

— Głupiś! — krzyknęła — To jedno z drugim!...
Wszystko zdeptał, wszystko potargał i jeszcze gada,
żem go nie kochała! O, Jezu, Jezu!...

W tym momencie ugięła się pod ciężarem tylolet-
niej szarpaniny... Opadła na krzesło i, zakrywszy twarz
dłońmi, wybuchła płaczem.

Rzucił się do niej.

— Maryśka, Marysieńka! — gładził jej włosy, uspa-
kajał.

— Nie chcę, nie chcę!... O jedno cię tylko proszę:
Odejdź już i nie przychodź tu więcej!

— Maryśka...

Zerwała się z miejsca i odepchnęła go od siebie.

— Odejdź!

— To twoje ostatnie słowo?

— A co ci mam powiedzieć, co? — rozpaczliwie
skrzyżowała ręce. — Kochanicą ci więcej nie będę!...
To napewno.

-- Ja tu jeszcze przyjdę.

— Po próznicy.

— Wytłumaczę...

— Nie przychodź!

— Nigdy?

— Nigdy!...

Andrzej wyszedł... Ogarnęła go ciemna, deszczna,
hucząca wiatrem noc.

— Zmarnowałem!... Psiakrew, taką miłość zmarno-
wałem! — myślał z rozpaczą.

Oboje nie zdawali sobie sprawy, że w tej chwili cierpi z ich powodu jeszcze ktoś trzeci, to jest sam Gładysz.

Dozorca pełnił tego dnia nocą służbę i dlatego Andrzej nie zastał go w domu.

Kopalnia pracowała tylko na jedną zmianę, więc obowiązek nocnego dozorczy polegał jedynie na obejściu komór, gdzie znajdowały się pompy, zbadaniu stanu wody i tym podobnych drobiazgach. Podziemia o tej porze zalegała bezwzględna, martwa, jednostajna cisza.

Gładysz stanowisko swe zawdzięczał Walickiemu, który go przed piętnastu laty mianował dozorcą. Odznaczał się pracowitością i cierpliwym, spokojnym, chłopackim uporem. Jako bliski sąsiad Podkówów, wiedział o romansie młodego Walickiego. Mimo to po owdowieniu oświadczył się o rękę Maryśki, ale nie został przyjęty. Nie zraził się odmową, lecz czekał cierpliwie. Minął jeden rok, potem drugi — Andrzej się nie zjawiał, i Gładysz ponowił swoją propozycję. Tym razem uzyskał zgodę Maryśki i poślubił ją mimo znacznej stosunkowo różnicy wieku. Przypuszczał, że między młodymi wszystko już zostało zerwane. O przeszłość nie miał do żony pretensyj i nigdy nie wspomniał jej o Andrzeju. Sytuacja zmieniła się radykalnie od czasu ostatnich wakacyj. Postępowanie Andrzeja wznieciło w nim zazdrość, która czasem zaczęła przybierać pozory czegoś chorobliwego. Nie mógł o niczem innym myśleć, tylko o miłości młodych... Bezustannie włóczyły się za nim najplastyczniejsze wizje ich pieśczot i prześladowały go ciągle: w godzinach pracy i odpoczynku, w samotności i między ludźmi. Przy żonie uspakajał się nieco. Jej prawdopodobność, jej prostota, stanowcze zaprzeczenia plotkom i posądzeniom, na chwilę zagłuszały zazdrość w odniesieniu do chwili obecnej. Wnet jednak zjawiała się myśl:

— Teraz nie!.. Ale to przecież było... było!... — i znów te plastyczne, przytłaczające wizje, i znów wy-

mówki, nienawiść i uczucie tępej zazdrości, wysysające z niego siły i rozsądek.

W tej chwili Gładysz szedł do pomp, gdzie pracował stary maszynista Kątek.

Przed kilkunastu laty Kątek był górnikiem, a Gładysz jako młody chłopak śleprował u niego. Mimo awansu, Gładysz z tymi dawnymi znajomymi, którzy pracowali w wydziale mechanicznym, pozostał do dziś na stopie koleżeńskiej. Kątek zawsze krzątał się i zwijał przy maszynach, błyskawicznie przerzucając swe chude ciało z miejsca na miejsce. Twarz długą, zakończoną cienką kozią bródką, miała wyraz kpiący... Maluteńkie czarne oczka tliły się iskierkami ciętego dowcipu i ironji. Żyłaste ręce, w które od lat całych wrastały smary maszynowe, chwytaly nerwowo i zwinnie narzędzia, przy wtórze bezustannego prawie pogwizdywania.

Komora pomp dawała już znać o sobie rozdygotanym stukotem maszyny.

— Szczęść Boże! — Gładysz nastawił swą okrągłą twarz blondyna w kierunku maszynisty.

Prześmignęły po nim małe, czarne oczka. Gwizdanie ustało.

— Szczęść Boże! — odparł.

Zaczęli rozmawiać o sprawach kopalnianych. Naraz Kątek cisnął swem chudem ciałem gwałtowniej niż zwykle, czarne oczka zmrużyły mu się filuternie i wypalił:

— Tak to ty, Franuś, po kopalni se chodzisz, a tam ktosik twoją babę obrabia!... Hi, hi, hi!...

Pod wpływem tych słów i chichotliwego śmiechu, Gładysz zastygł na martwą bryłę. Wąsy mu się tylko nieco poruszały, a na twarz lunęła ponsem masa krwi.

— No, nie trap się, nie trap, przecież wiesz, kto to robi... Młodziak; to ci nie powinno być zal... Gorzej, jakby tam stary pracował!

Dozorca odwrócił się i, nie rzekłszy ani słowa, opuścił komorę pomp, wsiąkając w głuche korytarze kopalni.

Stąpał, nie wiedząc, gdzie idzie i czy wogóle się posuwa? W dzwoniącej pustym bezgłosem ciszy wciąż słyszał urągliwy śmiech Kątka... Nie myślał dosłownie o niczem, działając odruchowo, jak nakręcony sprawnie mechanizm... Czuł, że, gdy zaczniesz się zastanawiać nad żoną i Andrzejem, dostanie chyba szału. Dusił więc w sobie te myśli, a mimo to cały był niemi dokładnie wypełniony... Wreszcie nie mógł zapanować nad sobą. Świadomość tragedji przeszła go, jak stalowa szpada. Zatrząsł się i zaczął walić pięścią, a potem karbidową lampą w zimne, wilgotne skały chodnika.

— Ah, żeby to wiedzieć, żeby wiedzieć. tak, czy nie?!

Usłyszał swój własny krzyk... To go otrzeźwiło. Poprawił płomień karbidówki, spojrzął na zegarek i skręcił w kierunku podszymbia.

Do domu sunął olbrzymiemi krokami, nie zważając na deszcz i szalejący wicher. W pokoju się nie świeciło. Zapalił naftową lampę... W rozpalających się promieniach dostrzegł śpiącą żonę. Oddychała równo i spokojnie. Kołdra nieco ześlizgnęła się i wśród białej pościeli matowiała odsłonięta pierś i ramię barwy żółtej kości słoniowej.

— Maryśka! — zawołał.

Ocknęła się.

— Co?

— Kto tu był?

— Kiedy?

— Teraz, niedawno !....

— Młody Walicki.

Przyskoczył do łóżka i wpił się rękami w jej ramię.

— I co? Co?

— I poszedł sobie.

— Nic więcej?

— No, nic.

— Przysięgnij!

Uniosła się na pościeli i marszcząc brwi, podniosła palce prawej ręki.

— Na rany Chrystusa!...

Wtedy runął na krzesło, jak kłoda... Od łóżka wionęło mu na twarz ciepło młodego, rozgrzanego ciała.

— Maryśka, Maryśka! — szepnął, szukając ręką jej dłoni.

— No, co?

— Już ci wierzę!... A Kątkowi pysk skuję na miazgę.

— O co?

— Już ja wiem... — zamilkł na chwilę. — A ty, Maryś, nigdy mnie nie oszukasz, prawda?

— Nie....

Uśmiechnął się spokojny i swobodny... Nagle znów dźgnęło go złe uczucie.

— Ale wtedy, dawniej? — zjeżył się.

Czoło Maryśki pokryły zmarszczki. Znowu zaczynał się ten męczący, okropny taniec wokół jednego i tego samego zagadnienia.

— O, Boże! Czy ty nigdy nie przestaniesz?

Gładysz wstał z krzesła.

— Nie przestanę, bo nigdy nie będę miał już spokoju na tym świecie.

— Czemu męczysz mnie i siebie?

— A czy ja wiem? — rozłożył bezradnie ręce.

Sztywnym krokiem wyszedł do kuchni, aby zrzucić z siebie przemokłe ubranie kopalniane.

— Nigdy! — powtórzył jeszcze w progu.

— A gdyby stąd wyjechać? Gdyby go już nie widzieć?

— Wtedy może... — rzekł już w kuchni.

— No, to spróbujmy, wyjedźmy...

— A gdzie? Tu mam chleb i tu mi zdychać.

— No, to ja już nic nie poradzę.

— I ja nic... O, Boże!... nic!...

V.

BARBARKA.

W mrok grudniowej nocy wżerał się przeraźliwy ryk syreny kopalnianej, zwiastując godzinę piątą rano. Małe okienka chałup rozblyskiwały światłem, wyrывая wsie ze snu i wracając je życiu... Żony i córki rozpały ogień pod blachą, krzątały się, budziły mężów i synów, napędzając do wstawania. Rozprężyły się spracowane mięśnie budzonych, trzeszczały w leniwem przeciąganiu kości, rozdziawiały głośnem ziewaniem usta.

Mała szczerbata Ścigajowa, żona furmana zawiadowcy, rozdmuchiwała ogień, nieomal się parząc.

— Wstawaj, wstawaj! — szarpnęła mocno ramię mężowskie — A ty, synku, takż... Trza ci już, trza! — dodała łagodniej.

Ścigaj zerwał się, ziewnął, pogładził bokobrody staro famulusa i poszedł do stajni.

W pół godziny potem guma powozu rozbryzgiwała błoto, wcinając się w nie głęboką koleiną. Odbryzgi wsiąkały w bielejący gdzieniegdzie nieśmiało śnieg i powóz zatrzymał się przed domem Walickich.

Nadsztygar od chwili objęcia obowiązków zawiadowcy jeździł na kopalnię powozem.

Wielka postać zamajaczyła na ganku.

— Ścigaj, jesteście?

— Jestem, panie nadsztygarze.

Jako zastępca zawiadowcy Walicki, mógł nie jeździć na szóstą rano, lecz przyzwyczajwszy się od tyłu lat do wczesnego wstawania, nie umiał sypiać dłużej.

— Ruszajcie! — rozkazał, usadowiwszy się w powozie.

Wtopione w mroki nocy światełka lamp górniczych sunęły ze wszystkich stron po skalistym terenie, to nękając za pagórkami i hałdami, to znów się zza nich wy-

nurzając. Rozstrzelone bezładnie skupiały się, ogniskowały, mnożyły i spływały w jedno miejsce.

Walicki wysiadł przy izbie zbornej. Tłoczący się ludzie rozstępowali się na obie strony i nadsztygar wszedł do swego kantorku. Sztygarzy zaczęli zapis...

Walicki rzucił okiem na wykres wydobycia rudy, rozwieszony na ścianie. Od czasu objęcia przez niego kopalni linja stale, choć powoli, dźwigała się w górę.

— Byłoby jeszcze lepiej, gdyby nie ta ciasna pochylnia... Muszę dziś ją zobaczyć. — pomyślał. — Panie Targowski, — zwrócił się do sztygara — będę dziś na pana polu przy pochylni... Trzeba ją chyba poszerzyć.

— Ano, chyba... — odparł sztygar, przyciskając sobie ręką czarne skrzydła wąsów, aby Walicki nie zauważył ziewnięcia.

O ósmej rano był już Walicki na nadszybiu „Herklesa“.

— Zjeżdżam! — zawołał.

W odpowiedzi dźwięknął sygnał, że jadą ludzie.

Walicki wszedł do klatki. Podłoga lekko drgnęła i szala zapadła w głąb... Świst pędu i plusk wody, leżącej się po oszalowaniu.

Piąty poziom.

Długa droga wyciągowym chodnikiem, wreszcie grota i spad pochylni w dół na siódmy poziom. Czarna stalowa lina wlecze się po dnie pochylni, uderza coraz o żelazne walce, wprawiając je w ruch, opada, dźwiga się, napręża się i rozpręża, jak żywe stworzenie. Maszynowy haszpelek, ustawiony w grocie, kręci się i kręci, jak wrzeciono, nawijając i rozwijając linę... Wózki dudnią po szynach, wypełzając z pochylni, niby żółte, utyłane ziemią żuki... Zgrzyt nastawiania i zwrotów na blachach... Natłok, pośpiech i wołanie z głębi pochylni:

— No, już do pioruna... Ciągnąć! Nie bedymy tu czekać!

Walicki schodzi po stromych schodach wgląd do siódmego poziomu.

— Rzeczywiście ledwie można sobie dać radę... Nic dziwnego, przez tę pochylnię wali galman, piryty i błyszcz ołowiu z całego siódmego poziomu.

Obszedł pole Targowskiego. Po obiedzie zasiadł w swym gabinecie, rozmyślając nad sprawą pochylni i raportem do głównego zarządu w Dąbrowie Górniczej. Na białą kartkę papieru spływały spod pióra cyfry i szeregowały się jedne pod drugimi... Jakoś gmatwał się przy obliczeniach kosztorysu, bo nurtował go inny projekt. Odłożył pióro i zeczął gładzić długą szpakowatą brodę rozstawionymi, jak grabie, palcami.

— Hm, możeby nie rozszerzać pochylni, tylko zaryzykować i puścić nowy chodnik wyciągowy przez starą kopalnię?

W tej chwili stanęła mu w oczach, jak żywa, mała figurka Roncewicza, który, siedząc w tym samym pokoju i skubiąc swą ryżą bródkę, mówił ongiś z dobrotliwym uśmiechem.

— Eh, nie ruszać nam tamtych miejsc, panie nadztygarze, nie ruszać. Niebezpieczne.

— Nie ruszać! — pomyślał — Jego słowa, jak testament.

Rozczulił się znowu nad Roncewiczem. Równocześnie zapaliła się i zgasła momentalnie myśl: „Ten nowy od tego zaczniesz!”

Podszedł do planów.

— Oczywiście! Przecież to się rzuca w oczy. Poprowadzić chodnik przez starą kopanię, a skróci się przewóz fedrunku niemal o połowę... Oszczędność, wygoda! A jednak to tylko na oko, bo można się doigrać takich powikłań, że ha! „Nowy“ będzie się upierał przy biciu chodnika, ale wtedy na straży „Heraklesa“ stanę ja! Wytłumaczę, w razie czego nawet zaprotestuję w imieniu swoim i nieboszczyka!...

Wyprostował się na całą swą olbrzymią wysokość i patrzył groźnie, jakby już w tej chwili ktoś atakował

ustalone tradycje, które pozostawił „Heraklesowi“ Roncewicz.

— A jeżeli się uprze?... Jeżeli rozkaże? Ha, trudno. Zrobię to, co do mnie należy, a potem — niech się dzieje wola Boża...

Na myśl o możliwych komplikacjach zrodziło się w nim uczucie satysfakcji i zabłysło ledwie dostrzegalnym uśmieszkiem w źrenicach. Próżno zachnął się na siebie i starał się je zdławić. Tkwiło w nim, jak małe ziarenko piasku, ciągle dając znać o sobie świadomości. Aby je zupełnie zagłuszyć, zawołał na woźnego:

— Poproście pana Łuczyńskiego.

Sztygar przydźwigał swe mięsiste ciało.

— Czem wam mogę służyć? — spytał znudzonym głosem, rozlewając bujne kształty na krześle.

Walicki zaczął wyłuszczać projekt rozszerzenia pochylni. Łuczyński tkwił naprzeciw niego zupełnie obojętny, patrząc gdzieś w przestrzeń przez zakratowane okno. Słowa nadsztygara zdawały się nie docierać do jego świadomości, lecz odbijać od konch usznych, niby piłki.

— Wiecie, co wam poradzę? — przerwał wreszcie.

— Słucham.

— Zostawcie to na później... Przynajmniej tak do trzeciego dnia.

— Dlaczego?

— Przedewszystkiem dlatego, że będzie po Barbarce.

Walicki zamrugnął niepewnie, myśląc, że sztygar drwi sobie z niego.

— Barbarka czwartego, to znaczy pojutrze... — ciągnął Łuczyński.

— Cóż ma jedno do drugiego?

— Bardzo dużo! Przedewszystkiem Barbarka to patronka górników.

— Kpicie?...

— Wcale nie! Aby ją uczcić, spiję się dokumentnie,

a da Bóg, to i wy się upijecie. Alkohol dodaje wigoru i zaostrza myśli...

— Nie do żartów mi teraz! — zmarszczył się Walicki.

— Ja też nie żartuję... Zaręczam, że pod wpływem alkoholu zrozumiecie jasno pewną bardzo prostą kwestję.

— Mianowicie?

— Że niewarto się męczyć nad projektem! Przecież i tak wszystko pójdzie tutaj niedługo nowym ładem.

Walicki schylił pochmurnie swą wielką twarz nad biurkiem i przygarbił się. Łuczyński cedził dalej:

— Chyba, że wierzycie w to, co powtarzają ostatnio dookoła...

— W co?

— Że was zamianują zawiadowcą...

— Nie wierzę!

— Więc powtarzam: nie warto się męczyć.

— To wasza zasada! Moja: pracować i nie zastanawiać się nad tem, co może przyjść.

— Jak uważacie...

— Trzymam się swojej zasady i dlatego proszę, abyście przygotowali wraz z Rzuchowskim kosztorys rozszerzenia.

— Po Barbarce.

— Niech już będzie... Ale zaraz po Barbarce, to jest na piątego wieczorem.

— Zrobione.

Krzesło zatrzeszczało z ulgą, gdy Łuczyński dźwignął swe okrągłości i przetoczył za próg gabinetu.

— Osiół! — gonila go myśl Walickiego. — Czemu on mi ciągle przypomina, że niedługo już moich rządów. Sam wiem o tem!

Nie było to prawdą. Walicki przypuszczał, że utrzyma się na „Heraklesie“, jeśli nie z tytułem zawiadowcy, to przynajmniej, jako samodzielny nadsztygar. Minął już wszak miesiąc od śmierci Roncewicza, a nikt z głów-

nego zarządu nie zjawił się nawet dla kontroli. Stalowski mu ufa coraz bardziej, na co wskazują ostatnie urzędowe listy.

— Pi - i - k !... — zaryczał w tej chwili saksofon samochodu.

— Kasjerzy z barbarką!... —zawołał któryś z urzędników.

Walicki wstał z fotela i przeszedł do sąsiedniego pokoju. Przed gankiem biura dygotał mały, jakby zasapany fordzik, parując na mrozie.

Kasjerzy wychynęli z wnętrza. Za nimi, jak nieodłączne granatowe tło, stąpali urzędowo dwaj policjanci z przewieszonymi przez ręce karabinami.

Szybko rozdawano urzędnikom zapieczętowane koperty z pieniędzmi.

— Można do pana zawiadowcy? — zapytał jeden z kasjerów.

Mile polechtany niespodziewanym tytułem, Walicki uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Ależ proszę bardzo!

— Rozliczymy sobie u pana pieniądze dla robotników. Wypłata naturalnie w Izbie zoornej.

— Proszę, proszę! — olbrzymie ramię zatoczyło zapraszający łuk. — Jakoś mi wyleciało z pamięci, że to dzisiaj wypłata „barburki”.

— Widocznie niepotrzebne panu pieniądze, zawiadowco! — śmiał się kasjer, zacierając suche, czerwone od mrozu ręce.

— Djabła tam! Na Barbarkę zawsze dużo floty pęknie.

Na biurku zadźwięczał metalicznie bilon układany w długie rulony...

— Nie będę panom przeszkadzał w liczeniu, bo muszę się zakrzętnąć koło tej ceremonii odznaczeń górników.

Wyszedł po listę robotników, przedstawionych do dekoracji za długoletnią służbę w podziemiach.

— To w tym roku tylko pięciu, panie Biernacki?

— Tak.

— Foszmanik za czterdzieści lat pracy, a tamci za trzydziestolecie?

— Tak, tak.

— Aha.

Uroczystość dekorowania medalami odbywała się w Dąbrowie i asystowali jej z reguły zawiadowcy kopalń. Walicki djablo nie miał ochoty wyjeżdżać do urzędu górniczego. Rzuciwszy okiem na ślęczącego z grafionem nad planami markszajdra, rozporządził:

— Panie Rzuchowski, pojedzie pan jako mój zastępca z kandydatami do Dąbrowy... Przedtem niech się do mnie zgłosi Foszmanik.

Po wypłacie w proggu gabinetu zawiadowcy stanął krępy, żyłasty człowiek z ponurą twarzą. Głowę miał pochyloną w dół, co sprawiało takie wrażenie, że chce kogoś ubość. Spod płaskiego nosa sterczały wiechcie szczeciniastych wąsów.

— Szczęść Boże panu nadsztygarowi! — pozdrowiły wąsy.

— Szczęść Boże! Chciałem się was zapytać, Foszmanik, czy macie paradny strój górniczy?

— Mam.

— A inni?

— Nie wszyscy.

— Muszą się wystarać.

— Rozumiem.

— Jako najstarsi musicie zadbać o pozostałych. A jak się zechcecie urznąć z kompanami, to zróbcie to po dekoracji, żebym ja za was oczami nie świecił.

Twarz Foszmanika jeszcze bardziej spochmurniała.

— Nie będę się upijał! Przecież mnie pan nadsztygar zna.

— No, pamiętajcie!

Nadszedł dzień Świętej Barbary.

Wschód zapalił się jaskrawą, czerwoną zorzą... Było wietrzno, zimno, lecz pogodnie. Na stwardniałej grudzie placu przed izbą zborną krzatali się handlarze, rozbijając kramiki. Zgrabiałe na mrozie ręce rozpościerały na tykach sztywne płachty namiotowego płótna i wyrzucały towar z łubów i z worków na prowizoryczne lady.

Zaroiło się od robotników, kobiet i dzieci, a cienkie głosiki dopominały się natarczywie o prezenty.

— Najprzód jest nabożeństwo, najprzód modlitwa! — reflektowali poważni ojcowie napierających się malców.

W kapliczce kopalnianej tłoczyła się gęstwa ludzka, głowa przy głowie...

Buchnęła długa, tradycyjna pieśń do Świętej Barbary. Nieuczony chór huczał modlitwę, w której prężyło się dostojenstwo twardej, jak granit pracy, przewijała prośba o odwrócenie nieszczęścia, dźwięczała silna wiara ludzi, co od pokoleń dzień po dniu schodzili w podziemia grażyć twarde skaliska wśród mroku, w trudzie i pod grozą śmierci.

„Barbarko Święta, perło Jezusowa,
Ścieżko do nieba grzeszników gotowa,
Wierna przy śmierci Patronko smutnemu
Konającemu.

— — — — —
Najmilszy Jezu w Świętym Sakramencie,
Niech mnie nakarmi w ostatnim momencie
Ostatnie słowo: Jezus i Maryja!...

Niech mnie nie mija!
W ranach najślodszych, w męce Jego drogiej
Zakryj mnie, Panno, od wszelakiej trwogi,
Abym umierał dobrze, z Twojej obrony
Nieustraszony!

Pieśń umilkła... Kapliczka wysypała tłum robotniczy, rozpełzający się po obszernym placu, zastawionym kramami. Zadźwięczały tanie trąbki, w które dęły pyzate,

radośnie nastrojone dzieci. Starsi przechadzali się godnie, wstępując do prowizorycznych sklepików... Tu i ówdzie wybuchały już pijackie sprzeczki i łączyły się z krzykiem zachwalających swój towar przekupniów w jeden głośny gwar tłumu.

Między czarnem mrowiem ludzkim snuło się kilkunastu górników w paradnych czarnych uniformach. Złote guziki biegły im dwoma skośnymi rzędami od piersi ku klamrze pasa. Lśniące pióropusze ich małych, okrągłych czapeczek trzęsły się na wietrze.

Rychło spośród umundurowanych wysupłał się odziatek udający się do Dąbrowy. Foszmanik z pochyłą do bodzenia głową zbliżał się w odświętnym stroju ku Walickiemu.

— To już jedziecie? — spytał nadsztygar, przekrzykując hałas.

— Tak jest! — poruszyły się wąsy.

— Szczęśliwej drogi!

— Ej, panie nadsztygarze, dziś odeśle nas pan na stację końmi! Jak Barbarka, to Barbarka!... Tego dnia wszystkie górniki pany, a cóż dopiero takie stare, jak my!

— Macie rację! Powóz stoi przed biurem... Niech was ścigaj odwiezie na Bukowno, a ja pójdę do kościoła piechotą.

— Bóg zapłać!

— Niema za co.

Koło szosy, zdala od tłumu tkwił, jak bocian nad błotem, Łuczyński. Daszek cyklistówki, niby dziób ptasi, nachylał się ku ziemi.

Obok niego Rzuchowski giestykulował tak żywo, jakby chciał rozpętać w powietrzu wichry i burze.

— Panie Rzuchowski — wołał Walicki — górnicy już pojechali na stację! Niech się pan spieszy.

— Jakżeto, mam iść piechotą?

— A tak! I to prędko, bo się pan spóźni.

— Do diabła z tą cholerną demokracją! — załopotał rękami.

Walicki czuł się radośnie i odświętnie. Spod szerokiego, czarnego kapelusza spływały pasma siwawych włosów, ostry wiatr rozwiewał mu długą, szpakowatą brodę. Górował nad otoczeniem swym olbrzymim wzrostem i swą władzą. Wszyscy zależeli od niego: on nimi rozporządzał, przesuwiał, jak pionkami. Wiedział, że za chwilę podejda do niego, porwą go w swe twarde, sękatę dłonie, aby go tradycyjnie podnieść do góry... Tyle lat huścili malutkiego Roncewicza, a on stał zdaleka, uśmiechając się lub pokrzykując...

W tym roku on tu zawiadowca, jego wyhuścają...

O! już idą, już go otaczają.

Tłum zbliżał się zwartem koliskiem.

— Niech nam żyje pan nadsztygar! — wiwatowały wąsate roześmiane twarze — Niech żyje!

Porwano go w górę. Widział stamtąd kłębowisko robotników i spacowanych, wyciągniętych ku sobie dłoni.

— Dziękuję, dziękuję!

— Jeszcze go raz i jeszcze! — podrywali go wyżej — Niech żyje pan nadsztygar!

— Co tam nadsztygar?! Nasz zawiadowca niech żyje! — krzyknął któryś.

— Racja! Zawiadowca! Niech żyje nasz zawiadowca!!

— Niech żyje!!

— Dziękuję, bardzo dziękuję, ale już dość!

Puścili go... Poprawił na sobie zmięte palto i ubranie, nacisnął mocniej kapelusz i wskazując laską wieże kościelne w Bolesławiu, zawołał basem:

— A teraz do kościoła!

Ruszył olbrzymiemi krokami... Tłum walił za nim szeroką falą, zaległszy całą szosę...

To już drugi raz w ciągu kilku dni tytułowano go zawiadowcą... Pierwszy uczynił to kasjer, a teraz robotnicy. Może kasjer coś wiedział?...

Po nabożeństwie rozmawiał długo z inżynierem Czarnowskim, zawiadowcą Bolesławia, kopalni należącej do innego towarzystwa, i spóźnił się do księdza.

Staruszek proboszcz witał go w ganku, gładząc swym wyczajem siwą, jak mleko, czuprynę.

— No tak... — mówił powoli i trochę przez nos — witam, serdecznie witam... No tak, mam powiedzieć, naszego nowego zawiadowcę witam, hę?

— E, gdzie tam, księżę kanoniku, gdzie tam!... Po staremu nadsztygara ksiądz wita...

Wypił tradycyjny kieliszek wina, porozmawiał chwilę i wyszedł.

— I znów mnie tytułował zawiadowcą!...

Około szóstej wieczorem zwalili się do Walickich wszyscy urzędnicy „Heraklesa“... Ruch, gwar, śmiechy, pełen dymu tytoniowego salon, poczęstunki. Mała pani Walicka mocno ściśnięta w pasie, kręciła się pomiędzy gośćmi, często kulając się do kuchni i powracając stamtąd.

Robiła wrażenie samowarka, a to tembardziej, że spowodu tuszy ręce nie przylegały do tułowia, ale odstawały, niby uszy tego szacownego sprzętu.

Walicki rozmawiał z coraz innymi osobami, a jego głośny, nieco rubaszny śmiech brzmiał co chwila mocnym basem. Od czasu do czasu rzucał okiem w kąt salonu, gdzie przy małym stolczku siedziała Wiktorja z Kwietniem. Wyniosła, spokojna — zwrócona była do ojca profilem. Nad wargą czernił się ledwie dostrzegalny cienisty puszek — długie brwi i rzęsy dodawały oczom wyrazu dumy. Przysadkowaty Kwiecień patrzył na Wiktorję pałającym wzrokiem, jakby chciał wchłonąć jej obraz na wieki...

Wtem jeszcze tłumniej zrobiło się w salonie, bo weszli dozorczy z Gładyszem na czele.

Gładysz zasiadł przy gospodarstwie. Uśmiechał się, pogadywał, ale łpał oczami na wszystkie strony, jakby kogoś niespokojnie poszukiwał. Wreszcie nie wytrzymał

i skrzywiwszy twarz uśmiechem, za którym czaiło się coś nieprzyjemnego, spytał:

— A gdzie to pan Andrzej?

— O, Jędruś w Krakowie! Nie przyjechał, bo kończy pracę dyplomową — wyjaśniła uprzejmie pani Walicka.

Wówczas Gładysz odetchnął, jakby się pozbył niewidzialnego ciężaru. Twarz mu się wypogodziła i oczy strzeliły prawdziwem weselem.

— No, panie zawiadowco, — pochlebił — w Bolesławiu aż huczy! Trzeba iść na zabawę... Przecież to Barbarka! Urzędnik, czy górnik jednakowego wtedy fachu i jednakiej radości.

Powiedział to tak głośno, że zaszurzały krzesła i poczęto wstawać z miejsc.

— Tak, tak, idziemy, idziemy!

Nadsztygar, mimo sześćdziesiątki lubił się bawić, to też rwał teraz tak prędko, że Gładysz ledwie nadążał.

— He, he, he! — śmiał się — pan zawiadowca jeszcze łasy na muzykę.

Walickiego podniósł młodzieńczy wigor i temperament. Wywijał ze swemi śleperkami i żonami górników, aż podłoga jęczała.

Co chwilę ktoś go odciągał do bufetu.

— Na jednego, panie nadsztygarze...

— Panie zawiadowco, z nami kolejkę...

Słowa „nadsztygar“ i „zawiadowca“ mieszały się ze sobą, jakby jedno chciało wyprzeć drugie. Walicki trącał się kieliszkiem, czasem pił, czasem wylewał zawartość, bo nie lubił alkoholu. Portfel mu się opróżniał, bo sam regulował wszelkie rachunki.

Szumiało mu w głowie, obraz sali i tańczących stawał się mętny i chwiejny. Postanowił nie pić więcej, gdy wtem napatoczył się Łuczyński.

— No, Zygmuncie, ze mną panie tego... — bełkotał już pijany sztygar i przyłgnąwszy do ramienia Walickiego, ciągnął go do bufetu.

Walicki podszedł sztywno. Coś mu się naraz ubrdało, że Łuczyński jest największym przeciwnikiem jego awansu.

— Trąćmy się!

Łuczyński wyciągnął drżącą rękę, a z przechylnego kieliszka skapywała czerwień wiśniówki i lepiała mu tłuste palce.

Wypili.

— Panie zawiadowco! — krzyknął ktoś.

Walicki skierował wzrok w kierunku głosu. Wyrznął pięścią w stół, aż szkliwo zadźwięczało i omal nie krzyknął:

— A będę, psiakrew, zawiadowcą!

Powstrzymał się... Zatańczyła mu w oczach sala, pochylili się podłoga. Zrozumiał jasno że się upił. Wstał i, roztrącając tańczących, przeszedł całą salę. Ubrał się i opuścił zabawę.

Ostre powietrze wnet go otrzeźwiło.

— A może naprawdę zostanę zawiadowcą? Powtórzyli mi to dzisiaj tyle razy, a przecież Barbarka patronka górników...

Uśmiechnął się w mroźną, gwiazdzistą noc...

VI.

TU i W GŁÓWNEM BIURZE.

Łuczyński dotrzymał danego słowa. Wieczorem piątego grudnia kosztorys rozszerzenia pochylni był gotowy w ogólnych zarysach.

Walicki pogrążył się w planach i codziennie odwiedzał pole Targowskiego. Często towarzyszył mu Łuczyński, więc pracowali we trzech. W połowie grudnia wszystko już zostało ustalone, pomiary dokonane, nadsztygar wykańczał szczególiki. Pochylony nad biurkiem pisał własnoręcznie memorjał do Zarządu Głównego.

— A więc już! — odsapnął. — Jutro da się to na maszynę i wyśle do Dąbrowy.

Rozstawione palce przeorały długą, szpakowatą brodę.

— To jest pierwsze moje dzieło, jako samodzielnego zarządcy kopalni. Niech wiedzą, że nie gorszy od inżynierów.

Wielka, żółta koperta wchłonęła rezultat rozmysłań obliczeń, dociekań i ostatecznych postanowień starego nadsztygara... Przebiegła przez kilkanaście rak — ktoś tam przybił na niej stempeł, ktoś inny przerzucił w sortowni pocztowej i wreszcie spoczęła na zielonym blacie biurka dyrektora Stalkowskiego.

Dyrektorowi projekt odrazu przypadł do gustu, ale nie miał czasu na zapoznanie się z nim bliżej.

— Zdolny człowiek i mimo wieku ciągle jeszcze twórczy. — pomyślał.

Złożył papiery i odsunął je na bok. Spojrzał na zegarek nieco zniecierpliwiony, jakby kogoś oczekiwał.

Wszedł woźny i zameldował:

— Pan inżynier Faleński.

— Prosić, prosić!...

Akurat w tej chwili Walicki rozmyślał, co się dzieje z jego projektem. Nie wiedział, że w głównym biurze siedzi teraz naprzeciwko siebie dwóch ludzi. Jeden tonie w klubowym fotelu, opierając łokcie splecionych rąk na jego poręczach. Czoło o dwóch głębokich zmarszczkach przechodzi w dokładnie jajowatą, matową łysinę, na okrainach której rosną dość bujne, ciemne włosy. Zmęczona twarz człowieka, cierpiącego na jakąś wewnętrzną chorobę, ozdobiona uśmiechem, w którym biorą udział jedynie usta. Naprzeciw niego zajął miejsce prosty, mocno zbudowany blondyn, lat trzydziestu siedmiu, ośmiu. Postawa energiczna, skupiona, głowa podana nieco ku dołowi. Przy poruszeniach binokle raz w raz błyskają refleksami światła. Usta zaciśnięte tak mocno, że aż robi wrażenie, iż brakuje dolnej wargi.

— Więc słucham pana dyrektora!...—mówi Faleński.

— Dziś finalizujemy umowę... Oczywiście, w sensie dodatnim.

Elegancki skłon głowy i błysk binokli.

— Obejmuje pan stanowisko zawiadowcy kopalni na „Heraklesie“ — ciągnie Stalkowski z cierpiącym uśmiechem— od dnia pierwszego stycznia. Dotychczas zastępco pełnił tę funkcję nadsztygar Walicki... Bardzo zdolny i energiczny człowiek... Między nami mówiąc, rządzi on „Heraklesem“ już od wielu lat. Kopalnię zna świetnie. Dzisiaj właśnie otrzymałem od niego memoriał w sprawie pewnej bardzo ważnej inowacji... To te papiery... Po przyjacielsku radziłbym panu zasięgać jego rady, zwłaszcza w początkach.

Po twarzy Faleńskiego przebiega lekki cień, a czoło się marszczy.

Nachyla się nad papierami.

— Jak widzę, nadesłał również plany.

— Tak, tak... Na liczenie się ze zdaniem Walickiego nie kładę specjalnego nacisku, ale wartoby: to nasz stary, wypróbowany pracownik.

Głowa Faleńskiego podnosi się. Binokle błyskają znowu. Wyraz twarzy jest jednak zupełnie zamknięty. Nie widać, czy inżynier wyraża zgodę, czy sprzeciw na przyjacielską radę dyrektora.

— Warunki już omawialiśmy. Oto umowa do podpisu. — dyrektor podsuwa arkusz maszynowego pisma.

Faleński energicznym ruchem ujmuje pióro i stawia zamasztysty podpis.

— Drugi egzemplarz zachowuję sobie? — pyta.

— Naturalnie... Chyba żadnych więcej szczegółów nie mam panu do udzielenia... Tak...

Faleński wstaje z miejsca i kłania się.

— Pozwoli pan dyrektor wyrazić sobie najgorętsze podziękowanie.

— Ależ niema za co, niema za co...

W chwili, gdy zawiadowca jest już niemal w progu, Stalkowski dodaje:

— A niech pan pamięta o moich radach co do Walickiego.

Faleński odwraca się i skłania głowę.

— Postaram się... — odpowiada i opuszcza gabinet.

Po jego wyjściu dyrektor zabiera się do podpisywania papierów.

— Te tutaj idą na „Herakles“... — myśli i cyfruje jeden za drugim.

Następnego dnia poczta przyniosła Walickiemu obfitą korespondencję. Między wielu listami znajdował się jeden w kopercie z nagłówkiem „Generalny Dyrektor T. K. W. w Dąbrowie Górniczej“.

— O, już mi odpowiadają na mój memorjał!

Z rozdartej koperty wypada niewielki arkusz papieru. Walicki zbliża go do oczu i czyta:

„Do

Wielmożnego Pana nadsztygara kop. galmanu

„Herakles“

w Tłukience.

Wyrażając WPanu podziękowanie za dotychczasowe zastępstwo zawiadowcy kopalni, zawiadamiam, że z dniem pierwszego stycznia obowiązki te obejmie na „Heraklesie“ pan inżynier Zenon Faleński, a WPan powróci na swoje dotychczasowe stanowisko nadsztygara.

Dyrektor (—) Stalkowski“.

Nadsztygar opuścił rękę, w której trzymał list dyrektora. Wielka twarz mu spochmurniała.

— Ah, to tak... — szepnął i ciężko siadł na fotelu.

VII.

PRZYJAZD.

W końcu grudnia szosą z Tłukienki do Krążka jechał wóz, naładowany niezbędnymi sprzętami. Kilka krzesel, stół, żelazne łóżko, materace, umywalnia... Zabrano je z pokoiów gościnnych, mieszczących się na Tłukiencie, i wieziono do pustego mieszkania zawiadowcy. Walicki doglądał wszystkiego osobiście, a jego gruby, rozkazujący głos brzmiał to w obejściach, to w mieszkaniu... W tej chwili nadsztygar znajdował się w wozowni.

— Sanki doprowadzić do ładu, bo niedługo już się sanna przetrze!

Przesunął się wielki, rozrosły przez podwórze i wszedł do mieszkania zawiadowcy. W pustych pokojach głucho huczały kroki, a głos tłukł się po ścianach. Rozejrzał się wokół... Nie był tutaj od pogrzebu Roncewicza.

— Gdzie walisz z takimi buciorama?! — krzyknął na furmana, wnoszącego krzesła. — Wytrzymaj je!

Pod piecem kłęczała szychciarka i układała na paleniku kawały węgla.

— Dobrze, dobrze, Franka! — pochwalił. — Pał we wszystkich pokojach, choćby piece miały popękać!

Zakręcił się tu i tam i wyniósł się na podwórze.

— Ścigaj, dziś o pół do ósmej macie być przed mojem mieszkaniem, bo o ósmej piętnaście przychodzi pociąg z Dąbrowy. Pojedziemy na stację do Bukowna.

Dnia tego od samego rana padał śnieg. Płynął i płynął bez końca suchemi, wielkimi płatami. Mgliste niebo rozlewało się nisko nad ziemią, a słońce, nie mogąc przebić opony chmur, tajiło się za niemi mleczną poświatą... Było cicho, miękko i utulnie.

O wczesnym zmroku wypogodziło się zupełnie. Wśród ciszy czasem przewinęły się chłopskie sanie w jednego

konia, zadudniały płozami i ginęły, dzwoniąc toniście w śnieżnej dali rohuśtanym dzwonkiem.

Walicki był zdenerwowany. Nie mógł się doczekać oznaczonej pory. Zabierał się do czytania gazety, ale nic z niej nie rozumiał. Oczy wchłaniały mechanicznie czarne szeregi literek, ale myśl nie chwytiała sensu.

Pani Walicka towarzyszyła mężowi w stołowym pokoju. W sąsiednim rozmawiali półgłosem narzeczeni. Kwiecień jakoś dziwnie drażnił dzisiaj nadsztygara swem zachowaniem. Mały, pękaty — siedział naprzeciw Wiktorji i promieniał zadowoleniem. Opowiadał coś i uśmiechał się co chwila, odsłaniając swe drobne, białe zęby. Wiktorja była podniecona. Jej matowa zwykle twarz pałała rumieńcem, a oczy błędziły gdzieś z roztargnieniem.

Nareszcie zadzwoniły sanki przed domem.

Walicki zerwał się z miejsca.

— To wy, Ścigaj? — krzyknął z ganku.

— Tak jest, panie nadsztygarze.

— Dcbrze, jedziemy.

Włożył futro, nie zważając, że jest jeszcze dość wcześnie.

Trzy naftowe latarnie oświetlają tory Bukowna. Sama stacja położona jest niżej, tonąc jakby w wąwozie. Walicki przyjechał na długo przed przyjsciem pociągu i spacerował teraz wzdłuż toru tam i spowrotem. Jego wielka postać to niknęła w mroku, to wyłaniała się z niego, wstępując w krąg latarni.

Przed pociągiem z Dąbrowy miał jeszcze nadejść osobowy z przeciwnej strony, t. j. od Olkusza. Podano sygnały... Nadleciał daleki pogłos dudnienia i odbił się echem o sosnowy bór. Nagle z mroku nocy wyskoczyły ślepie lokomotywy i rosły coraz większe i jaśniejsze, a szum, klangor i szczekotanie waliły w uszy coraz donoślej.

Walicki dostrzegł zdaleka jakąś dziwną, płomienną czerwień pod jednym z wagonów.

— Oś nagrzana! — rozległ się głos wyskakującego z pociągu konduktora.

— Czy odczepi się wagon? — brzmi w ciemnościach drugi głos.

Zbliża się dyżurny ruchu. Trzy postacie nachylają się, wpatrując w czerwoną oś wagonu.

— Wytrzyma! — rozstrzyga dyżurny.

Daje sygnał latarką... Gwizdki, wyfuk pary, stukot wagonów po szynach. Pociąg zaczyna niknąć wśród nocy. Rozpędza się — oś czerwienieje mocniej i jaskrawiej. Buchają już w mroku jęzory ognia niemal płomieniem i chwieją się, liżąc podwozie...

— Trzeba było odczepić.

— Dojedzie!

— Zatelefonuję do Sławkowa...

„Zły prognostyk!“ — myśli Walicki.

Nie ma czasu się zastanawiać, bo pociąg z Dąbrowy już się wtacza na stację.

Wysiada kilka osób... Wszyscy znani Walickiemu... Jeden tylko mężczyzna — prosty, w krótkim kożuszku, z pochyloną nieco ku dołowi głową — nieznajomy. Znajduje się akurat w kręgu światła latarni. Nagłym ruchem podrzuca głowę do góry, a wówczas binokle błyskają złotym reflekssem.

Walicki zbliża się do niego.

— Czy pan inżynier Faleński?

— Tak.

— Pan pozwoli się przedstawić... Jestem Walicki.

— Faleński.

Mocny, krótki uścisk dłoni. Nadsztygar czuje w nim energję, wolę i nieustępliwość.

— Tędy, tędy, panie zawiadowco! — wskazuje drogę, odbierając walizkę i ujmując Faleńskiego poa ramię. — Trzeba przejść tor.

Faleński usuwa swe ramię ruchem zupełnie zdecydowanym, chociaż pełnym elegancji.

— Dziękuję panu uprzejmie... Dam sobie jakoś sam radę.

Wyjmuje z kieszeni ręczną, elektryczną latarkę i jasny snop światła pada na białą ziemię.

— To te sanki?

— Tak, panie inżynierze.

Siadają.

— Pan inżynier, zdaje się, był przedtem na Śląsku?

— Tak.

— To będzie się panu inżynierowi tutaj nudziło. Tam ruch, życie towarzyskie, a tu kompletna dziura.

— Ależ dlaczego? — odpowiada, a Walicki konstatuje, że zawiadowca ma miły, dźwięczny głos. — To nie zależy od okolicy. Nuda czy też radość mieszczą się w nas samych...

Poprawia się na siedzeniu i odwraca nieco głowę. Ruchom tym nic nie można zarzucić z punktu widzenia dobrych manier. Są wykwintne, ale zarazem najwyraźniej mówią, że zawiadowca nie chce rozmawiać.

— Twardy będzie! — myśli Walicki, i już się nie odzywa. Dopiero, gdy się zbliżają do Tłukienki, wskazuje:

— O, tam, gdzie te latarnie, to nasze biuro... Szyb wyjściagowy zaraz zobaczymy. Będzie tuż przy szosie.

— Aha!... Po dniu rozpatrzę się lepiej.

— Naturalnie...

Spod światła latarń kopalnianych Tłukienki wpadli znów w ciemną noc. Konie pędziły ostrym kłusem, a spod kopyt bryzgały na sanki grudki ubitego śniegu. Z góry zamajaczyły światła w oknach kilku domów.

— Krażek! — oznajmił Walicki. — Zajedziemy, oczywiście, do mnie na kolację.

— Dziękuję, panie nadsztygarze, ale nie będę mógł skorzystać. — odparł Faleński ze stanowczą, bezapelacyjną grzecznością.

Ton inżyniera zaczął Walickiego ogromnie drażnić. Czuł, że młody zawiadowca góruje nad nim tą chłodną grzecznością, której już w tej chwili nienawidził.

— A to czemu? — spytał obcesowo.

— Jestem bardzo zmęczony..

— Ha, ha, ha, wolne żarty! W pańskim wieku zmęczeniu!

— A jednak będę musiał..

— Ależ ja wcale nie nalegam — odparł szorstko. — Powiem panu otwarcie: Przewidywałem i to, że pan nie zechce wstąpić, i wszystko jest przygotowane.

— Dziękuję panu, panie nadsztygarze.

Wyskoczył z sanek i podał Walickiemu dłoń na pożegnanie.

— Kika, Kika! — zawołał nadsztygar na stróża. — Wprowadźcie pana zawiadowcę, a żona niech migiem herbatę przynosi.

Odwrócił się na pięcie i skierował ku swemu domowi, który znajdował się po przeciwnej stronie szosy.

— To już wojna zaczęta! — pomyślał.

— Jutro zajedźcie o siódmej rano! — usłyszał rozkaz Faleńskiego.

— Chłystek! — syknął wzgardliwie.

— No i cóż? Jak? Jakiż on jest? Sympatyczny?

Rój pytań spadł na Walickiego jeszcze w przedpokoju. Nadsztygar wycierał chustką osędziałe na mrozie wąsy i brodę.

— Jaki? — powtórzył. — Skończony dureń!...

— Jakże tak można? — zgorszyła się mała pani Walicka.

— Ależ, ojczy!

— Albo nie! — poprawił Walicki. — Nie, nie dureń, tylko wytworny cham! — Roztrącił swą wielką osobą trójkę zgromadzonych i pierwszy wszedł do pokoju wielkimi krokami.

VIII.

PIERWSZE POSUNIĘCIA.

Kikowa wniosła na tacy imbryk z herbatą. Na stoliku Faleński znalazł chleb, masło, bułki i wędliny. Zobaczywszy to, pożałował, że nie poszedł do Walickich.

— I tak on nademną góruje—pomyślał —Trzeba było iść i nadal zachowywać się zimno i uprzejmie, aby go jeszcze mocniej usadzić.

Całe zachowanie się wobec Walickiego było z góry obmyślane. Faleński nigdy nie działał odruchowo. Wszystkie czyny, a nawet i gesty, płynęły z dawno przedtem opracowanego planu i inżynier tracił wiele czasu na przewidywanie sytuacji, kombinowanie możliwych rozmów, pytań i odpowiedzi. Przytem wyobraźnia przedstawiała mu siebie samego, jako bezwzględnie górującego nad otoczeniem w każdej sytuacji. Gdy myślał „ja“, zawsze widział przed sobą swą sztywną, prostą sylwetkę.

Sposób postępowania względem Walickiego ułożył sobie zaraz po rozmowie ze Stalkowskim. Powtorzona dwukrotnie rada dyrektora, żeby zasięgał opinii nadsztygara, odniosła wręcz przeciwny skutek. Postanowił z miejsca mocno ująć w karby dawnego „samowładcę kopalni“, jak w myślach nazywał Walickiego.

Zawiadowca długi czas pracował u Francuzów i miał ich za mistrzów intrygi i sztuki rządzenia. Dwa były kankony, od których nigdy Francuzi zagłębiowscy i śląscy nie odstępowali. Pierwszy—to nie ufać nikomu; drugi—opierać się raczej na niższych podwładnych, aby im zazdrościli wyżsi, i w ten sposób klócić wszystkich z wszystkimi.

Faleński do tej pory nie zajmował samodzielnego stanowiska i nie miał możności wypróbować niezawodnej francuskiej metody. Obserwował ją tylko i podziwiał. Teraz marzył, że wprowadzi ją w czyn tak znako-

micie, że przytmi nawet samych mistrzów. Marzenia te nie były pozbawione pewnej dozy złośliwej satysfakcji, że odbije sobie na innych to, co sam ongiś wycierpiał.

Typowy teoretyk zbliżał się do życia zawsze z jakąś doktryną, której trzymał się z uporem, bez względu na to, czy okoliczności ją potwierdzały, czy jej wręcz przeczyły.

Na zasadzie tego, co mówił z nim Stalkowski, oraz z opowiadań znajomych, urobił sobie o „Heraklesie“ opinię niepochebną. Według niego stary Roncewicz był niedołągą i wszystkich rozpuścił. Specjalnie zaś pobłażał Walickiemu, który sobie teraz wyobraża Bóg wie co. Nadsztygar pracuje napewno przedpotowemi metodami, nie mając pojęcia o postępie już choćby dlatego, że od wielu lat nie wychylał nosa poza prymitywną kopalnię rudy cynkowej. Wszystko tu jest skostniałe, zrutynizowane i przestarzałe. Energja Walickiego polega na tem, że głośno krzyczy, zaś zmysł organizacyjny przypisują mu z tego powodu, że umie górnikom sypać kary... Trzeba tu wprowadzić nowy ład, a zacząć należy od pozbawienia starego nadsztygara wpływów na sprawy techniczne kopalni.

Wstał i przeszedł się po wielkim, niemal pustym pokoju.

— Więc od jutra rozpoczynam orkę.

Zrazu nie wprowadził na kopalni żadnych zmian. Wtajemniczał się w sprawy „Heraklesa“ i poznawał go. Na powierzchni widywano stale jego sztywną postać w krótkim kożuszk, z pochyloną nieco ku dołowi głową. Chodził po sortowni, zaglądał do płuczki i maszyn, wstępował codzień do magazynu... Na dół zjeżdżał sam, zaopatrzony w najnowsze plany „Heraklesa“.

Po kilku dniach zaczął czynić pewne nowe posunięcia w dziedzinie administracji kopalni. Posunięcia te skierowane były w gruncie rzeczy przeciwko Walickiemu, lecz zawiadowca tak gładko sprawę załatwił, że początkowo nadsztygar w niczem się nie zorientował.

— Panie nadsztygarze, — rzekł, wskazując uprzejmym gestem fotel — pozwoliłem sobie pofatygować pa na tutaj, aby zasięgnąć jego rady co do kilku kwestyj.

Walickiemu wygładziło się oblicze, a wielkie oczy poweselały.

— Słucham...

— Otóż, proszę pana, — rzucał powoli słowo po słowie, siedząc za biurkiem sztywno wyprostowany, jakby dostojny i arystokratyczny, z czem nie licowały jego grube, muskularne ręce—opracowałem projekty nowych raportów odnośnie takich materiałów, jak: karbid, drzewo, smary i t. d... Wydatki na te materiały pochłaniają wielkie sumy, a kontrola dotąd nie była zbyt ścisła.

Walicki poruszył się, chcąc przerwać, ale inżynier mocniej wpatrzył się w niego i ciągnął dalej:

— Przyzna pan, że rzecz jest niezmiernej wagi.

— Naturalnie, panie zawiadowco, tylko, że i dawniej...

— Chwileczkę! Panie nadsztygarze, żywię do pana specjalne zaufanie, a to tembardziej, że wspomiano mi o panu w Głównym Zarządzie...

W tym momencie Walicki skłonił swą wielką głowę, aż mu się zachwiały pasma długiej czupryny.

— Otóż, — podjął zawiadowca — bardzo pana proszę, aby pan wypełniał osobiście wszystkie te raporty. Oto one...

Uklonili się sobie wzajemnie i Walicki wyszedł. W swoim pokoju przejrzał dokładnie wręczone mu schematy.

— Będzie moc pisaniny... Jakiś biurokrata...

Kiedy począł wypełniać raporty, spostrzegł, że zabierają mu dużo więcej czasu, niż przypuszczał. W kilka dni później spadły na niego nowe obowiązki biurowe. Wyszło mianowicie rozporządzenie, że nic nie można wydać z magazynu bez jego podpisu. Nawet owies dla koni zawiadowcy musiał być pobierany za kwitem, podpisywanym przez nadsztygara.

Walicki całe dnie spędzał teraz w swoim pokoju, pisząc i pisząc bez końca, tak, że wprost nie miał czasu zjeżdżać na dół. Wówczas przeniknął grę Faleńskiego.

— To do tego prowadzisz... — myślał. — Ja tu będę sobie podpisywał nieskończoną ilość kwitków i zasmarowywał cyframi te idjotyczne raporty, a kopalnia ma iść tymczasem bezemnie!... Poczekaj-że, zagram i ja z tobą w ciuciu - babkę.

W ciągu kilku dni nie ruszał się z biura, tkwiąc nad papierami, które potem zabierał jeszcze do domu. Kreślił coś, przerabiał, ulepszał... Skończywszy tajemniczą pracę, zapukał do gabinetu Faleńskiego.

— Panie zawiadowco, — uśmiechnął się jowialnie — udało mi się doskonale uprościć raporty... Oto schematy. Będą mi zabierać tylko połowę czasu.

Faleński podniósł wolno głowę, a biały refleks światła przesunął się przez binokle.

— A to ciekawe, bardzo ciekawe... Pozwoli pan, że przejrzę te projekty i dam mu odpowiedź.

— Ależ proszę bardzo, poto tylko je przygotowałem.

— Jednak do chwili ostatecznej decyzji proszę składać raporty według dawnych schematów...

— A możebyśmy odrazu przejrzeni i porównali, to takie proste.

— Nie, panie nadsztygarze, kwestja jest zawiła i wymaga namysłu. Proszę mi te nowe schematy zostawić.

Minęło kilka dni... Walicki czekał na decyzję cierpliwie.

— Niepotrzebnie się uniosłem pierwszego dnia, gdy przyjechał... Teraz to się nie powtórzy, — postanawiał. — Spokój na spokój, wytworność na wytworność...

Nie wytrzymał jednak i spytał kiedyś:

— Jakże tam, panie zawiadowco, z mojami projektami raportów?

— Ah, prawda, byłbym zupełnie zapomniał... Niestety, musi pan, panie nadsztygarze, trzymać się dawnych wzorów...

— Dlaczego?

— Są bardziej przejrzyste... W pańskich mogliby się nie połapać w głównym biurze.

— Czyżby?...

— Tak!

— Możeby jednak spróbować, a nuż się połapią... Tam pracują bardzo zdolni ludzie...

— Nie można.

— Dla próby... choć kilka dni...

— Panie nadsztygarze, powziąłem decyzję po głębokim zastanowieniu i jest nieodwołalna!

— Takieś to ty ziółko! — myślał Walicki, wychodząc z gabinetu Faleńskiego. — No, dobrze!... Będziemy sobie igrać dalej. Zobaczmy, kto kogo przetrzyma. Masz przewagę, boś mój przełożony, ale ja mam też swoją przewagę. Zaharuję się, psiakrew, ale kopalnię będę znał, jak znałem. Nie usuniesz mnie z dołu!

Faleński w myśl dogmatu fracuskiej strategii starał się przeciwstawić Walickiemu któregoś ze sztygarów. Łuczyński pozostał jednak zupełnie obojętny na jego komplementy i pochwały. Słuchał ich z miną tak apatyczną, jakby nie o nim mówiono. Rozruszał się nieco, gdy mu zawiadowca wspomniał o jego pracach naukowych — bo na to weźmie się każdego autora — ale na tem koniec... Czupurny Kwiecień, w lot pojawiający, do czego Faleński zdążył, nachmurzył się i burknął coś niechętnie. Inżynier, dowiedziawszy się potem o stosunkach, łączących Kwietnia z nadsztygarem, żałował, że wogóle z nim rozmawiał. Zrażony do sztygarów, nie zwracał się nawet do Targowskiego, lecz zdobył się na bardzo ryzykowne posunięcie, mianowicie zaczął specjalnie wyróżniać Gładysza, naruszając tem hierarchję górniczą. Powołał go raz i drugi na konferencję, potem ją zasięgał jego rad i wypytywał o różne szczegóły. Gładysz nie od razu zorientował się w sytuacji. Gdy jednak ją zrozumiał, nabrał wielkiej pewności siebie. Stąpił sztywno po dole, puszył się, jak indor, i traktował z góry zarówno ro-

botników, jak dawnych kolegów - dozorców. Wkrótce Fałęński zamianował go starszym dozorcą, z prawem i obowiązkiem nadzoru nad całą kopalnią. Było to coś tak niesłychanego, że dla upozorowania swego zarządzenia, inżynier czuł się w obowiązku wyjaśnić sztymarom:

— Pan Gładysz dlatego obejmuje dozór całej kopalni, że będzie pełnił funkcje dozorca podszkoleńczego.

W rzeczywistości Gładysz odgrywał dużo większą rolę i począł wchodzić w atrybucje nadsztygara, choć oficjalnie pozostał nadal dozorcą. Wśród sztymarów zawrzało. Najbardziej burzył się Kwiecień, ale i Łuczyński wbrew swym zasadom i usposobieniu nie pozostał obojętny.

Walickiego tak pochłaniały zajęcia biurowe, że dowiedział się o wszystkim dopiero od Kwietnia i to nie na kopalni, lecz u siebie w domu... Usłyszawszy nowinę, sponsowiał...

— Co? — sapnął — Dozór nad całą kopalnią?... Nie, panie dobrodzieju, tę głupią pisaninę będę odrabiał w domu!... Rano zaczął chodzić na dół, bo tu się już zaczynają dziać rzeczy nadzwyczajne!!

Nazajutrz zwrócił się do jednego z urzędników biurowych:

— Panie Helman! Zostawiam panu kilka podpisanych kwitów. Jakby tam czego zażądano, to niech pan kwit wypełni. Przytem proszę zająć się temi idjotyzmami! — cisnął na stół schematy raportów — Ja idę na dół.

W atmosferze kopalni zawisła burza. Sztymarzy śledzili, co z tego wyniknie, lada moment spodziewając się ostrego starcia. Jakoż awantura nie kazała na siebie długo czekać.

Walicki, obchodząc pole Targowskiego, natknął się na porzucone w chodniku taczki i jakieś narzędzia górnicze. O kilka kroków dalej stały na szynach dwie kołby...

— Ale mają porządek, psiakrew! Wózków brakuje pod fedrunek, a te się walają beczynnienie!

W najbliższym numerze spytał górnika:

— Mosur, co to za taczki i wózki tak się poniewierają?

— A nie wiem, panie nadsztygarze — odparł górnik, przestając borować dziurę. Obtarł dłonie o spodnie i dodał filozoficznie:

— Musi komuś potrzebne!...

— Dawno już stoją?

— A już i tak ze trzy dni...

Po chwili, wpatrując się niby to zupełnie obojętnie w Walickiego, dorzucił powoli:

— Pan Gładysz to tam pewnie będzie wiedział...

— A nie widzieliście dzisiaj czasem pana Gładysza?

— Cóż-bym go nie miał widzieć? Przed chwileczką tu był, to i o nim mówię. — odparł takim tonem, jakby poprzednio wspomniał o dozorczy tylko przypadkowo.

Ujął w sękatę dłoń wiertarkę i odkręcił powietrze. Wiertarka się siepnęła. Mosur zebrał się w sobie i napał nią z całej siły w skałę. Zgrzyt, trzask, wściekle szczekanie i świder graży się w caliznę.

Walicki odszedł. Przy wózkach zatrzymał się, świecąc lampą wokoło. Na szynach bronzowała drobnym nalotem świeża rdza.

— Porządek, porządek!

Byłby się może wysapał, ale nieszczęście chciało, że akurat napatoczył się Gładysz. Walicki dojrzał go zdaleka, wyłaniającego się z mroku chodnika.

— Panie Gładysz! — zawołał.

— A co?

— Proszę tutaj do mnie!

— Idę... — odparł flegmatycznie i nie przyspieszył kroku.

— Ale już!... Prędeż, kiedy wołam!

Dozorca wiedział, że rządy Walickiego skończyły się

bezpovrotnie, a żywiąc do niego specjalną urazę spowodu Andrzeja, odpowiedział gburowato:

— Przecież pary z siebie nie wypuszczę...

To harde odezwanie tak zaskoczyło nadsztygara, że na chwilę zaniemówił... Zrozumiał, że dużo musiało się już zmienić na „Heraklesie“, jeżeli dozorca pozwalał sobie na takie zachowanie się wobec niego... W mózgu rodziły mu się i gasły myśli, jak błyskawice...

Jak postąpić?... Oczywiście, że ten dureń jest tylko narzędziem Faleńskiego... Z zawiadowcą trzeba spokojnie i w rękawiczkach. Ale czy się zdoła opanować, czy nie wybuchnie?...

— Panie Gładysz, co tu robią te narzędzia i te wózki?

— Ano, stoją...

Walicki wyprostował się na całą swą olbrzymią wysokość i huknął basem:

— Panie, nie wyprowadzaj mnie pan z równowagi! Wiedz pan do kogo pan mówisz!!

W całej postawie Walickiego tajiło się coś groźnego... Poczucie dawnej subordynacji wzięło u dozorca górę nad chęcią triumfu.

— Muszą tu stać, panie nadsztygarze. — odrzekł innym tonem.

— Natychmiast to sprzątnąć! Wózków brakuje, taczek brakuje, a te tutaj rdzewieją!...

Wobec poprzednich rozporządzeń Faleńskiego Gładysz znów nabrał pewności siebie:

— Sprzątnąć, to się ich nie sprzątnie.

— Dlaczego?

— Bo tak-eśmy już obaj uradzili.

— Kto?

— No, ja z panem zawiadowcą... Niedługo się tu będzie wozić drzewo, więc stoją i będą stać. Teraz pan rozumie, panie nadsztygarze?

— Rozumiem! A pan, panie Gładysz, żebyś pan też rozumiał... z kim pan mówisz i jak należy mówić, to pan

zapłacisz dziesięć złotych kary za gburowate odezwanie się do mnie.

Gładysz stał nastroszony i patrzył w mroki chodnika, gdzie znikał nadsztygar. Właściwie całą swą karierę zawdzięczał Walickiemu i do niedawna czuł do niego raczej wdzięczność i sympatję. Teraz bezsilna złość nadsztygara sprawiała mu dotykającą satysfakcję. Z jakąś tajoną radością obserwował przed chwilą rozłoszczoną twarz Walickiego, jak przyjemnie grały w uszach dudniące w głuchej ciszy kroki starego, kiedy stąd podniecony odchodził! Dozorca wiedział, że znienawidził Walickiego dzięki Andrzejowi. Westchnął głęboko i jakby z żalem: czuł, że porachunki ze starym są tylko namiastką; że prawdziwą radość osiągnąłby tylko wtedy, gdyby mógł dosięgnąć Andrzeja.

— Ah, jego dostać, jego samego! — syknął i jeszcze bardziej ponuro spojrzął w mrok chodnika.

Walicki tymczasem sunął ku podszybiu olbrzymimi krokami.

— A, drań!—myślał—Liczyć tu na ludzką wdzięczność... Ja go zrobiłem dozorcą, a on mi tak? Ale zapłaci za swoje chamstwo!...

Wyjechawszy z dołu, nie wstąpił nawet do łaźni. W dołowym zniszczonym ubraniu, z palącą się jeszcze lampa wszedł do Faleńskiego.

Zdjął gwałtownie kapelusz i spytał ostro:

— Panie zawiadowco, czy ja jestem jeszcze nadsztygarem?

Sztynna postać zawiadowcy spokojnie zwróciła się ku niemu:

— Nie rozumiem, o co pan pyta?

Wielkie oczy Walickiego pały.

— O to, czy jestem nadsztygarem?!... Bo tu poza moimi plecami dzieją się różne rzeczy. Wydaje się rozporządzenia, konferuje się z jakimiś dozorcami, a ja o niczem nie wiem.

— Panie nadsztygarze! — sucho i wyniośle zaczął

Faleński — O tem, z kim mam konferować, sam wiem dobrze!...

— A ja zwracam panu zawiadowcy uwagę na to, że rozporządzenia muszą iść przezemnie, a przynajmniej ja muszę o nich wiedzieć. To zasada rządzenia, karność! Nieboszczyk pan Roncewicz—tu westchnął, jakby przypominając sobie osobę zmarłego — Nieboszczyk pan Roncewicz — powtórzył — zawsze mówił: hierarchja to podstawa rządzenia.

Faleński na wspomnienie Roncewicza jeszcze bardziej się napuszył:

— To, co było, należy do bezpowrotnej przeszłości. Trzeba się liczyć z rzeczywistością! Obecnie rozstrzygam wszystko ja, a jak to robię — to jest wyłącznie moja sprawa!

— Nietylko pana zawiadowcy!... To jest sprawa nas wszystkich, to jest sprawa „Heraklesa“!... Ja dwadzieścia osiem lat zabiegałem o niego, dwadzieścia osiem lat ochraniałem. On wrósł we mnie, tak jak ja w niego i ja nie dam, nie pozwolę...

— Panie nadsztygarze, proszę się liczyć ze słowami! — uniósł się po raz pierwszy od objęcia posady Faleński.

— Cóż ja takiego mówię? Dochodzę tylko tego, co mi się należy, tego, co było...

Stał olbrzymi, groźny ze swą siwiejącą brodą i rozwianemi włosami, jakby broniąc sobą starych praw i zwyczajów przed czemś nowem, a dla niego niepojętem.

— Pan się zapomina. Panu nie wolno mówić: „Nie pozwolę“. Ja sobie wypraszam.

— Tak?... Więc ja pana zawiadowcę raz jeszcze pytam, czy jestem nadal nadsztygarem?

— Oczywiście! Ma pan jednak swoje funkcje i ich pan powinien pilnować.

— Tej dłubaniny biurokratycznej, którą chce mnie pan przywalić, żebym się nie wtrącał do dołu?...

— Wszystko mi jedno, jak pan to nazywa.

— Póki będę żył, póty nie wyrzeknę się tego, co mi się należy! Proszę mnie zdegradować, a wtedy nie będę miał pretensyj! Prawo jest prawem!...

— Nikt tu na pana nie nastaje, nikt nie pragnie degradacji!

— Jeśli tak, to muszę wykonywać obowiązki, które do mnie jako nadsztygara należą!

— Do pana należy przede wszystkim to, co panu powierzam!...

— Ja swe obowiązki znam! Wiem, co robiłem i co będę robił... Są jeszcze inni, jest dyrekcja, która mi ufa.

Faleński gwałtownie zwrócił się w kierunku mówiącego.

— Tak pan sądzi?

— Tak!

— To ja nic więcej nie mam panu do powiedzenia!

— Ja też!

Walicki skłonił się i wszedł.

Faleński stał przy biurku prosty, z pochyloną głową, oparłszy rękę na zielonym blacie... Był blady i wzburzony...

— Odgraża się? Pierwszy raz coś podobnego!...

Spojrzał na zegarek... Pociąg do Dąbrowy odchodził za półtorej godziny. Postanowił jechać dziś jeszcze, nie chcąc dopuścić, żeby dyrekcja została uprzedzona o zajściu przez nadsztygara. W tej chwili w gabinecie zjawił się Gładysz.

— Co pan tu robi?

— Wyjechałem z dołu, bo pan Walicki nazначzył mi dziesięć złotych kary.

— Za co?

Gładysz opowiedział zajście.

„Jest gorzej, niż przypuszczałem — pomyślał Faleński — tembardziej trzeba jechać“.

Z zachowania się dozorczy wobec Walickiego nie był zadowolony.... Uważał je za zbyt wyzywające.

— Panie Gładysz! Pan postąpił zupełnie fałszywie.

To trzeba delikatnie. Rozumie pan?... Przecież pan Walicki jest nadal nadsztygarem i ma prawo sprawdzać te rzeczy.

— Ale przecież myśmy postanowili!...

— No, tak, lecz nie trzeba się z tem afiszować, nie trzeba zaraz „kawę na ławę“, jak to mówią...

— To ja będę tę karę płacił?

— Postaram się pana zwolnić, ale jak się pan Walicki uprze, to, niestety, nic ci nie poradzę. Zresztą porozmawiamy o tem wszystkim po moim powrocie z Dąbrowy.

Popołudniu Walicki nie zastał zawiadowcy w biurze.

— Aha, wyjechał!... No, nic, zobaczymy, co będzie.

Faleński po powrocie zachowywał się tak, jakby nic nie zaszło i był nadal chłodny i wyniośle grzeczny. W dwa dni po zejściu Walicki czytał taki list z dyrekcji:

„Do

WP. Walickiego, nadsztygara kop. „Herakles“

w Tłukience.

W poprzednim liście komunikowałem W. Panu, że obowiązki zawiadowcy na „Heraklesie“ obejmuje pan inżynier Faleński, a Pan powraca do funkcji nadsztygara. Przypominając to W. Panu, z naciskiem podkreśliłam, żeby W. Pan w przyszłości zechciał się ściśle stosować do rozporządzeń p. inżyniera Faleńskiego. Nietaktowne zachowanie się dozorczy Gładysza względem W. Pana zostanie surowo ukarane.

Dyrektor (—) Stalkowski.

— Znów się niepotrzebnie uniosłem! Gdybym pierwszy pojechał, nic nie mówiąc nikomu, inaczejby to wyglądało...

Schował list do kieszeni.

— No, ale jeszcze nie koniec!... Nie weźmie mnie spokojem... Potrafię to i ja.

IX.

PRZYGOTOWANIA.

Faleńskiego poprzedziła sława uwodziciela. Wszystkie panie były zaintrygowane jego osobą i czekały niecierpliwie, kiedy nareszcie zjawi się na horyzoncie życia towarzyskiego w małym, zamkniętym świątku. Faleński jednak wyjeżdżał na każdą niemal niedzielę do Zagłębia i już dwa bale krótkiego w tym roku karnawału musiały się odbyć bez niego.

W końcu lutego urządzano bal w Bolesławiu i tym razem komitet postanowił doręczyć zawiadowcy zaproszenie osobiście, żeby go tem zobowiązać do obecności. Zaszczyt ten spadł na panią Targowską i Kwietnia.

W szarem życiu pani Jadwigi wypadek zetknięcia się z człowiekiem, o którym szeptano, że ktoś tam popełnił dla niego samobójstwo, urastał do wielkiego zdarzenia. Od samego rana ogarnęło ją podniecenie, które wzrastało, im bardziej wskazówka zegara przesuwawała się do oznaczonej godziny.

Pani Jadwiga należała do kobiet raczej zimnych. Zadaawała ją bardziej wrażenie erotyczne, jakie wywiera na otoczenie, niż akt miłosny, który sam w sobie nie dawał jej niemal zadowolenia.

W marzeniach widywała siebie idącą przez rzęsiście oświetloną salę w jasnej sukni... Tłum strojnych mężczyzn obrzuca ją oczami. Spojrzenia palą pożądaniem, uśmiechy bladych (koniecznie bladych lub pobladłych!) twarzy zaczepnie błagają. Szczególnie jedna twarz — pani Jadwiga widzi ją dokładnie — krzywi się bolesnym skurczem żądy... Zmysły pani Jadwigi grają... Czuje ciepło sali, szepty podniecenia, woń ostrych, wnikliwych perfum... Zatańczyć teraz, oszaleć... Kręcić się w kółko i krzyczeć, gwałtownymi ruchami wywołać burzę i szaleństwo... I wtedy — w pół przytomnem oszołomieniu —

oddać się, oddać temu, którego twarz wykrzywia ów pół bolesny, pół zacięty skurcz... Oddać się nawet w oczach wszystkich.

To są marzenia, od których i w tej chwili blade policzki pani Jadwigi lekko ponsowieją... A przeżycia, wspomnienia?

Pamięta kilka zaledwie chwil, w których wywarła znaczne wrażenie. Zwłaszcza jedną... Była wtedy młodą dziewczyną... Wieczorek z tańcami w małym miasteczku prowincjonalnym... I w miasteczku tem i na wieczorku znalazła się zupełnie niespodzianie... Moc zaciekawionych twarzy, szepty i dziesiątki oczu ciekawych, pożądlivych. Szczególnie jedne ciemne oczy!... Z kąta sali patrzą i patrzą bez końca.

Pani Jadwiga lekko drgnęła... Tamte oczy należały do jej obecnego męża...

Westchnęła i właściwym sobie, nieco bolesnym ruchem dotknęła rękami czoła.

— Tyle możliwości i takie zapowiedzi zmarnowane!...

Targowski, widząc podczas obiadu rumieńce na bladej zwykle twarzy żony, uśmiechnął się ironicznie.

— Cóż się z tobą dzieje?... Czy aby nie myślisz o tem, aby wyrzec silne wrażenie na Faleńskim?... Podobą ci się, co?

Pani Jadwiga wiedziała, że nie wywrze już teraz żadnego wrażenie i sama nie umiałaby odpowiedzieć, czemu jest podniecona.

— Daj spokój, lepiej mi powiedz, jakie ty masz plany na dzisiejszy wieczór?

— No, cóż, moja droga... Kopalnia, obowiązek, obowiązek!... — wytarł czarne skrzydła swych wąsów serwetką.

— Oh, jakiś ty obowiązkowy.

Targowski nie czekał zjawienia się Kwietnia. Zaledwie zapadł wczesny mrok zimowy, udał się na Wodącą. Świat wypełniony był błękitem, skrzącym gwiazdami i srebrem księżycy... Pod nogami chrzęścił ostro śnieg,

pałacy się wszędzie, jak oko sięgało, zimnemi iskrami poświaty.

Przeclawska również była podniecona. Widniało to w jej ruchach, odezwaniach się i zachowaniu... Czyniła wszystko z roztargnieniem, bez końca powracając do tematu balu.

Targowskiego zaczęło to denerwować.

— Ależ, Iruchna, przestańże już nareszcie deklinować to nazwisko przez wszystkie przypadki! Wciąż: Faleński, Faleńskiego, Faleńskiemu, Faleński... Zaczynam być zazdrosny — skrzywił się przykrym uśmiechem. — Czyż ja, niejaki Targowski, już nie mogę dopiąć tego szczęścia, abyś choć przez pół tak żywo i często mnie deklinowała?...

— Zapewne, zapewne!... — usiadła przy nim na koczce.

Przygarbiła się nieco, splótłszy ręce, i zapatrzyła w niskie okno, za którym błękitniała widna noc. Przysunął się bliżej... Opowiadał coś długo i wymownie... W połowie jakiegoś frazesu przerwała mu nagle:

— Ale czy będzie?

— Kto taki?

— No, on... Faleński!

Targowskiego to roztargnienie Ireny zbiło zupełnie z tropu i zamilkł.

— — — — —
Tem samem pytaniem Wiktorja przywitała Kwietnia, wracającego z misji zaprosin inżyniera na bal.

— Naturalnie, że będzie... Obiecał...

— Mamusiu, będzie! — rzuciła z przedpokoju wgląd mieszkania.

— Kto i gdzie?

— Pan Faleński na balu! — odrzekła i nieco szybciej niż zwykle weszła do pokoju — Wyobraź sobie, jaką będę miała suknie! — zwróciła się do narzeczonego.

Poczęła opisywać kreację z poetycznem uniesieniem. Kwiecień uśmiechał się. Pierwszy raz rozmawiała

z nim o stroju. Jak każdy mężczyzna, nie mógł sobie wyobrazić nowej sukni, więc zlekka żartował i z siebie, i z narzeczonej, i z jej zachwyków. Nie wątpił, że Wiktorja będzie wyglądała pięknie, i to mu wystarczało.

Przy kolacji Walicki najniespodziewaniej rozgadał się o stosunkach na kopalni. W opowiadaniu brzmiała nuta rozżalenia i oburzenia na Faleńskiego. Obecni milczeli, siedząc przy stole, nakrytym białym obrusem, od którego padały jasne refleksy na pochylone twarze. W miarę opowiadania wielkie, wyraziste oblicze nad-sztygara posępniało. Czarne brwi szły w górę, a czoło gurbiło się zmarszczkami. Zdawało się, że szpakowata broda staje się coraz bardziej nastroszoną.

— Tak to mi płacą za dwadzieścia osiem lat służby! — zakończył swe żale.

Kwiecień spojrział na Wiktorję. Siedziała milcząca, a gładkie czoło przecinała pionowa zmarszczka.

— Co ci to, Wiktuś? — spytał.

— Nic takiego.

— Siedzisz taka zadumana...

— Bo go nienawidzę!...

— Faleńskiego?

— Tak!

Rozmowa utknęła i Kwiecień nie zdołał jej ruszyć z miejsca, więc wstał i pożegnał się.

Wiktorja długo nie mogła usnąć. Myśli, marzenia, uczucia przebiegały przez świadomość z szybkością cieni lotnego ptactwa, nie mogąc się skryzalizować w coś stałego, i Wiktorja grążyła się w jakiś mętny stan uczuciowy. Coraz w tym chaosie zgrzytnął silniej żal i uraza do zawiadowcy. Często łapała się na tem, że ma pretensję do Faleńskiego nie tylko o jego postępowanie względem ojca, ale również o to, że nie jest takim, jakim go sobie wyobrażała — i niechęć jej wzrastała coraz więcej.

Później zaczęły napływać inne myśli — coraz męt-

niejsze, coraz bardziej senne, i oczy Wiktorji kleiły się do snu.

— A jednak będę się dobrze bawiła! — pomyślała już pół przytomnie i zasnęła.

X.

BAL.

Sobotni dzień dźwignął się leniwie... Wolno spełzły mgły, wełniące się nad śniegiem i wolno poznikały z nieba naloty ciężkich chmur. Dopiero w południe rozpałiło się słońce na ciemnym firmamencie i świat stał się naraź oślepiająco jasny i biały.

Z nastaniem mroku w domu ludowym w łożysławiu zapanował ruch. Ustawiano bufet, wnoszono antały piwa, wkręcano lampy elektryczne...

Dom ludowy stoi tuż przy szosie, a sala balowa, w której zarazem odbywają się przedstawienia, znajduje się na pierwszym piętrze.

W tej chwili — rżęsiście oświetlona i nieco niedogrzana — całą swoją chłodną pustką czeka na gości. W szatni podrzemuje woźny, w bufecie krząta się właściciel.

Coraz częściej odgłosy dzwonek u sanek wstrząsają ciszę nocnego mroku. Goście wałają z Olkusza, Sławkowa i dalszych okolic. Wysuplują się spod koców i baranic i sala się napełnia.

Początkowo jest jeszcze sztywno, ale powoli przedział hierarchiczny zniknie. Orkiestra, złożona z kilku osób, gra ze sceny. Starsze towarzystwo, a zwłaszcza biedne panie „matkujące“ przezornie chowają się na galerję, gdzie ustawiono stołki do kart. Starsi panowie oscylują między galerją a bufetem. Łuczyński wbił się w krzesło przed kontuarem i w kontemplacji studjuje butelki, radując się ich pełnią i różnobarwnością. W karty

nie grywa, oddawna nie tańczy, więc przyszedł na bal tylko poto, aby wśród wesela innych spełnić codzienną funkcję wlewania w siebie alkoholu... Walicki jest zły. Nie potrafi tańczyć nowoczesnych tańców, a rwie się jeszcze do zabawy. Teraz wszedł na galerję i oparty o filar bieleje stamtąd siwizną poważnej brody i kosmykami długich włosów.

Patrzy zgóry na tańczących i zżyma się.

— Jak to się wszystko prześlizguje, podryga, — jak jakaś żywa masa! Latająca galareta!... Nie tak jest przy oberku czy mazurze.

A tłum chodzi, drga i szuści, podkreślając jeszcze bardziej wybijany takt muzyki... Serpentyńki wloką się za parami, szeleszcząc na podłodze. Nowe wstęgi wytryskują w górę i sycząc spływają na tańczące pary.

Walicki coraz bardziej się irytuje:

— Psiakrew! Gdzie tu jest temperament?

Nastrój zabawy rzeczywiście dopiero zaczyna się nasilać. Zresztą na sali panuje jakieś podniecenie.

Gdy orkiestra urwała, tłum przystanął, skłębził się i rozkawałkował. Pary chodzą, rozmawiając. Gwar wzrasta i przewala się, raz wybuchając, raz cichnąc, jakby kto nim dyrygował.

Walicki dostrzegł Wiktorję. Nie jest rozbawiona, raczej przeciwnie — nieco roztargniona i wyczekująca czegoś z napięciem. Przy niej nieodłączny Kwiecień z okrągłą, roześmianą twarzą.

Pani Irena Przeclawska — smukła i wysoka — wygląda dziś prześlicznie. Ciężkie powieki opadają na oczy, podkreślając wyraz leniwego rozmarzenia. Nie licuje z tem częste i niecierpliwe przygryzanie ukarminowanych ust...

Naraz jakby prąd przebiega przez salę. Milknie na moment rozgwar i wszystkie głowy zwracają się w kierunku wejścia. Potem po sali niesie się cichy syk: „Jest, jest!“...

Walicki domyśla się tylko o kim mowa, ale widzieć

nie nie może, bo drzwi wejściowe znajdują się pod galerją.

W tej chwili stoi w nich Faleński.

Prostą, sztywną jego figurę opina dobrze skrojony smoking. Kłania się szarmancko na wszystkie strony, polyskując binoklami i uśmiecha. Podbiegają gospodarze i ujmują go pod ręce. Zaczyna się ceremonia przedstawiania. Faleński czuje, że jest obserwowany, więc rośnie wewnątrz, a ruchy jego nabierają jeszcze większej, niż zwykle elastyczności... Przy każdej prezentacji uśmiech, niski skłon głowy, czasem jakiś komplement. Zgromadzeni rozstępują się przed nim... Gdy minie jaką grupkę, odrazu obecni zwierają się i szeptają. Oczy pań suną za bohaterem dzisiejszego wieczoru.

Przy Przeclawskiej Faleński zatrzymuje się nieco dłużej, poczem znika w bufecie.

Orkiestra zakołysała tango. Tańczący gromadzą się powolniej. Zapraszane panie ociągają się, wynajdują jakieś nagłe przeszkody, i zaledwie kilka par drepce po sali.

Wiktorja, która przyjęła bardzo chłodno jakiś zdawkowy komplement Faleńskiego, zwraca się do Kwietnia:

— Tańczmy! Tu wszyscy, a właściwie wszystkie pogłupiały!...

Faleński wychodzi z bufetu. Tuż za nim staje w progu wąsata postać Gładysza. Wiszące od pewnego czasu w powietrzu pytanie: „Z kim zatańczy?“ — już jest rozwiązane. Faleński kłania się Maryśce. Wstaje uśmiechnięta i zaczynają tańczyć.

Targowski odetchnął... Przez cały czas stał przy Irene jak jakiś wysoki, czarny słup strażniczy i dostrzegł, że uroda Przeclawskiej uczyniła na zawiadowcy pewne wrażenie. Irena ze swej strony bezustannie wodziła oczami za Faleńskim, a na pytania odpowiadała z roz-targnieniem. Teraz również Targowski napróżno stara się ją rozruszać; tańczy z zaciętymi ustami i niemal się nie odzywa.

Gdy muzyka umilkła, inżynier znów udał się do bufetu. Tkwił tam już oddawna Łuczyński, który po kilku kieliszkach stał się wielce wymowny i wiedzie dyskurs z zawsze roześmianym i gestykującym Rzuchowskim.

Siedzą przy stoliku pod ścianą.

— Czemu pan nie tańczy? — zapytuje Faleński czarnego, chudego markszajdra.

— Nie przepadałem nigdy za tańcem. Prosimy, może pan zawiadowca do nas.

— Przepraszam, ale nie mam czasu. Na stojąco coś przekąszę i znów do roboty.

Łuczyński dodał:

— Do bardzo ciężkiej roboty... Aż do spocenia... No, ale skoro góra nie może do Mahometa, to prorok musi do góry...

Powstał ciężko z miejsca i podtoczył się ku zawiadowcy.

— A, pan Targowski!... Prosimy do kompanji — zaprosił wchodzącego.

Rozmowa ślizgała się po ogólnikach. Faleński był mniej sztywny, niż na służbie, lecz utrzymywał pewien dystans między sobą a sztygarami. Najlaskawiej rozmawiał z Gładyszem, który zadowolony z wyróżnienia wśród tak wielu osób, nieco się puszył i strzelał wokół zadowolonymi oczami.

Łuczyński tyle już wypił, że stał się trochę familjarny:

— Jakże, panie zawiadowco kochany, podobają się panu nasze kobietki?... Co? Ha?... Gładka jest pani Gładyszowa, prawda?... Ano, już to dla samego nazwiska tak być musi.

Wielkie blond wąsy Gładysza rozszerzają się w uśmiechu.

— Ponad komplementy! — stwierdza zawiadowca

— Właśnie, właśnie!

— A kto to jest ta śniada, wysoka szatynka z takimi marzącymi oczami? Cudowne!

Targowski drgnął.

— To Przeclawska, nauczycielka.

— Aha...

W tej chwili pani Irena szumi ciemną suknią, podchodząc do lady.

— Proszę o wodę sodową!...

Faleński kłania się szarmancko.

— Właśnie o pani, a właściwie tylko o oczach pani była mowa.

— Czyżby aż zasługiwały na uwagę ?

— Cóż za hipokrytka! Nieświadomość czaru oczu mogłaby mieć pani tylko wówczas, gdyby pani nie spoglądała do lustra!... W to zaś ośmielam się wątpić.

— A więc wniosek?

— Że pani jest hipokrytką.

— W przyganie słyszę komplement.

— To tylko prawda... Rzetelna prawda.

— Aż tak?

— Naturalnie. Odchylenie od prawdy ku górze jest komplementem, odchylenie ku dołowi nazywamy przyganą. Jeżeli zatem słyszy pani w przyganie komplement, słyszy pani prawdę.

— „Słucham, cóż to za wymowa!“ — odpaliła mu Wy spiańskim.

— To nietylko „słowa, słowa“...

— Po czemże poznam? Wszakże „po czynach ich poznacie je“...

— Inaczej: „W słowach jeno chęć widzim, w działaniu potęgę!“ — błysnął binoklami i wpatrzył mocno w jej oczy.

— Coś w tym guście.

— Już teraz rwę się do czynu i na początek... zamawiam z panią pierwszy taniec. Pierwszy po tym, który teraz nastąpi.

— W piękne słowa owija pan czyn niepiękny... Przy najmniej narazie.

— Jakże to?

— A kto pana upewnił, że nie tęsknię do zatańczenia z panem odrazu?

— O, pani! — ręka naumyślnie sztucznym gestem spoczęła na sercu. — Gdyby choć odrobina prawdy mieściła się w pani słowach, byłbym szczęśliwy.

— „W słowach jeno chęć widzimy, w działaniu potęgę“, że powołam się na pana własne słowa.

— Odparuję cios niechybnie, choć doprawdy mistrzowski.

— Aż mistrzowski, no, no, no...

— Niewątpliwie!

— Słucham odparowania.

— Na pierwszy taniec zapisałem się już w karnecie pani Targowskiej.

— Boże mój!... Już zdążył!... Cóż za błyskawiczność działania.

— Właśnie.

Dalszy flirt przerwała im muzyka, która zagrała walca.

W ciągu całej tej sceny Łuczyński nie spuszczał oczu z Targowskiego i ze złośliwą przyjemnością widział, że sztygar, choć zazwyczaj opanowany, mienił się na twarzy. Ciemne oczy biegały mu szybciej, a usta wykrzywiały się jakimś przykrym grymasem.

— Ten ma już dość! — myślał Łuczyński i popijał piwko z dużego kufelka, rad z przedniego widowiska.

Targowski starał się wtrącić do rozmowy, czując, że każde ich słowo druzgoce, jak pocisk, dotychczasowe jego stosunki z Przecławską. Oni jednak obrzucali się zdaniami tak szybko, że nie zdołał im przerwać. Oszołomiony i przejęty, próżno usiłował wykrzesać jakikolwiek dowcip — nic mu nie przychodziło do głowy, co go jeszcze bardziej rozdrażniało. Zamiast umiejętnym zdaniem, jak zwrotnicą, skierować rozmowę na inne tory, wyrzucił sobie, że nie potrafi zdobyć się na odpowiednie w tej sytuacji słowa.

Gdy Faleński, skłoniwszy się przepaszająco, poszedł

na salę, by zatańczyć walca z panią Jadwigą, Targowski przysunął się nieznaśnie do Ireny. Irena, nie dopiwszy jeszcze wody, podniosła się i szybko ruszyła ku drzwiom, jakby nie widząc zabiegów Targowskiego.

— Czy można panią prosić? — spytał odgradzony od niej kilkoma osobami, które zdążyły na salę. Przystanąła, udając, że coś poprawia przy sukni. Gdy się zbliżył, szepnęła z pewną złością:

— Zbyt się afiszujesz! Nie możesz wciążyć ze mną tańczyć.

— Irka!

— Proszę cię, nie kompromituj mnie i siebie! — syknęła, poczem uśmiechnięta weszła na salę.

Po walcu nastąpił fox - trot. Faleński zwarł się z Przeciawską w jedną bryłę i sunął po sali gibki, sprężysty, kołysząc się, czyniąc gwałtowne zwroty i tuląc coraz mocniej zarumienioną Irenę. Patrzyła na niego spod ciężkich powiek rozmarzona, poddająca się jego woli i jakby ją odgadująca... Faleński promieniał triumfem i pewną siebie zwycięską radością. Żaden jego najbardziej lubieżny, podniecający ruch nie uszedł uwagi Targowskiego, który przez długi czas stał w drzwiach, zanim zdecydował się zatańczyć.

Łuczyński już nie odszedł od kontuaru. Siedząc zwrócony tyłem do bufetowego i dzieląc się swemi uwagami z Rzuchowskim, wciąż patrząc przez drzwi na salę.

— Widziałeś ty, kochasiu, jak ten Targonius się uśmiechał?... Jak nieboszczyk! Tyle w tem było radości, co w gębie mumji Ramzesa II-go. Jak Boga kocham! Teraz patrz, jaki bład.

— Aha!... tylko wasy czernieją...

— Z wszystkich tych kolorów wyjdzie zwykła zielenina. Powiadam ci!...

— Bo też Faleński ściska Irenę, jak w kleszczach.

— Fiu, fiu: frant! Jeżeli tak na sali przygniata, to coś dopiero w łóżku! Ha, ha, ha! — Łuczyński znów pociągnął piwka, odsapnął i obserwował dalej.

Sala już mu się w oczach kolebała chybotliwie, a tem większej nabierał elokwencji, popisując się swoją ironją.

Podczas jednej z dłuższych przerw, zwrócił się do Targowskiego, kiwając się nieco na wysokiem krześle:

— Co to znaczy być czułym i kochającym mężem!

— No?

— Patrzą na pana, panie tego... — bełkotał — patrzę i dziwię się. O jeden walczyk tyle zazdrości!

Targowski nie zorjentował się i odparł:

— Nie rozumiem, co pan ma na myśli?

— Jakto? Przecież widać, że pan zazdrosny... Mówiliśmy nawet z Rzuchowskim, że tego... że pan zzielenieje, a wszystko przez to, że Faleński przetańczył z żoną z panią Jadwigą, jednego walczyka!... To się, panie tego, nazywa czułość!...

Targowski musnął ciemnymi oczami pijacką postać. Najchętniej byłby trzasnął Łuczyńskiego w tęgą, brązową twarz.

— Nie był pan żonaty, to pan nie wie, co znaczy zazdrość! — odpowiedział, udając, że bierze słowa kolegi na serjo.

— Nie byłem żonaty, ale widzę, co znaczy, bo obserwuję... bystro, panie tego, obserwuję...

— Ano, to szczęśliwej obserwacji! — uciał Targowski, odchodząc.

Łuczyński przechylił się na krześle i, podnosząc rękę, zawołał pijacko:

— Nie dziwię się zresztą, bo to, panie tego... smok i ma pan o kogo być zazdrosny!... — poczem zwracając się do nieodłącznego Rzuchowskiego, dodał ciszej — Alem go poczęstował na odchodnem! Ha, ha, ha! Pod żeberko, mówię ci, kochasiu, pod żeberko! Ale — bo też śmieszny ten nasz Targonius, śmieszny, aż strach! Wo-góle wszystko śmieszne!

— Z wyjątkiem piwa! — wtrącił Rzuchowski i głośno się roześmiał.

— Piwka, powiadasz?... Masz rację!... Piwko zdrowe i krzepi!... Ale historia jest śmieszna: poczubią się ci dwaj, powiadam ci, poczubią, i to nie o swoje.

Gwar był tak doniosły, że mało kto słyszał perorę Łuczyńskiego, który zresztą wkrótce zamilkł, ujrawszy przy bufecie zawiadowcę.

Targowski tymczasem bawił w szatni. Wyrzucał sobie, że się zdemaskował swem zachowaniem.

— Nie mogę się kompromitować! Postępuję, jak sztubak!

Wrócił do bufetu i zaczął pić kieliszek za kieliszkiem. Gdy był zdenerwowany, alkohol na niego nie działał. I tym razem podniecił go tylko w tym sensie, że nerwy napięły się, jak cięciwy łuku i Targowski widział wszystko ostro i wyraziście. Miał wrażenie, że jest niezmiernie czułą stacją odbiorczą, która chłonie wszelkie wrażenia zmysłowe, płynące z otoczenia, i reaguje na nie natychmiast. W tłumie dostrzegł Fałęńskiego.

— Jedno jest nieodwołalne: walka! Bo ja się nie usunę!

Siłą woli wpadł w nastrój zabawy. Uśmiechnięty, niemal junacki puścił się mazura. Tańczył ładnie, spokojnie, posuwicie, bez dodatków, mających zdradzać nadzwyczajny temperament. Patrząc na niego, niktby nie przypuszczał, jakie uczucia wiją, kłębią się i syczą poza sztucznem rozbawieniem. Zresztą, gdyby wydobyć najaw wszystkie, tkwiące w wewnętrznym świecie zgromadzonych tragedje, szaleństwa i marzenia — mały ten światek wyglądałby opętańczo!...

Spośród kobiet najboleśniej przeżyła trawili zapewne Wiktorję. Nie zdołała ich nawet w sobie stłumić, więc smutek i przygnębienie wyzierało z całej jej postaci. W pewnym momencie zwróciła się do pani Walickiej:

— Mateczko, chodźmy już!

— Dlaczego?

— Bo się jakoś źle czuję...

Pani Walicka odszukała męża, ale nadsztygar nie mógł darować zabawy. Do tej pory grano niemal same modne melodje, więc tańczył niewiele. Teraz zapowiedziano oberka.

— Pójdziemy, tylko przegramy ten kawałek.

Orkiestra trzasnęła oberkiem, aż się sala roześmiała! Drzwiami od bufetu buchnęła ciżba... Jeszcze nikt nie tańczył, ale huk przytupywań zrywał się z podłogi, bo w podskokach pędzono ku danserkom i czarne postacie przebiegały salę. Raz wraz ktoś podrywał spod ściany partnerkę i gnał w taniec. Już kilka par nosi się po sali... Potem kilkanaście, kilkadziesiąt, a wreszcie jeden wielki wir: różnokolorowy, przyspieszony, zawrotny!

Walickiemu, jakby nagle ubyło połowę lat.

Ledwie uderzyły pierwsze takty oberka, wyprostował się, trzasnął obcasami w podłogę i sunął ku Gładyszowej — olbrzymi, większy o swą siwą, długowłosą głowę od całego otoczenia.

Przygarnął ją do siebie prawicą i pędził w obrotach w ciżbę... Z szaleńczego wirowania przechodził nagle w drobienie. Wybijał takt swą wielką, czerwoną ręką, wymachiwał nią w górze — znów garnął mocniej tancerkę i wpadał w zawroty. Włosy mu się rozwiały i chwierutały do taktu, kołysząc się kosmykami. Broda się zjeżyła, a on krążył i krążył...

Orkiestra znała zapamiętałość Walickiego, więc ciąła oberka, aż do utraty tchu... Wiele osób przestało tańczyć. Pod ścianami i w kątach sali rozsiani w grupy, lub wypchnięci ku środkowi pojedynczo, przypatrywali się, jak on wiruje bez końca. Usta Gładyszowej ledwie dech łapią.

— Już dość, już!...

Tupnął i przypadł na kolano raz i drugi, raz i drugi...

— Brawo, brawo!! — krzyczą roześmiane twarze i zrywają się klaskania.

Walicki usadowił tancerkę na miejscu, a sam, led-

wie sapiąc, — już przygarbiony — wynosił się do bufetu. Wachlował się chustką i obcierał spocone czoło.

— Już nie jestem młody! — konstatował z melancholją.

— Więc jedziemy? — dopędziła go pani Walicka.

— Tylko trochę odsapnę.

XI.

PRZED ZASNIĘCIEM.

Sanki mknęły do Krążka wśród cichej, gwiazdzistej nocy. Wiktorja siedziała z zamkniętymi oczami, a mroźne powietrze muskało jej rozpalone policzki. Zewnętrzna rzeźwość bynajmniej nie rozwiewała przykrych myśli i tego tępego wewnętrznego bólu, który dławił krtań, niby mały okrągły kamyczek, i zbierał się pod powiekami ciężkiem ciepłem niewylanych łez.

Z Kwietniem pożegnała się chłodno...

Pijąc gorącą herbatę z cytryną, patrzyła tępo w przestrzeń... Była tak blada, że pani Walicka zatroskała się na serjo.

— Co ci to, córuś?

— Nic, nic!... Głowa... — usta przytem zadrgały, jakby za chwilę miała się rozplakać.

— Czyś ty nie chora?

— Nie!

Wstała od stołu i chwiejnym krokiem udała się do swojego pokoju. W wyobraźni, jak na ekranie, plątały się obrazy z niedawno przeżytego balu, przytem dwie osoby bezustannie przesuwwały się przed oczami. Byli to: Kwiecień i Faleński. Do Faleńskiego nie czuła bynajmniej sympatji — przeciwnie: jego wspomnienie wzniecało w niej wciąż tę samą głuchą niechęć... Potęgował ją fakt, że zawiadowca nie zwrócił na nią zupełnie uwagi. Wiktorja przyzwyczaiła się do czego innego.

Jej wybitna uroda budziła zawsze zapal lub przynajmniej zainteresowanie... I to oddawna — jeszcze od czasów gimnazjalnych. Ona wiedziała, że jest ładna, lecz z głównej przyczyny swego powodzenia nie zdawała sobie sprawy. A tajemnica kryła się w tem, że wyniosłość, opanowanie i pozorny chłód zdawał się tylko maską, poza którą czaiło się całe morze ognia i płomiennej namiętności. To właśnie sprawiało, że na jej widok mężczyznom świeciły się oczy, że ich intrygowała i niepokoiła....

Namiętność ta zresztą do tej pory nie była jeszcze rozbudzona i sama Wiktorja nie uprzytamniała sobie jej istnienia. Zaręczyny z Kwietniem przyszły jakoś same z siebie. Asystował jej jeszcze jako uczeni-cy siódmej klasy, sam wówczas kończąc szkołę sztygarów. Póki była w Dąbrowie na pensji, on nie wyruszał z Zagłębia. Po ukończeniu szkół rozdzielili się: Wiktorja wyjechała do Warszawy. Gdy objęła posadę w szkole zawodowej, sztygar wyzyskał wszelkie znajomości, aż wreszcie dopiął celu—objął posadę na „Heraklesie“. Odtąd nie odstępował Wiktorji, snując się za nią, jak cień. Ona przyzwyczaiła się do jego obecności i gdy czasem dłużej go nie widziała, czegoś jej brakowało. Mówiono o nim, że jest porządnym i wartościowym człowiekiem, a Wiktorja fakt zaręczyn oraz przyszłego małżeństwa traktowała, jako zupełnie zrozumiałą i nie wymagającą głębszego zastanowienia się ani uzasadnienia. Kwiecień kochał ją prawdziwą i głęboką miłością, która przesłania świat, i w której namiętność splata się z czułością w jakieś sentymentalne, rozmarzone zawilości...

Wiktorja dostrzegała to wyraźnie, mimo, że sztygar nie umiał wypowiedzieć swych uczuć, należąc do ludzi mało efektownych... Godziła się z tem, podobnie jak ze wszystkim, co dotyczyło osoby Kwietnia, i dopiero ten bal spowodował w niej gwałtowny przełom. Jakże małym i niepozornym wydawał się Kwiecień przy Fa-leńskim! Inżynier tak górował nad nim błyskotliwością

wymowy i swobodą towarzyską, że Wiktorję porywał żal. Początkowo był to żal do losu, że jej narzeczony nie jest taki, jak tamten, ale wkrótce zbudziły się w niej refleksje i zmaciły do dna dotychczasowy spokój. Pierwszy raz w życiu zgrzytnęło pytanie:

— Co ja zrobiłam?... Przecież warta jestem innego losu.

Pierwszy raz marzenia zerwały się, jak stado białych ptaków, i poszybowały gdzieś hen, daleko poza Kwietnia... Po raz pierwszy Wiktorja zatęskniła do innej rzeczywistości, a równocześnie zdała sobie sprawę, że nie może potargać łączących ją z Kwietniem więzów, bo wyrządzi mu tem olbrzymią krzywdę.

— Boże mój, Boże! — szeptała i wielka miłość Kwietnia zaciężyła jej naraz niepomierne...

— Co ja teraz pocznę?

Przycisnęła rękę do piersi i pod dłonią uczuła trzepocące się gwałtownie serce.

Już biały świt zajrzał przez okna do pokoju, wynurzając z ciemności mdłe zarysy przedmiotów, a ona wciąż nie spała...

W Bolesławiu tańczono akurat białego mazura.

Brzask, jak mgła, rozwlókł się bladym światłem po oświetlonej sali...

Kilka par przytupywało jeszcze na śliskiej podłodze, dobywając rozpaczliwie ostatnich sił. Matkujące panie drzemały sztywno i dostojnie na ławach, obok nich młodsze, jak zwiędłe kwiaty pochylały się węzowo na bok, lub tkwiły ze zwiśniętymi ku dołowi głowami — senne i zmęczone.

Suknie tych, które tańczyły i przechadzały się, zmięte i przybrudzone. Czupryny panów w rozgardjaszu, przepocone kołnierzyki i gorsy koszul zgniecione; pod błędnymi przeważnie i rozszerzonymi oczami wszystkich sine podkówki.

W bufecie jedne głosy huczą jeszcze — inne belkocą...

Łuczyński coś mamle i wywija rękami... Rzuchowski, ścięty z nóg, blady, jak chusta, wytrzeszcza ciemne oczy i nic nie rozumie, co do niego mówią. Ktoś klóci się zawzięcie o błahostki, ktoś upiera się bezwzględnie przy swoim; jeszcze inny przysięga komuś dozągoną przyjaźń, bezustannie wypychając sztywnym językiem z ust zdanie: „Słowo honoru, słowo honoru...“, przyczem potyka się na głosce „h“, charkocząc ją gardłowo.

Muzykanci rzepołą zesztwniałymi palcami, kiwając się i pół drzemiąc, co dziwacznie odbija od siarczyście, a o tej porze już rozpaczliwie skocznej melodji.

Faleński trzyma się dobrze, a przynajmniej mocno nadrabia miną. Tańczy z Przeclawską.

Orkiestra milknie... koniec balu.

Tylko jakiś student twierdzi uparcie, że jeszcze powinni grać, że jeszcze „błękitny walczyk“...

— Odwożę panią do domu! — zwraca się Faleński do Ireny.

— Będę bardzo wzięczna.

Ubrani w futra, wychodzą na mroźne powietrze.

— Ścigaj, Ścigaj!

— Jestem.

— Zajeżdżać!

Zimno wpełza pod futro Ireny i wolniutko przylepia się do spoconej bielizny. Mięśnie ud i łydek dygocą ze zmęczenia, całem ciałem wstrząsają dreszcze niewyspania... Chce coś mówić, ale usta i wargi tak drżą, że słychać niemal wyraźnie dźwięk uderzających o siebie zębów... Uśmiecha się więc tylko, patrząc spod opuszczonych powiek na Faleńskiego.

W tej chwili wyrasta przy nich wysoka osoba Targowskiego i bladej pani Jadwigi.

— Pani z nami, pani Ireno?

— Dziękuję bardzo, ale pan inżynier jest taki uprzejmy, że odwozi mnie swojemi końmi.

— Ah, tak? — mruknął w równe skrzydła swych czarnych wąsów Targowski, zakręcił się i znikł momentalnie.

Faleński otulił futrzanym kocem nogi Ireny i usiadł obok niej. Przemarznięte dwugodzinnem oczekiwaniem konie, porwały tak nagle, że aż się oboje przechylili gwałtownie w tył.

Mimo ostrego odgłosu dzwonek przy ich sankach, Faleński wciąż słyszał za sobą tonisty podźwięk innych. Odwrócił się. Krok w krok jechali za nimi Targowscy. Trwało to aż do Tłukienki, gdzie Targowscy zatrzymali się przy swoim domu.

Irena również słyszała pogłos dzwonka, a chociaż się nie obejrzała, wiedziała, czyje konie posuwają się za nimi.

Skoro znaleźli się sami wśród ośnieżonych pól, początkowe nieśmiałe manewry Faleńskiego, aby się do niej zbliżyć, stały się natarczywsze. Ścigaj tkwił na koźle, jak wrośnięty, nie wykonując najmniejszego ruchu głową w prawo ni w lewo.

Gdzieś przed nimi, przytulona do śnieżystego pagórka, drzemała w niedzielnym bezruchu mała chałupka.

Faleński poprawił się na miejscu, a jego ręka błędziła po futrze Ireny, starając się ją przybliżyć... Byli tak szczelnie okutani kocami, że zabiegi te nie odnosiły żadnego skutku... Irena uśmiechnęła się... Zwróciła ku niemu twarz i, spojrzawszy spod ciężko nawisłych powiek, przemówiła:

— Jestem trochę pijana...

Zaczęła chwiać bezwładnie głową i, niby nieumyślnie, złożyła mu ją na ramieniu. Faleński uniósł się, wykręcił i wpił wargami w jej usta, oplótłszy ją mocno uściskiem.

W ciszy porannej niósł się na śnieżne pola dźwięk roztańczonych dzwonek... Poza tym odgłosem nic nie było słychać... Naraz z opłotków samotnej chałupy, koło

której właśnie przejeżdżali, buchnął gruby krzyk-zachęta:

— Mocniej ją, pieruna! — poczem zarechotał śmiech urągliwy, ale zarazem pochwalny.

Odkoczyli od siebie, jak rozcięci piorunem.

Ścigaj i tym razem się nie obejrzał... Śmignął batem i konie skoczyły ostrzejszego kłusa.

Zajechali przed dom. Faleński wyskoczył sprężysto z sanek i podał Irenie rękę. Mimo zmęczenia ruchy miał elastyczne i jakby nieco drapieżne. Chwilę się zawahał, czy do niej nie wstąpić, ale zaniechał tego.

— Jeżeli pani pozwoli, to w najbliższych dniach złożę jej swoje uszanowanie.

— Będzie mi bardzo miło.

Wsiadł do sanek, ukłonił się szeroko i rzucił Ścigajowi:

— Do Krążka!

Z chłopskiej, zimnej sieni Irena kieruje się na lewo, odmyka kłódkę i przestępuje bardzo wysoki próg. Niskie, małe okienka, oszroniałe wzorzystym mrozem, wpuszczają bardzo mało światła. Grube cienie zalegają kąty pokoju i tulą się pod meblami. Okrągły stół, zarzucony stosami zeszytów. Na prawo od drzwi, przy białonej ścianie — kanapka.

W ciele Ireny razem z krwią krąży zmęczenie ale równocześnie przebiegają żywszym prądem wspomnienia niedawnych przeżyć, pobudzając do lekkiego, miłego dreszczu.

Faleński podobał jej się bardzo... Czuła, że wniknął w jej zmysły... Z nim wiązały się marzenia o przyszłości...

— Ah, ta nędza! — szepnęła i rzuciła wzrokiem do koła.

Ogarnęło ją obrzydzenie... Wszystkie sprzęty jakby naraz ożyły: zgrzytnął otłuczony bok szafy, zachwierowała się sklejona noga od stołu... W myślach Ireny prze-defilowały jedna za drugą najniezbędniejsze potrzeby,

braki, wołające o natychmiastowe zaspokojenie, żeby przecież jakoś żyć, żeby być człowiekiem kulturalnym, jak ongi, jak wtedy, gdy nie była jeszcze wdową... Od stosu zeszytów wionął odór klasy — owego skupienia dzieci biednych, obszarganych, niedożywionych.

— Już dalej nie mogę, doprawdy nie mogę!

Wspomnienia zupełnie innych lat, tak niedawno przeżywanych w dostatku, a nawet lekkim zbytku, pobudzają chęć powrotu do dobrobytu...

— Ale jak to zrobić?

Irena widzi jasno, że przedewszystkiem musi zerwać z Targowskim... Zerwać jaknajrychlej!... Przewiduje trudności... Chwyta ją odrobina żalu... Usłużna pamięć podsuwa niedawne przeżycia... Kochał ją... W tej chwili czuje jeszcze war na wspomnienie uniesień miłosnych w pierwszych tygodniach tego dziwaczного, z nudów zaczętego romansu.

Ponad wszystkim Irena czuje senność i myśli jej się nieco płaczą... Ziewa nieznacznie.

Jeszcze zaduma pełznie w poprzednim kierunku, gdy nagle ostrzej rysuje się refleksja, że przecież Targowski jest teraz jedyną przeszkodą do nadchodzącego szczęścia... Już nawet nie szczęścia, a stania się spowrotem człowiekiem, a nie jakimś zbiorowiskiem wiecznych trosk, nieskończonych zamyśleń, zginających się wciąż w nierozwiązalny pytajnik: „Skąd wziąć na to pieniądze?“.

I naraz budzi się w niej uczucie niechęci, omal nie nienawiści do Targowskiego... Ze złościwością myśli o jego powierzchwności, wyobraża sobie jego postać, słyszy głos, wypowiadający te tak mu właściwe, okrągłe zdania i puste frazesy.

Ogarnia ją prawie wstręt... Wykreślić, wyrzucić z pamięci, z całego życia te chwile i samego Targowskiego!... Potem — już zupełnie zmęczona — widzi jego długie, arystokratyczne (trochę za kościste!) palce.... Dotykały ją, pieściły... o tu...

Uśmiecha się zupełnie senna. Nie wie, co ma o wszystkim myśleć? Wolno osuwa się na kanapę i zasypia twardym snem.

XII.

ROZTERKA.

Irena obudziła się z bólem głowy. Spostrzegła, że spała w sukni balowej, tak jak wróciła z Bolesławia. Było jej zimno, a skutkiem niewygodnej pozycji mocno ścierpła jej ręka... Zwykle pobalowe i poalkoholiczne rozdrażnienie przesycalo jej nerwy niezadowolaniem ze wszystkiego, co ją otacza. W ustach czuła gorzką suchość. Mierzył ją jej własny pokój, meble, zeszyty.

Słońce pogodnego dnia zataczało się już za horyzont.

Silą woli zerwała się z kanapy i zakrzętnęła po mieszkaniu. Umyła się lodowato zimną wodą i przebrała. To ją otrzeźwiło. Przy herbacie zagrzanej na prymusie, zaczęła myśleć spokojniej o wydarzeniach wczorajszego dnia i zastanawiać się nad swem położeniem. Kilkakrotnie zbliżała się do okna i znów siadała przy okrągłym stole. Nigdy — nawet w czasie największego nasilenia namiętności — nie czekała na Targowskiego tak niecierpliwie, jak obecnie.

Na świat kładły się cienie wczesnego wieczoru. Głuche pogłosy zimy: jakieś odległe dźwięki sanek, dalekie rozmowy wracających z kościoła, czasem samotny czyjś okrzyk, lub krakanie krążących stadami wron — ledwie dochodziły do uszu przez szczelnie opatrzone okna i przywarte mocno drzwi.

Nasłuchujące chciwie uszy Ireny złowiły wreszcie mocniejszy chrzęst... Dźwiękła zasuwka, załopotaly drzwi i w sieni rozległ się stukot uderzanych o siebie kaloszy. Targowski otrząpywał śnieg.

Sercę Ireny zabiło mocniej... Zanosilo się na ciężkie przejście, a może walkę. Targowski wszedł blady i wy-

męczony. Ciemne oczy zwykłym, niepewnym rozbieganiem prześlizgnęły się po pokoju i natknęły na niedopitą szklankę herbaty. Słomkowo - jasny płyn zmętniał od cytryny, której plasterek miętoszony i wyciskany wielokroć łyżeczką okrągłeje żółtawą obręczą na powierzchni herbaty.

Jest dziwnie pazabawowo i smętnie.

Irena stoi przy stole w półmroku. Napięte nerwy z pełną złośliwego zadowolenia ironją wyczekują jego odezwania się — potoczenia okrągłych frazesów... Napewno się potoczają... o, już zaczyna.

— Pozwolisz, że siadę? — spytał Targowski.

Wzruszyła ramionami.

— Cóż za ceremonjalność!

Targowski siada wyprostowany, z podniesioną głową i jakby naumyślnie unika jej wzroku. Irena czeka na jego słowa z tem samem uczuciem, a nawet niecierpliwi się.

— „Kiedyż on zacznie? Ah, te frazesy... sypkie, potoczyste“...

Do pewnego stopnia zawiodła się jednak. Targowski, wciąż wisząc wzrokiem gdzieś ponad nią, powiedział cicho i miękko:

— Iruchno... Zdaje się, że już od ciebie odchodzę... Nie, źle powiedziałem, to raczej ty odchodzisz odemnie.

— Jak to rozumiesz?

— Nieprzyjemnie mi siedzieć, gdy ty stoisz... Może będziesz taka dobra i również usiądziesz.

Zajęła miejsce nie na kanapie, a na krześle.

— Mówisz o swoim odejściu? — rzuciła.

— Nie, raczej o oddaleniu. Dostrzegłem wrażenie, jakie na tobie wywarł Faleński... Czuję twoje oddalenie się, znikanie... A ja przecież (ty wiesz o tem bardzo dobrze), ja przecież tego nie zniosę, ja... jak to wyrazić?...

Irena uśmiechnęła się i cięła ironją:

— Może nie przeżyjesz tego? Pozwól sobie i na takie powiedzenie.

Oczekiwała ostrej repliki. Targowski przygryzł tylko usta, poczem mówił tym samym ciepłym i przygnębionym tonem:

— Wiesz, Iruchna? Nie spodziewałem się drwin... W tej właśnie chwili nie spodziewałem się. Czyż doprawdy byłem dla ciebie niczem... Jakimś epizodzikiem, który wykreśla się z życia bez odrobiny żalu?... Czyż nic ci nie dałem?... Odpowiedz!

Milczała.

— Bo ja, — ciągnął—ja miałem szczęście. Czułem je zawsze, ilekroć byłem przy tobie i z tobą... Ja je ogarniałem ramionami i tuliłem, jako ciebie... Było mi wtedy słonecznie i jasno. Pamiętam taką szarugę...

Irena już nie słuchała. Chciała koniecznie wzbudzić w sobie obrzydzenie do gładkich frazesów, ale nie mogła. Mówione były jakoś szczerze i serdecznie. Z zatonienia w sobie wyrwało ją zdanie:

— Ja miałem szczęście... Tak. Teraz mi je wrywają, ale ja będę o nie walczył.

Zaniepokoiła się naraz:

— Jak?

— Nie wiem jeszcze... Ale ja przecież mam do ciebie jakieś prawo! — wyrzekł twardo. — Przecież byłaś moją i ja się nie zawaham...

— Nie chcesz tem chyba powiedzieć. — przerwała gwałtownie — że nie cofniesz się przed obmową. Jesteś, sądzę, na tyle dżentlemenem... Przynajmniej ja cię za takiego miałam zawsze...

— Dżentlemen?—uśmiechnął się. — Hm! Odpowiem ci na to, wiesz, trochę pośrednio. U Przybyszewskiego powtarza się pewien obraz, który mnie często prześladuje: Łąka wśród kniei, a na niej pasąca się łania... Przeżuwa spokojnie pokarm i patrzy swemi wielkimi, cudnymi oczami zupełnie spokojnie, podczas tego, gdy tam w gęstwinie dwa samce walczą o nią ze sobą, rycząc wściekle... Walczą na śmierć i życie, wyprówiają trzewia rogami. Mam wrażenie, że...

— Pytam, czy jesteś dżentlemenem i odwołuję się do twego honoru...

Nie odpowiedział.

Oczy ślizgały się po suficie. Irena wstała. Dźwiękło szkło, zdejmowane z breneru naftowej lampy. Trzasnęła zapalka i zapełgał żółty płomyk...

Targowski zaczął głosem spokojnym i smutnym:

— Nie, Iruchna... Doprawdy dziwię się, że mogłaś przypuścić, iż zdolny byłbym do takiej walki. Nie znałaś mnie i nie znasz... Nigdy ani on, ani nikt inny nie dowie się, cośmy przeżyli. Nigdy!

Odetchnęła. Poczwała dla niego niemal wdzięczność. Jego smutny ton wzbudził w niej współczucie, jakiem kobieta darzy mężczyznę, gdy jej się wydaje dużym, trochę niemądrem i niezaradnym dzieckiem... Usiadła blisko — podobnie, jak za dni miłości — niemal przytulając się do niego:...

— Dziękuję ci, Stef!

Objął ją ramionami i miękko przytulił do siebie.

— Nie, nie... Albo raczej tak, ale w ten sposób, jak ktoś, kto mnie wspiera... Jestem taka samotna. Czuję zupełne opuszczenie. Ten pokój z natłokiem zeszytów: cudzych spraw, i ta wystygła herbata, to symbol mego życia. Ty wiesz, że kiedyś żyłam wśród zbytku... Tęsknię, aby powrócić do pokojów jasnych, widnych od elektrycznych lamp, do posadzek, do lśnienia!... Więcej ci powiem: tęsknię do domu, do mojego domu i do moich dzieci... Nie wiem, czy ty to zrozumiesz, bo mężczyźni nie przywiązują do tego znaczenia... Moje dzieci i mój dom... — pieściła się temi słowami, patrząc spod ciężkich powiek zwykłym sobie rozmarzeniem w przestrzeń.

Usłyszawszy te zwierzenia, Targowski rozumiał, że ją traci. Stał się jeszcze bledszym, niż dotychczas.

— Irka! Czyż ty sobie nie zdajesz sprawy z tego, gdzie my mieszkamy? Czyż zapominasz, jaki to zapadły, przekłety kąt? Ja nie powiem nic, daję ci słowo honoru, ale przecież on jutro czy pojutrze będzie wiedział o wszyst-

kiem. Nie ma potrzeby nawet pytać, znajdują się tacy, co sami do niego przylecą z ozorem, jak tylko zobaczą, że się do ciebie zbliżył... Ja cię bardzo przepraszam, ale ty się nie łudź... On zechce, byś została jego kochanką i niczem więcej... Napewno...

Tym razem Irena zbladła... Nie mogła, a co więcej nie chciała — za nic nie chciała! — wierzyć, że to, co przeżyła w marzeniu, nie ziści się. Nie znajdując narazie argumentów, by obalić jego twierdzenia, wybuchła:

— Nie mów tak! Ja tego pragnę! Całą sobą pragnę. Czy ty wiesz, co to pragnienie? Mnie to, w czym żyję, obmierzło! — zerwała się z kanapy. — Gdy na to patrzę, to mi się chce krzyczeć i wyć! Ja pragnę... Rozumiesz? Ja tamtego pragnę.

Nie poznawał jej. Ciężkie, marzące oczy stały się płomienne, z postaci zamiast wschodniego rozleniwienia biła wola.

Jeszcze nigdy nie widział jej tak podnieconej. Potrząsnął głową i rzekł z upartym uśmiechem:

— Ależ, Iruchna, nie marz!... Wybieraj między mną, a nim, ale nie bierz pod uwagę małżeństwa... Ja, albo on! Wiem, że jesteś samotna, a to ciepło, którego pragniesz, którego kobiecie tak potrzeba, dam ci tylko ja! Obserwowałaś Faleńskiego i wiesz, jaki jest: namiętny, ale zimny i wyrachowany.

Irena uśmiechnęła się. Znała swój kobiecy powab i wierzyła w swą inteligencję. Targowski z tym sceptycyzmem wydał jej się naraz śmieszny. Nagle zrodziło się podejrzenie, że pragnie ją odciągnąć od Faleńskiego.

— Ja też chcę walczyć o swoje szczęście... I potrafię! Potrafię lepiej, niż ty! Twoje ostatnie słowa, to zapewne również walka... Walka o łanię, według niedawnych słów. tylko że walka z łanią samą, a nie z tamtym... Walka sceptycyzmem.

Targowski wstał.

— Żegnam cię i zostawiam samą. Przemyśl to wszystko i pamiętaj o tem, co ci mówiłem.

Została sama... Naftowa lampa, stojąca na stole, roz-
paliła się za mocno i filowała cieniutką smużką sadz.
Przykręciła ją lekko. Cisza stała się tak zupełna, jakby
kto świat cały otulił nie śniegiem, a watą.

„Przemyśl to wszystko“.

Wzruszyła ramionami.

— Śmieszny on jest ze swoim ostrzeżeniem i proro-
ctwami na przyszłość...

Przeżyła marzenia tak intensywnie, że nie mogła u-
wierzyć, by się nie urzeczywistniły.

Dlaczego zresztą miałyby się nie urzeczywistnić?...

Przecież Faleński już się nią mocno zainteresował...
Jest namiętny, a ona działa mu na zmysły. A ona sama?
Być może, że już się zakochała, a przynajmniej potrafi-
łaby go pokochać mocno i prawdziwie.

Czemże bowiem jest miłość? Jakże to o niej prawi od-
wieczna bajka o królownie: ktoś (rycerz) budzi śpiącą
do nowego życia, wznieca w niej chcenie i ukazuje nowe
światy — pyszne, odurzające powabem.. On — Faleński
— stworzy jej nowe, inne i o ileż lepsze życie. A ona za
to wyrwanie z uśpienia, z samotności — całą swą na-
miętnością i ciepłem wewnętrznym obdarzy jego, ryce-
rza — pierwiastek czynny i twórczy w opanowaniu ży-
cia... Tak! Czuje, że mogłaby zamknąć w nim cały świat.
Czekałaby z utęsknieniem na jego przyjście, snując się
po dużych, jasnych pokojach... Byłoby dużo luster...
Jedno tremo, drugie, szafy z lustrzanymi drzwiami. Wi-
dzi w nich odbicie swej postaci: ciężkie, kasztanowate
włosy i marzące oczy. Jakże leniwo stąpa...

Nie! Stanowczo nie mogła uwierzyć, aby to wszystko
miało się rozprysnąć o jeden jej krok, jeden romans, zro-
dzony z głuchej, przygębującej nudy wsi i z samotno-
ści.... Bo jakże to się zaczęło? Zupełny brak wrażeń —
niemożność zobaczenia nawet marnego kinowego obra-
zu... Zupełna nuda i pół bezwiedna reakcja zmysłów. On
zresztą też jej nie kochał.... Teraz mówi co innego, ale to
tylko podrażniona ambicja samca, który widzi, że inny

zbliża się do niej... Napewno nie kochał! Przypomniała sobie, jak kiedyś — w uniesieniu miłosnem — zdradził powód zajęcia się nią, jak opowiadał o tym geście poprawiania włosów, tam, na plaży.

Umiechnęła się...

Jeden gest powodem złamania losu — powodem niemożności wyzycia się uczuciowego? Nie! Świat byłby śmieszny w swej głupocie, gdyby coś podobnego!... Ha, ha, ha... Groteska!

Naraz w pamięci zadźwięczały słowa Targowskiego:
— Zechce, byś została jego kochanką i niczem więcej.

Poczęła rozważać logicznie. Przedewszystkiem w jaki sposób Faleński dowie się, co ją istotnie łączyło z Targowskim? Przecież mógł u niej bywać, jak inni... Zachowaniem swoim zada kłam wszelkim podejrzeniom. Wie, że Faleńskiemu się podoba. A to w jej ręku atut nie do pokonania. Zacznie się ta odwieczna gra: podniecanie, rozdrażnianie zmysłów, nieukoju. . Zatrzyma go w ten sposób przy sobie.

Uśmiecha się jej ta walka i to niebezpieczeństwo. Ileż trzeba subtelного wyczucia tego, z kim się walczy, jakimi nieznacznymi posunięciami tę grę się prowadzi!... Jeden gest, zmarszczenie brwi, poruszenie ciałem — pod wszystkim tem drży szala, ważąca walkę, i waha się na tę lub na tamtą stronę.

Irena wżywa się w to zmaganie... Człowiek wogóle kocha walkę i ryzyko... Tylko, że między mężczyznami starcie nabiera znamion brutalności, a tu drapieżność jest zawoalowana, niemal niewidoczna, zmieniona w jakieś przysłowiowe „igrywanie z ogniem“.

Myśli te ją podniecają. Czuje siły i chęć do tej walki. Oczy się jarzą do zmagania się, bo przeczuwa zwycięstwo...

Spojrzała na zegarek.

— O, jak późno!...

Kilka dni zapaliło się i zgasło, przechodząc pustką. Z Targowskim zerwała stanowczo i prosiła, aby odwiedził ją rzadziej. Od tej pory nie pokazał się wcale.

Irena oczekiwała Faleńskiego. Wyobrażała sobie, że zajędzie sankami, z dźwiękiem janczarów — wogóle jakoś szumnie i po staroświecku.

Stało się inaczej i wcale nie poetycznie: zawiadowca przyszedł piechotą, wprost z kopalni, w swoim krótkim, codziennym kożuszku.

Posłyszała dyskretne pukanie. Przeczula, kogo zobaczy, i cała krew zbiegła jej naraz do silnie łomocącego serca. W chwili, gdy ukazał się w progu, lekko dygotała...

Sztywna sylwetka z pochyloną głową... Binokle błyskają żółtym refleksem naftowego światła.

Faleński podchodzi się witać. Czyni jakiś nieznacznym poufały gest i uśmiecha się napół zwycięsko, napół pobłażliwie.

— Wie wszystko! — myśli Irena i na moment traci wiarę w zwycięstwo...

XIII.

DWA OBOZY.

Z okna swego gabinetu Walicki nie miał szerokiego widoku... Horyzont zamykała mu wysoka, żółta hałda galmanu, nad którą widniał skrawek nieba. Na nim, niby na ciemno - błękitnym ekranie, każdego niemal dnia o przedzmroczku rysowała się ostro sylweta Faleńskiego. Zawiadowca przypatrywał się kopalni, widocznej z hałdy, jak na dłoni. Przypadek chciał, że przejął ten zwyczaj od Roncewicza, który również ongi wdrapywał się często na hałdę.

Co za zmiana! Te dwie postacie to jakby symbole dawnych i dzisiejszych czasów!

Drobna figurka Roncewicza — człowieka cichego, który liczył się z realnymi warunkami, umiając zawsze użyć ludzi właściwie, który kierował „Heraklesem“ zręcznie a niemal niewidocznie — to przeszłość. Sztywna postać Faleńskiego, upartego, gotowego łamać przeszkody, aby tylko wszystko działo się zgodnie z jego wolą, to terażniejszość... Realista, wykorzystujący rzeczywiste dane, budujący zwolna i bez wstrząsów — i doktryner, twardy, a nieustępliwy...

Narazie Faleński ograniczył się tylko do przetasowania ludzi „Heraklesa“, niby talji kart. Główny ongi atut Roncewicza, Walicki, którego energję i ambicję dawny zawiadowca znał i potrafił się niemi posługiwać, został obecnie zamknięty w swym gabinecie i przywalony papierkami. Sztygarzy, trzymani zdaleka i obdarzani nieufnością... Prawą ręką Faleńskiego, dawniej niedostrzegalny niemal — dozorca Gładysz.

Gdy tak działo się z urzędnikami, to rzecz martwa, — sama kopalnia — funkcjonowała jeszcze po staremu.

„Herakles“ wchłaniał codzień rano w swe czeluście trzystu pięćdziesięciu ludzi. Z podszybia i od pochylni odkrywki, jakby z dwóch miejsc wypadowych, rozbiegali się, rozpraszając ciemności światłkami dziesiątków lampek, i wsiąkali w chodniki, przodki, pochylnie, przecinki... Siedem poziomów „Heraklesa“ — z których dwa najwyższe już bezczynne — rozpościerało się jeden nad drugim i wilo pod ziemią gmatwaniną korytarzy. Na osiem godzin głuche chodniki ożywały. Zgrzytały twarde skaliska, świdrowane wiertarkami, rwane dynamitem; szurgały łopaty, przesuwały się z głuchym łomotem wózki po szynach, gnając na podszybie. Porywane windą, wychylały się z czeluści i znów toczyły po szynach, a plac kopalniany zapełniał się zwałami miału i pryzmami grubej rudy. Galman żółciał, jak glina, a piryt — początkowo szary — w zetknięciu z powietrzem utleśniał się, ziejąc zapachem siarki i stawał się biały, jakby osypany grubą warstwą mialkiej soli.

Dziwny zachodzi stosunek między człowiekiem a rzeczą martwą. Pan i twórca, w którego mózgu zrodziły się ucieleśnione potem gwichty, transmisje, olbrzymie koła i tryby przemysłnych maszyn — staje się czasem sługą rzeczy martwej. Ujarzmione maszyny biorą odwet na swym twórcy, zmieniając go w niewolnika. Czasem, jakby w triumfalnym rozpędzie, zarzuca świat towarami, że ludzkość ugina się pod ich nadmiarem, wygaszając wielkie piece i paleniska, a maszyny w olbrzymich halach stoją bezczynne, spokojne, jednak zawsze sprawne... Czasem przedmioty martwe, wyrodziwszy się w jakąś rzecz samą w sobie, biorą ludzką naturę w niewolne pęta, znęcając się nad nią, wznieczając dramaty, szerząc śmierć i spustoszenie. Złote i srebrne książki metalowe już od wieków przekroczyły ramy zadań, jakie wyznaczył im ich twórca. Pożądane same dla siebie, przestały być środkiem wymiany... Rozpętały namiętności, tworzyły, burzyły, wywoływały tragedje jednostek, narodów i ras.

Dziwny stosunek zachodzi między człowiekiem a rzeczą martwą!

Nigdy niewiadomo, ile złośliwości kryje w sobie bezwład materji, ile się w niej czai tępej, bezmyślnej zemsty, gotowej miażdżyć człowieka za nieznanie nikomu przewiny... Kiedy zaś rzecz martwa rozrośnie się w wielką organizację, trzeba jej doglądać pieczołowicie, z wielkim umiarem, delikatnie...

Faleńskiemu zdawało się, że jest jedynym rozkazodawcą trzystu pięćdziesięciu ludzi podziemi „Heraklesa“, a tym, że są panami kopalni... A „Herakles“ — w bezwładzie swym potężny, w żywiole groźny — przeżył już kilka pokoleń drobnych, małych istot, które codziennie wsysały się w jego caliznę.

Długi czas wspólnym wysiłkiem panowano nad „Heraklesem“, w porę uprzedzając jego złośliwości. Stałe tań on jednak w sobie możliwość buntu. Podskórna woda spokojnie, wolno, kropla po kropli, obluzowywała

skalne stropy jego chodników, napierała wielką masą na wzniesione w różnych miejscach tamy, zżerała rdzą żelazne tych tam okucia... W zapomnianych od wieków starych zrobach bezustanny proces utleniania pirytu spręzał trujące gazy, które zdradliwie przesączały się ku czynnej kopalni...

Dziwny stosunek zachodzi między człowiekiem a rzeczą martwą!

Już teraz, na pierwsze zgrzyty wśród załogi kopalni, bezmyślna bestja, ukryta w „Heraklesie“, poczęła badać, czy pozwoli jej się rozhulać... Już gdzieś runęła część chodnika, gdzieś przerwało starą tamę.

Do spętania bestji, do okiełznania jej zuchwałości stawała zwierzchność kopalni, rozbita wyraźnie na dwa wrogie sobie obozy. Głową jednego obozu był Walicki, głową drugiego — Faleński.

Tradycji przeciwstawiała się nowość, ostrożności—zapał...

XIV.

W SZYNKU.

Walicki, obezwładniony biurokratyczną pracą i zapomniany surowo przez Stalkowskiego, powoli tracił znaczenie na kopalni. Rozgoryczony, przeżuwał trapiące go myśli, żyjąc już tylko wspomnieniami. Przygasł niemal zupełnie, a czas, jakby dopiero teraz ośmielony jego obojętnością, zaczął ryc szczyrby w jego energii i powodować widoczne zmiany w jego postaci, zgodne zresztą z wiekiem nadsztygara.

Mało się odzywał, spozierając z goryczą wielkimi, ciemnymi oczami na swych podwładnych, którzy, oczywiście, godzili się z losem i zachowywali względem Faleńskiego zupełnie poprawnie. Jeden Kwiecień, ze zrozumiałych względów, stał od samego początku po stronie nadsztygara. Przez pewien czas zdawało się, że

sprawa Gładysza zjednoczy wszystkich techników i odda ich pod przewodnictwo Walickiego. Kiedy jednak przyszło ostre napomnienie Stalkowskiego, nadsztygar znów poczuł się samotny. Dopiero bal i jego echa sprawiły, że Targowski przyłączył się bezapelacyjnie do opozycji. Kiedyś, po odjeździe zawiadowcy z kopalni, zapukał do gabinetu nadsztygara. Zastał go siedzącego bezczynnie, z nogami wyciągniętymi daleko pod biurko i rękami w kieszeniach.

— Pozwoli pan?

— Proszę bardzo!

Oczy Targowskiego prześlizgnęły się po Walickim, musnęły kilka przedmiotów i skierowały w kąt pokoju. Cichym głosem opowiedział kilka najświeższych plotek kopalnianych, poczem jeszcze bardziej zniżając głos:

— Ja jestem z panem, całą duszą z panem, nadsztygarze! Przekonamy się, jak Faleński wyjdzie na swoim Gładyszu... Bez naszej pomocy, bez techników musi zę-
by połamać, a jego porządek muszą djabli wziąć!

Na bladą twarz wystąpiły rumieńce, słowo „djabli“ zasyczało nienawiścią.

— Zobaczymy... — mruknął Walicki.

— Niedługo!

Targowski znikł, jak duch.

Łuczyński zachował neutralność i kolebał się zupełnie obojętnie między jedną partją a drugą. Zgodnie ze swym charakterem spokojnego widza, bawił się niezgorzej tą grą ludzkich namiętności. Walka, maskowana układnością i gładkimi formami, sprawiała mu wiele satysfakcji, a opanowanie Faleńskiego imponowało, czemu dawał niejednokrotnie wyraz w rozmowach z Rzurowskim.

W Bolesławiu, przy szosie, naprzeciwko biura Sosnowieckiego Towarzystwa Kopalń Węgla mieści się szyncelek o trzech małych stoliczkach. Za ladą czuwa gospodarz a w salce... nuda. Włóczy się z ogłupiałymi od zimy muchami po upstrzonych ścianach, cyka wraz z se-

kundami okrągłego, dużego zegara, szeleści oddartym kawałkiem jakiegoś starego afisza i wgryza się w kosakowską reklamę piwa okocimskiego z ułanem i dziewczyną.

Pozornie ucieka na kilka godzin popołudniowych, przepłoszona plotkami Łuczyńskiego, oraz chichotem i gestami chudych rąk jego sznaps - kompana Rzuchowskiego. Codziennie bowiem Łuczyński najeżdża wystającym brzuchem na stolik, mając naprzeciw siebie markszajdra. Łykają zawsze cztery większe wódki i cztery małe piwka. Gospodarz, były urzędnik carskiego monopolu, Rosjanin z pochodzenia, ożywia się na te godziny i zwija szybko, wymawiając sakramentalne słowa przy nalewaniu pierwszego kieliszka: „Spirytusik konserwuje“, przy drugim: „Jednemu się przykrzy“, przy trzecim: „Bóg trójkę lubi“, przy czwartym: „Po dwa na jedną nogę“ — poczem pyta:

— A teraz piwko?

Od pewnego czasu plotki Łuczyńskiego krążą wokół ostatnich zdarzeń na kopalni, a dzisiaj gospodarz, przysłuchujący się zawsze uważnie, choć dyskretnie słowom swoich gości, jest świadkiem takiej rozmowy:

— Faleńsio zuch, Faleńsio zuch, powiadam ci! Bo zauważ tylko, kochasiu, co to za majsterek!... Nie podniósł ani razu głosu, a Walickiego trzyma w garści tak mocno, że staruszek już nawet nie porykuje stronami, jak niedźwiedź, co miał zawsze we zwyczaju. Wziąć zaś pod włos Walickiego, ba! ciskać nim, jak szczeniakiem, to nielada sztuka.

Łuczyński łyknął czwartą wódkę i chuchnął na przekąskę. Rzuchowski zatarł gwałtownie ręce i rzucił ze śmiechem:

— Szczeniakiem, wyciągniętym z wody... Ha, ha, ha, ociekłym szczeniakiem!

Wyobraźni markszajdra nie stać było na wykrzesanie własnego dowcipu, czepiał się więc zawsze obrazu

lub myśli rozmówcy, dorzucając do nich szczegóły, albo nieco przeinaczając sens.

— Tak, tak, Faleńsio zuch, Faleńsio smok! Jak to on ładnie połknął temu Targoniusowi Iruchnę, co, he?...

— Jak ostrygę, ha, ha, ha!...

— Na Targonja aż patrzeć przykro... Pływa temi oczami i pływa...

— Jak serek w grzanem piwie!

— No, to porównanie ci się nie udało. Gdzież ciemne oczy i ser?... Zresztą pływać oczami, a pływać w cieczy, to różnica.

Rzuchowski nieco się stropił.

— Mnie chodzi tylko o obraz! — mruknął.

— A mnie o sens... Ale kto napewno rad z tego, że dwa koguty się poczuwały, to Targowska... Aż jej blada skórka różowieje, aż niebieskie żyłki kraśnieją... Napewno!...

— Ba, Targowski to smok!...

— A że Iruchnę Faleńsio zamknął mu, jak na sko-
bel, więc powrócił do żony... Chociaż, bo ja wiem?...

Mięsista twarz sztygara skrzywiła się.

— Nie chce ci się w to wierzyć? — spytał Rzuchowski.

— Właśnie. Mnieby się Jadziuchna ze swą białą skórką jakoś z rąk wyślizgnęła...

Podniósł swe potężne dłonie, a markszajder, wyobraziwszy sobie, jak z nich wypada Targowska, roześmiał się:

— Ha, ha, ha! Ale z ciebie byk! — palnął Łuczyńskiego po łopatce.

— Jakoś mi się łądzo Targonjowa nie wydaje.

Zamilkli, a Łuczyński, podparłszy brodę rękami, zastygł na bryłę.

— Rąbniemy jeszcze jedno piwko? — zmącił mu zadumę markszajder.

— A które to będzie?

— Czwarte...

— No, to naturalnie: święta liczba cztery! Panie Lubowicz!

— Rad jestem starać się!... Piwo już natoczone.

— To prosimy.

Dźwiękły stuknięte o siebie kufelki. Łuczyński sapnął:

— My sobie tu tak gadamy i gadamy, a z tego wszystkiego, co się dzieje, gotowa jeszcze wyjść jaka chryja.

— Dlaczego?

— Tak coś niucham, że Faleńsio zacznie głupstwa knocić. Nie na to przecież okiełznał Walickiego i nie na to nas trzyma za twarze, żeby wypróbować swej krzepy... Po igraszkach nastąpią czyny i wtedy palnie głupstwo! Zobaczysz!

— Prorokujesz?

— Tak! „Heraklesio“ kopalenka stara, jak purchawka, i narowista. Trzeba z nią delikatnie, bo to i ogienek w pirytach, i wody nie na żarty... Gotów jeszcze tak nawodnieć, że wszystkich kataru nabawi.

— A jak siarką podkadzi, to i zakichamy, ha, ha ha!

— Właśnie... Ale wiesz, co z tego wszystkiego wyniknie?

— No?

— Ja tu jeszcze wypłynę. Bo tak: Walickiego Faleńsio od swej łaski odstawił, jak dziecko od piersi. Gładyшек ze wszystkim rady sobie nie da. Zresztą łaska pańska tak go oślepiła, jak dzień dołową szkapę, więc będzie Faleńsiowi przyświadczał. Na mnie więc wszystko spada.

— Co, mianowicie?

— To, aby Faleńsia wczas od głupstwa odwieść, żeby mu przedłożyć, wytłumaczyć...

— Myślisz, że ci się uda? Faleński uparty, jak koziół.

— Wiem, ale ja też mam swe sposoby... Mam powagę, he, he, he! Powaga rośnie razem z brzuchem, a po-

patrz się, co ja tu przed sobą dźwigam!... Chyba powagę dziesięciu pokoleń. Żart żartem, ale że muszę jakoś kaf-tanik bezpieczeństwa na Faleńsia narzucić, to muszę! Nie chodzi mi o ambicję, ani nawet o „Heraklesa“, do którego nie jestem tak przywiązany, jak ten cymbał Walicki, ale o spokój... poprostu o spokój nas wszystkich.

— Żebyśmy sobie mogli to piwko spokojniutko cykać, co?

— Tak! I zobaczysz, że osiągnę wpływ na Faleńsia. Bez krzyku, metodycznie, powolutku...

— Daj ci, Boże!

— Zobaczysz!

Łuczyński podniósł się ciężko z krzesła i powędrował do domu.

W optymistycznych swych przewidywaniach pomylił się zupełnie. Faleński nie lubił go i to z wielu powodów. Przedewszystkiem przypuszczał, że jest sprzymierzeńcem Walickiego, oraz chwalcą dawnych czasów i rządów Roncewicza.

— Starego do starych ciągnie — myślał.

Wygodnictwo i abnegacja życiowa starego sztygara wzbudzała w nim ostrą niechęć. Nie mógł bez nerwowego podrażnienia patrzeć na brylowatą postać Łuczyńskiego, jego powolne ruchy i doskonałą obojętność.

Sztygar wykonywał swe obowiązki sumiennie, lecz pośpiech był czemś przeciwnem jego naturze. Robotnicy dobrze o tem wiedzieli i potrafili to wykorzystać, a to tembardziej, że Łuczyński nie lubił karać, a już jędrny dowcip rozbrajał go całkowicie. Na charakterystyczne wyrażenia, na drobne, a znamienne zdarzenia z życia potocznego robotników polował z zawziętą pasją. Odwiedzając robotę, zwykle przysiadł i wdawał się w pogawędkę. Całe stopy notesów, zawierających anegdoty prawdziwe i zmyślone zalegały jego mieszkanie. Część tego materiału zużytkował w swych naukowych pracach, część miał zamiar wydać w stanie surowym. Gór-

nicy mieli go za zwykłego plotkarza i za oczami podkpiwali sobie z tej manji.

Pewne zaniedbania terminów i niepunktualność najczęściej zdarzały się na polu Łuczyńskiego, co go w oczach zawiadowcy zupełnie niemal dyskwalifikowało jako technika.

W początkach wiosny Faleński przystąpił do eksploatacji nowych złóż galmanu. Na polu Łuczyńskiego miały ruszyć nowe dwa filary. Sztygar siedział od samego rana na dole, żeby wszystkiego dopilnować osobiście, a mimo to robota na nowym filarze opóźniła się o cztery godziny. Kiedy już wreszcie uporał się z trudnościami, poszedł na inną część kopalni. Wracał potem spokojnie na podszybie, tocząc swe bujne kształty w ciemnym skalistym chodniku. Głowę miał, jak zwykle, opuszczoną, lampę trzymał niedbale... Dumał sobie o marnościach i śmiesznościach tego świata, posuwając się pomału. Gdy usłyszał za sobą człapanie kilku par butów po stężałym bloku, obejrzał się...

W pieczarze chodnika dostrzegł Rzuchowskiego i dwóch chłopców, dźwigających stojaki i skrzynki miernicze.

— Grasujesz dzisiaj, przeklęta omentro, po mojem polu?

— Tak! Grasuje tu również Faleński i przypuszczam, że spotkanie z nim nie będzie ci miłe...

— A to dlaczego?

— Bo zły, żeś się spóźnił z puszczeniem filaru.

Łuczyński przystanął.

— Mój drogi! Znasz się przecie na geologii. Popatrz się tutaj: ileż milionów lat przeszło, zanim przyroda wyprodukowała tę oko skałę?... Cóż więc znaczy marne cztery godziny w obliczu dyszącej tutaj wilgocią wieczności?!

— Faleński jest innego zdania.

— A pies z nim tańczył!

Oderwał nogi od spongu i potoczył się naprzód. Od-

głos kroków tłumiło błoto. Stąpali w milczeniu, od czasu do czasu jeno przemówiwszy jakieś słowo. Naraz na przeciw nich zaczęło płynąć żółte światło karbidówki.

— Faleński! — mruknął markszajder.

— Ej-że?

Zamajaczyła sztywna postać. Zawiaadowca zatrzymał się...

— Czy pan Łuczyński?

— Tak...

— Czekam na pana!

Gdy podeszli bliżej, lampy ich, oświetlając zawiaadowcę, rzuciły na spong i ściany pieczary śmieszny jego cień, zbity i ostry u nóg, a rozpraszający się olbrzymio w głębi chodnika. Cień ten drgał i balansował za każdym poruszeniem ich lampek.

— To jest skandal, panie sztygarze! Cztery godziny opóźnienia... Co to ma znaczyć?

— Spóźnili się z narzędziami.

— To świadczy o kompletnem pańskim niedołęstwie.

— Ależ, panie zawiadowco, zawsze się tak może zdarzyć. Człowiek projektuje, Pan Bóg dysponuje... Zresztą cóż znaczą cztery marne godziny wobec wieczności?...

Faleński spojrzał nań, jak na warjata.

— Pan sobie kpi ze mnie!...

— Gdzieżbym śmiał? Ale wszystko przecież można załatwić pół-żartem, pół-serjo...

Faleński aż zaniemówił na chwilę.

— Wypraszam sobie! — syknął wreszcie w najwyższej pasji. — Wypraszam wszelkie uwagi. To niesłychane! Jak pan stary, to na emeryturę! Uczeni i poeci do pióra, a nie do poważnych zajęć! Dobrze sobie! Literat!...

Wobec Walickiego nigdyby sobie Faleński na coś podobnego nie pozwolił, bo w gruncie rzeczy go szanował, uwagi jednak i niezachwiana równowaga tej „bryły

mięsa“, jak w myślach nazywał sztygara, rozdrażniły go niewypowiedzianie. „Bryła mięsa“ stała tymczasem, jak wkopana w miejsce. Nikt go do tej pory w ten sposób nie potraktował, więc był oszołomiony.

— Szczęść Boże! — cisnął zawiadowca i zadudnił w chodniku energicznymi krokami.

Ledwie zawarły się za nim ciemności, Rzuchowski wybuchnął śmiechem:

— Ale cię objeździł!... O, święci anieli!!

Twarze chłopaków drgały gwałtem wstrzymywaną wesołością...

Łuczyński panicznie bał się śmieszności. Rozumiał, że gdy teraz wybuchnie, jeszcze bardziej się ośmieszy, szukał więc jakiegoś zdania, które wyraziłoby lekceważenie, bo to jedno mogło go zasłonić, jak tarczą, przed kpinami w przyszłości. Odsapnął i zaryczał na melodję znanej kolendy:

„Dobyl tak strasznego głosu baraniego,

Myśląc, że przestraszy pana Łuczyńskiego“...

— Głupi, bo młody! — dodał po chwili. — No, ale chodźmy!

Wieczorem sapał przy piwku, nie mogąc się uspokoić. Rzuchowski bawił się jego kosztem świetnie. Powoli jednak sztygar potrafił skierować wesołość markszajdra w innym kierunku, ośmieszając zawiadowcę. Wypił kilka kieliszków ponad przepisaną zwyczajem porcję.

— Objeździł mnie, bo objeździł...

— Nawet ci literaturę wypominał!...

Tłusta twarz Łuczyńskiego zaszła ciemnym rumieńcem... Jego działalność naukowa była jedyną dziedziną, z której ani on sam nie drwił, ani nikomu drwić nie pozwalał.

— Tak! Ale zobaczymy, jak on na tem wyjdzie. Choćby się teraz cholera z tyfusikiem na „Heraklesa“ zwała, to palcem nie kiwnę, żeby Faleńsia podtrzymać.

XV.

W RESTAURACJI.

Zupełnie nagle nastąpiła wiosenna rozkal. Zwały śniegu rozplywały się w maź błotną, a spod jednostajnej bieli wyłaniały się garby czarnych pól, oraz zmiętoszona, uboga zieleń ozimin. Pagóry trysnęły potokami, hałdy zaszumiały od siklaw, po zboczach odkrywek waliły spienione strugi, niby jakieś wysokogórskie wodogrzmoty. Rozmokły śnieg tulił się brudnymi płachtami po wkłásach pól i zapadlinach hałd — chował jeszcze w wiecznie zacienionych podpłociach i ocieniach murów. Wiosenne wiatry lizały ziemię ciepłymi oddechami, a deszcze zbryzgiwały ostatnie splachetki śniegu.... Na horyzoncie codziennie majaczyły zwidy Beskidów — poszarpane, odległe, jak mgławice... Wszystkie drogi rozmokły, pola rozlały, a w kopalni podniósł się poziom wody i pompy zahuczały silniej...

Targowski przesiadywał teraz w domu i patrzył na rozkisły świat. Czasem czarne płyty wąsów wznosiły się w górę w złośliwym uśmiechu.

— Tyle przynajmniej, że musi więznąć w tem błocie!

Słaba to jednak była pociecha i po staremu zazdrość znaczyła całą jego postać ponurym stygmatem. O przygodzie Łuczyńskiego dowiedział się tego samego dnia. Słowa opowiadającego chłonał z miłą satysfakcją.

— Coraz nas więcej...

Postanowił zbliżyć się do starego sztygara, z którym unikał styczności od czasu balu. Wrodzone mu poczucie dobrego tonu wzdrygało się na myśl spędzenia kilku godzin przy kieliszku w szynku Lubowicza, więc zaproponował dwu przyjaciołom przejażdżkę do Olkusza.

— Napijemy się, pogawędzimy sobie przy kieliszku...

— Ależ z największą przyjemnością.

Szosa Bolesław — Olkusz kończyła się w samym miasteczku kawałkiem asfaltu. To, co się zyskiwało na wygodzie przez te kilkadziesiąt kroków, zaraz zostawało wytrzęsione na potwornym bruku rynku. Na szczęście restauracja mieściła się w drugim domu od rogu.

Sztygarzy wysiedli z bryczki.

Spostrzegłszy wchodzących, pan Kazimierz, kelner senny i niemrawy, odrazu przedzierzgnął się w nadzwyczaj sprężystego, przeczuwając niezły zarobek.

— Moje uszanowanie!... Tu będzie szanownym panom najwygodniej! — serwetka zamaszycie potrzebowała nad stolikami w rogu sali.

Łuczyński tupał ku zapraszającemu odmierzonym, ciężkim krokiem. Targowski skinął lekko głową.

— Niech będzie!

— Czem mogę służyć?

— Przedewszystkiem starkę i jakieś przekąski...

— Kanapki, majonezik, może coś na gorąco? Móżdżek, rybki w galarecie?

— Owszem! — przerwał elokwentnemu panu Kazimierzowi Łuczyński. — Dla mnie może być ryba, ale koniecznie morska.

Jasne brwi kelnera strzeliły ku górze:

— Jaka?

— Mówię panu: morska ryba, czyli śledź poprostu!

— He, he, he...

— No, dawaj pan prędko, co pan ma dobrego! — zniecierpliwił się Targowski. — My znamy firmę, pan zna nas, więc nie potrzebujemy się długo rozwodzić.

Na stół spadły dary boże, jak z rogu obfitości... Targowski wybierał przekąski z rozmysłem i smakował powoli. Łuczyńskiemu było wszystko jedno, co je, ale że lubił rozmaitość, więc atakował widelcem coraz co innego i wkrótce podziabiał potrawy na wszystkich półmiskach... Rzuchowski łykał szybko, ledwie żując, a co do wyboru zdawał się całkowicie na gust Targowskiego.

Rozmowa sklejała się wolno. Targowski układał w myśli potoczyste zdania, ale nie występował z niemi, bojąc się, że Łuczyński trzaśnie w nie swą grubą ironją. Rzuchowski do tej pory nie był zdecydowany jeszcze, jak się ma zachować wobec sporu między zawiadowcą a sztygarami, Łuczyński zaś czekał, z czym wystąpi organizator dzisiejszej eskapady.

Wreszcie wódka dodała Targowskiemu werwy. Mózgdek mocno przesycony sokiem z cytryn, był wyborny. Sztygar szykował sobie już drugą porcję do nalanej przedtem kolejki. Po wypiciu, odsunawszy się nieco od stołu, musnął niepewnym spojrzeniem kolegów i rozpoczął:

— Czy panowie nie uważacie, że pan inżynier Faleński już nieco zanadto sobie pozwala?

Łuczyński już mełł w ustach pytanie, czy ma w tej chwili na myśli „Iruchnę“, ale wstrzymał się, nie chcąc rozbijać solidarności sztygarów wobec zawiadowcy i tylko chrząknął. Ciemne oczy Targowskiego prześliznęły się po nim skokami, poczem utwiły w butelce z wódką.

— Uważam, że niektóre posunięcia — ciągnął — wprost już godzą w nasz honor. Bo przypomnijmy sobie pokrótce, jak to było? Poprzedni nasz zwierzchnik de facto, obecnie już tylko de nomine, Walicki, potraktowany został ostro i bezwzględnie... Co tam mamy do zarzucenia Walickiemu, to mamy, nie przeszkadzało to jednak, że szanowaliśmy go wszyscy. Prawda?

— Niewątpliwie.

— Nie reagowaliśmy na spostonowanie Walickiego, człowieka szanownego i człowieka zasług, i mam wrażenie, że postąpiliśmy bardzo źle.

— A to dlaczego?

— Dlatego, że pomiatanie ludźmi weszło w system... Że sprawa Walickiego była tylko zapoczątkowaniem systemu, którego ofiarą padamy po kolei jeden po drugim.

W tej chwili usłużny pan Kazimierz podpłynął w lan-

sadach, wsuwając w rękę Targowskiego kartę ze spisem potraw, czem przerwał jego wywody.

— Czem mogę służyć?

— Daj pan tę gęsią wątróbkę.

— Dla mnie befszyk z polędwicy — sapnął Łuczyński.

— I dla mnie — dodał Rzuchowski.

— Dużo cebulki, a befszyk mało przysmażony... — domyślił się w lot pan Kazimierz.

— Tak, tak! — spiorunował go wzrokiem Targowski, nierad, że mu przerwano.

Rozpoczął dopiero wówczas, gdy Łuczyński krajał befszyk w olbrzymie kawały, a z niedosmażonego mięsa spływała czerwień, łącząc się z tłuszczem i sosem...

— Tak, to już jest system. System obmyślony i prowadzący do tego, aby rządzić kopalnią samowładnie...

— No, to i Walicki rządził — próbował zlekceważyć sprawę Rzuchowski.

— Ma pan rację, ale Walicki posiadał dużo taktu. Rozumiał, co do kogo należy, nikomu nie ubliżał... A przecież wysunięcie Gładysza ubliża nam wszystkim... Darują panowie, ale na taką rzecz powinniśmy byli zareagować.

— To już nieaktualne.

— Tembardziej teraz powinniśmy podjąć samoobronę. Jeżeli dalej będziemy się na wszystko zgadzać, to doprawdy nie wiem, do jakich granic posunie się pan Faleński. To, co ostatnio spotkało pana, panie kolego Łuczyński, doprawdy pachnie już skandalem!

Twarz Łuczyńskiego zaszła rumieńcem. Dla pokrycia zmieszania, palnął nową kolejkę. Wogóle pieczone często zakrapiano wódką, którą nerwowo nalewał Rzuchowski. Zapominać o niej nie pozwalał zresztą pan Kazimierz, co pewien czas zjawiający się cicho jak duch i napełniający kieliszki z góry, z czarującym uśmiechem.

— My wszyscy przecież pana znamy i szanujemy, kolego Łuczyński! Czyż tylko my?... Ma pan zupełnie zasłużone i ciężką pracą oraz zdolnościami zdobyte imię w nauce. A tu zjawia się jakiś tam pan Faleński, młokos, prawdę powiedziawszy, i ośmiela się panu wymyślać od niedołęxów, odzywać się z najwyższem lekceważeniem o pańskich zasługach.

Łuczyński zastygł na bryłę i sposepniał.

— Więc co rcbić? — mruknął.

— Bronić się, powiadam... Trzymać się razem!

Targowski pewny już był Łuczyńskiego. Chodziło mu teraz o wciągnięcie do akcji markszajdra, który do tej pory mały brał udział w rozmowie.

Rzuchowski był tak zwanym „porządnym chłopem“. „Porządny chłop“ to znaczy doskonały kompan, to znaczy człowiek, który dla przyjaciół dałby się posiekać! „Porządny chłop“, gdy trzeba — wybuchnie, gdy trzeba — narazi się, wystawi na ciosy za całe towarzystwo, przesadzi w lojalności. „Porządny chłop“, wysunięty umiejętnie przez kompanów, potrafi ich zasłonić nieraz tylko dla sprytnie podsycanej ambicji. „Porządny chłop“ odgrywa w świecie dużo większą rolę, niż się przypuszcza... Kieruje się zaś „porządnym chłopem“ tylko pochlebstwem.

— Na pana, panie Józefie, liczymy najbardziej!... — oczy Targowskiego spoczęły na Rzuchowskim.

— A to dlaczego?

— Pan się jeszcze pyta? PrzeJewszystkiem dlatego, że pana szanujemy, że wiemy, co znaczy u pana słowo: przyjaciel. Bez pana wogóle bylibyśmy niczem... Tylko ludzie płytcy i pozbawieni inteligencji mogą pana niedoceniać! A chyba za takich pan nas nie uważa, co, panie Józefie, cc?

Rzuchowski pokraśniał z zadowolenia.

— Jeszcze po kieliszku! — zapronował.

— Z panem zawsze! Niech pan wie, niech pan będzie o tem przekonany, panie Józefie, że wysoko poważam pańską osobę i przyjaźń z panem byłaby dla mnie czemś wyjątkowo cennem.

— He, he, he...

— Doprawdy, doprawdy!...

Komplementy spływały na markszajdra nawalnym deszczem, a on topniał pod ich wpływem... Alkohol spełniał również znakomicie swą rolę. Przy zakąskach Rzurowski miał jeszcze nieco zastrzeżeń co do akcji przeciw Faleńskiemu. Przy pieczysem był już całkowicie za kompanami. Przy pierwszej czarnej kawie rozczulił się nad niedolą Łuczyńskiego, przy likierze całą duszą zespolił się z pckrzywdzonymi, a kiedy drżącą ręką napełniał likierem kieliszki szóstej kolejki, rozlewając nieco gęstego płynu na obrus, poprostu ział już chęcią zemsty na zawiadowcy.

Targowski był ze wszystkich najtrzeźwiejszy i najwięcej mówił.

— Więc zostanie sobie on sam ze swoim Gładyszem!

— Tak, tak....

— A my tak, jak mówiliśmy! Da rozporządzenie; proszę bardzo!... Wykonujemy... Tylko, że wykonać a wykonać — to różnica! Wykonanie zaś tylko od nas zależy. Zobaczycie panowie, że będzie musiał zmienić front.

— Albo go djabli wezmą!

— Oby jaknajprędzej...

— Dobrze powiedziane.

— Ale już czas wracać do domu, panowie, już czas!

Bryczka zaturkotała na bruku, przesunęła się ciutko po asfalcie i wpadła na szosę. Ostatnie światła lamp łukowych zostały za jadącymi... Bryczka pogrążyła się w cieniach bezgwiazdnej, ciemnej nocy...

XVI.

TURBACJE.

Czarna linja wykresu wydobywania rudy, wznosząca się od czasu śmierci Roncewicza stale, choć nieznacznie ku górze — w ostatnim miesiącu skreśliła w dół.

Faleński zdjął binokle i przypatruje się schematowi oczami krótkowidza. przysunąwszy się tak blisko, że niemal wodzi nosem po ścianie... Nie może zrozumieć przyczyny spadku produkcji. Wie tylko, że wszelkie jego zarządzenia chybiają jakoś celu. Robi to wrażenie, że każdy jego cios, każde uderzenie skiełło bokiem, a „Herakles“ drwi z jego długo obmyślanych poczynąń.

Inżynier nakłada binokle i zaczyna spacer po gabinecie. Przez okno widać wądoły i gruzy kamieni po dawnych szybikach. Nierównego gruntu czepia się już wiosenna zieleń traw, a tu i tam żółci się nieśmiało jakiś drobny kwiatusek.

W mózgu zawiadowcy rodzą się pierwsze podejrzenia i jak długie macki polipa szukają jakiegoś pewnego faktu, by wyssać z niego prawdę i dojść do skonstatowania spisku i porczumienia podwładnych przeciw niemu. Nie mogąc tego dokazać, gmatwają się i opadają bezsilnie... Znów się natężają...

„Jeśliby ktoś przewodził, to przedewszystkiem Walicki, a więc i Kwiecień... Tymczasem na polu Kwietnia dzieje się stosunkowo najlepiej“!...

„Targowski?... Hm. może... Naturalnie spowodu Ireney. — Faleński uśmiecha się ironicznie — Łuczyński?... Nie! Ten do żadnego wysiłku nie jest zdolny... Ciamajda, stary gamoń!! Zatem nie spisek. A więc?... A więc poprostu karygodne niedołęstwo... Trzeba ich mocniej przydusić!“.

Prostuje się jeszcze sztywniej, a pionowa zmarszczka tnie mu czoło.

Ktoś puka do drzwi.

— Wejść!

Ukazuje się Gładysz w zażółconem rudą ubraniu. Twarz przysypana brązowym pyłem galmanu, jak pudrem; na wąsach dwie czarne, pionowe kreski od czadu lampki. Zalatuje od niego mdłym zapachem karbidu i skalnej wilgoci. Z zaszępionego czoła dozorca Faleński wnioskuje, że znów stać się coś niedobrego.

— A co tam?

— Zarabowała się część chodnika wywozowego...

— Głównego?

— Nie. Bocznicy na polu pana Targowskiego.

— I co?

— Uprzątają!

— Fedrunek wstrzymany?

— Tak!

— Na jak długo?

— Może jutro do południa skończą...

— Psiakrew! Na kilka godzin wydobycie przerwane!

— Tak jest, panie zawiadowco.

— Dlaczego się zawaliło?

— Drzewo było trochę przegniłe.

— Czy pan to widział przedtem?

— Dokładnie nie zauważyłem, bo miałem robotę z tą podsadzką na polu pana Kwietnia. Zresztą myślałem, że wytrzyma.

— Aha!... A przypuszcza pan, że pan Targowski?—

Faleński nie dokończył. Wzrok jego zawisł pytająco na dozorce. Gładysz skinął głową pośępnie.

— Mnie się zdaje, panie zawiadowco, że oni są razem.

— Aha...

Faleński kazał woźnemu poprosić Targowskiego. Sztymar wszedł lekko uśmiechnięty.

— Pan będzie łaskaw! — inżynier wskazał mu ręką krzesło. Targowski siada, zarzucając nogę na nogę.

— Mam panu, panie sztygarze, udzielić niemiłej wiadomości.

— No?

— Popołudniu zawałiła się na pańskim polu część chodnika wywozowego.

Zdumienie:

— Wywozowego?

— Tak, właśnie mi pan Gładysz melduje.

Wzrok Faleńskiego wpija się w sztygara, którego duże oczy, jak zwykle, myszczą w przestrzeni.

— To dziwne, to dziwne... Tam było takie zdrowe drzewo!

Faleński zapytuje bardzo powoli i z naciskiem:

— Czy pan jest tego zupełnie pewien, panie sztygarze?

— To jest... właściwie... W ostatnich dniach krócej przebywałem na dole, bo musiałem robić szlus!

— Więc nie jest pan zupełnie pewny co do tego drzewa?

— Tak zupełnie, to nie.

— Aha... A dozorczy panu nie meldowali?

— Nie!

— Starszym dozorcą jest u pana Skubis?

— Tak!

— Chciałbym z nim porozmawiać.

— Czy zaraz? — podrywa się Targowski.

— O, nie. Mamy czas... Przedtem jeszcze z panem słów kilka...

— Proszę bardzo... — sztygar mimowoli przybiera pozycję obronną.

— Ha, ha, ha!...

— Czemu pan się śmieje, panie inżynierze?

— Bo to zabawne: robi pan taką minę, jakby to było jakieś śledztwo... A ja chcę poprostu zamienić z panem kilka zdań.

— Śledztwo? Jakimże sposobem mógłbym przypuszczać, że to śledztwo!... Ha, ha, ha!... Pan zawiadowca

ma świetne kawały! — tym razem sztygar wybuchł długim śmiechem.

Faleński czuje, że Targowski wymknął mu się i że z dalszej rozmowy nie wyluska prawdy. Dotychczasowe jednak zachowanie się i odpowiedzi sztygara, a zwłaszcza jego zająknięcie się, gdy mówił o drzewie, zdają się potwierdzać podejrzenia, że naumyślnie zataił stan budowy chodnika.

Zawiadowca zmienia temat:

— Bo mnie się wydaje, że panowie wogóle mnie mają za bardzo surowego zwierzchnika... Posądzają, o Bóg wie, jakie zapędy...

— Ale cóż znowu? Jesteśmy jaknajlojalniejsi i jak najżyczliwiej usposobieni... Zapewniam!

— Tak?

— Naturalnie!...

— Mówi pan w imieniu wszystkich?

— Przedewszystkiem w swoim, ale jestem przekonany, że wyrażam myśli ogółu.

— Tembardziej jest mi przykro, że tegoroczna tantjema panów, a pana w szczególności, ulegnie znacznej redukcji.

— A to czemu?

— Choćby z powodu tego ostatniego zdarzenia, o którym mówimy. Wprawdzie wypadku z ludźmi nie było, ale zawsze....

— Trudno, panie zawiadowco, na kopalni zawsze zachodzą wypadki i konsekwencje musimy ponosić... A że teraz częściej, niż dawniej, to cóż na to poradzić.

— Częściej, niż dawniej?

— Tak.

— Czemu pan to przypisuje?

— Nie wiem... To już zagadka „Heraklesa“...

— Gdybym pana nie znał, przypuszczałbym, że pan jest przesądny.

— A może, a może?... Kto tyle lat z kopalnią ma do czynienia, jak ja, może stać się zabobonny...

— Skarbnik, co?... Ha, ha, ha...

— Właśnie!... Ha, ha, ha...

— No, postaram się, panie sztygarze, jakoś tam w Dąbrowie te rzeczy przedstawić i mam nadzieję, że tantjemy pozostaną te same, co dawniej

— Będziemy panu zawiadowcy niezmiernie wdzięczni.

— A może wyrazi się to w jeszcze silniejszej skrupulatności?

— Czyż pan inżynier ma mi cokolwiek do zarzucenia?...

— Chociażby ten chodnik...

— Drobnie niedopatrzenie...

— Ale na przyszłość i to zniknie!

— Postaram się...

— Dziękuję!

— Ależ, panie inżynierze!

Robiło wrażenie, że rozmawiający chcą się prześcignąć wzajemnie w elegancji i ukłonach. Gdy się żegnali, każdy był bardzo zadowolony z siebie, a żywił nieco pogardy do drugiego. Odcienie tej pogardy wyrażały zdania, tkwiące w ich mózgach, kiedy podawali sobie dłonie.

„Wsypał się błazen“ — myślał Faleński.

„Chciał mnie podejść, dureń!“ — odwdzięczał mu się Targowski.

Po wyjściu sztygara, Faleński skrzywił się z odrazą.

— Toż to najzwyklejszy kryminalny czyn! — pomyślał. — Ale jak ja złapię na czemś podobnym, jak ja go złapię kiedy!...

Zęby ścisnęły się mimowoli, i biała nienawiść otoczyła swym kręgiem wszystkich ludzi „Heraklesa“. Ujrzał ich naraz zgrupowanych razem, z brodatym Walickim na czele, związanych przeciw niemu węzłem upartego sprzeciwu. Otrząsnął się: oprócz nienawiści czuł do nich pogardę i to go ratowało.

— Zdaje się, że pan miał słuszość, panie Gładysz! Dozorca skinął głową w posępnym milczeniu.

— Ale ja sobie dam z nimi radę... Ja roztrzaskam ten ich upór, ugniotę na glinę... I liczę na pana, panie Gładysz.

— Tak jest.

— Teraz we dwóch musimy nietylko prowadzić kopalnię, ale... śledzić posunięcia urzędników... Do tego doszło! Niesłychane!...

— Kto to upilnuje?...

— Nie wolno panu tak mówić... Musimy!

Faleński podszedł do biurka. Dozorca skłonił się:

— Szczęść Boże, panu zawiadowcy!

— Szczęść Boże!

Za progiem biura przywitał dozorcę cichy przedmrok kwietniowy... Ciepłe wiatry już dawno osuszyły pierwsze wiosenne roztopy, a górzyste pola chwiała się sytną zielenią kielkujących zbóż. Gładysz posuwał się samotnie ścieżką, wijącą się wśród pagórków, hałd i rozdółów. Lekki przymrozek wieczorny pokrywał cieniutką skorupą lodu pozostałe tu i ówdzie zastoiny wody. Na ścieżce lodowe szkliwo przylegało gdzieniegdzie do ziemi i łamało się z chrzęstem pod stopami dozorca. Gładysz szedł zamyślony, a jego wyobraźnia snuła, jak zwykle, posępne zadumy.

Niedawno — jeszcze zimą — zdawało się, że los nachylił ku niemu twarz uśmiechniętą i łaskawą. Przychylność tę umiał ocenić i godnie ją przyjął: pracował za trzech, przemierzając samotne chodniki kopalni, wytężał swe siły fizyczne i umysłowe, szarpał swoje zdolności...

I co z tego?

Wyrósł wokół niego krąg niechęci i zaciska się mocnym pierścieniem, aby go obezwładnić... Posuwa się, jak niewód — oskrzydła, zacieśnia, a on — coraz mocniej osaczony — poczyną się miotać, tracić siły i wiarę w powodzenie.

Wszyscy przeciw niemu.

— Panowie, inteligencja! — myśli i wzdyka się w

nim głucha niechęć pracownika fizycznego do urzędników, podsycana być może atawistyczną, odwieczną nieufnością chłopca do szlachcica.

Panowie! Już ich to boli, że w zamknięte ich koło wtargnął prosty cham, którym zawsze pomiatali...

Oczy Gładysza łyskają ponuro: przypomina sobie opowiadania dziadka, przysięgłego górnika rządowego, który na tymże „merkurysie” brał baty, jak panszczyznia, i którego gnano do roboty, niby dezertera.

Jak się z nim samym obchodzono, kto go w pełni uszanował? Stary Walicki swą łaską pańską uczynił go dozorcą, ale już jego rodzony syn, Andrzej...

Myśli Gładysza cofają się na chwilę przed pograżeniem w bolesną sprawę, ale wnet brną tam i nurzają w niej z jakimś żalosnym zadowoleniem.

Pokrzywdził Maryskę jeszcze jako pannę, bo mu się tak spocobało... Potem wyjechał i zapomniał...

Gładysz łagodzi ostrość sądu refleksją: „No, to się zdarza zawsze i wszędzie: od tego on był chłopak, a ona piękna dziewczyna!”.

Refleksja ta jednak miała być tylko odskocznią do tem silniejszego ataku:

„Ale jak tylko zobaczył, że jest moją żoną, odrazu ją napadł... Nie uszanował księdza, ni oitarza“...

Najboleśniej przeżycia spadają teraz na Gładysza całym stadem...

— Inteligencja, inteligencja!...

Faleński go wydzwignął, ale na tymczasem, żeby się odegrać, żeby tamtych spostonować... Gdy się tylko z nimi porozumie, to jego odrzuci precz, jak rzecz zbędną!... Tamci dopiero na nim się odemszczą.

— Inteligencja, inteligencja!...

Wyobraźnia kreśli mu ją w tej chwili, jak jakąś potęgę, związaną mocno węzłami solidarności i cichą, stałą znową — — —

Nietylko jednak urzędnicy są przeciw niemu. Dawni koledzy i podwładni bodą go teraz zawistnymi spojrzzeniami... Zginają się w pochlebstwie, przymawiają, podlizują, ale za każdym gestem usłużności kryje się zazdrość. Kiedy nie słyszy, szydzą z niego, wydrwiwiają, a przed nim — płaszczą się i nadskakują. Gdyby tylko mogli, rzuciliby się na niego... Upadek jego znaczenia przyjęliby wybuchem radości, krakaliby nad nim, jak kruki nad ścierwem: jedni z udaniem współczuciem, inni z niekłamaną uciechą.

Wszyscy ludzie są dranie i wszyscy przeciw niemu jednemu!

— Ale ja się nie dam! Nie dam! — krzyczy w sobie głośno, uparcie.

Zbliża się do Podlipia. Widzi już swój schludny domek z zazdrostkami z bibulek w oknach. Za chwilę tam będzie, zobaczy swą Maryškę, porozmawiają sobie, zasiądą do kolacji. Zaświeci się lampę i przy jej żółtym świetle odpocznie sobie... Należy mu się to, spracował się dziś setnie. Uśmiecha się z ulgą.

Naraz nowe miłe myśli zaczynają zachodzić barwą poprzednich i dozorca się wzdryga.

— A i ona łgarz! I ona. Nie wierzę nic... Latawica!

Przyśpiesza kroku, bo ogarnia go jakieś podejrzenie i gna naprzód.

Gwałtownie otwiera drzwi i woła:

— Maryška!

— Co? — rozlega się w sąsiednim pokoju spokojny głos żony.

— Jesteś?...

— Tak, a bo co?

— Bo myślałem, żeś gdzie wyszła...

— Cóż ty znowu? Gdzieżbym mogła wyjść o tej porze?

— No nic, nic... Podawaj kolację.

Przy stole przez pewien czas jest jeszcze posepny. Potem rysy mu łagodnieją, oczy czule chodzą za krzątającą się żoną.

— Och, Boże!... Ty nawet nie masz pojęcia, Maryśka, ile się teraz na mnie zważyło różnych turbacyi...

XVII.

NA POLU TARGOWSKIEGO.

Na polu Targowskiego ołów już zaczął się wyczerpywać. Faleński kazał puścić trzy roboty poszukiwawcze, więc kruszono skaliska, drążąc je chodnikami, wcinając się w caliznę w trzech różnych częściach pola.

Sztygar doglądał nowych robót osobiście, a jedną z nich odwiedzał codziennie. Znajdowała się na krańcu pola. Za zbliżaniem się już zdaleka słyszeć się dawało wściekle szczekanie wiertarek, syk zgęszczonego powietrza i pokrzyki ludzi gorączkowo pracujących.

W przodku, jak w wielkiej skalnej grocie, uwijali się co doświadczeńsi górnicy. Trzy lampy karbidowe słabo oświetlały krzątających się, którzy taplali się w wodzie, spływającej drobnymi smużkami z żółtych warstw calizny...

— Szczęść Boże! — pozdrowił Targowski pracujących.

— Szczęść Boże.

— Jak tam dzisiaj idzie?

— Ano, dobrze...

— Widzę, że jakoś wody mniej, niż zawsze.

— Tak, coraz mniej.

— No, to i dobrze.

— Tak. Jedno ino mnie dziwi, że kiedy mocno wiercić, to skała oddaje głucho, jakby za nią było pusto.

Targowski spojrział na Foszmanika, stojącego w zwy-

kłej sobie pozycji, t. j. z pochyloną w dół, jak do bodzenia, głową.

— Tak wam się zdaje?

— Ja...

Sztygar wzruszył ramionami.

— Skądżeby się pustka wzięła?

— Toli mnie samemu dziwno.

— Ano, poborujcie trochę, to posłucham.

Foszmanik ujął wiertarkę. Odkręcono powietrze i świder zgrzytnął po skale. Górnik napał mocniej... Wiertarka zgrzytnęła, trochę skielzła, ale wreszcie wżarła się w caliznę... Trzepot rozdygotanej maszyny wprawia w drganie silne ramiona pracującego, trzęsąc nim całym.

Targowski obserwuje uważnie i słucha odgłosów.

— E, co tam mówicie?... Szczeka, jak zawsze...

Foszmanik, który jak chrząszcz przywarł do opoki, dziurawiąc ją żądłem świdra, nie odpowiedział... Nagle gibnął się naprzód i wyrznął głową o kamienie. Równocześnie ustał zgrzyt.

— Choroba! — zaklął — Wstrzymać powietrze!

Wiertarka stanęła.

Targowski patrzył zdumiony.

— Co się stało?

— Pustka za skałą.

— Pustka? Niemożliwe!

-- Napewno!

Wykluczone było, żeby skała nagle urwała się z naturalnych przyczyn. Należało przypuszczać, że natrafili na jakiś zawalony chodnik, ale to właśnie najbardziej dziwiło sztygara. Wszak są bardzo oddaleni od starej kopalni.

— Jak tu teraz strzelać? — frasował się Foszmanik.

— Przecie w pustkę ładunku nie wrażę....

Drugi górnik, chudy, tyczkowaty Lasoń, uśmiechnął się:

— Boby i nie oddał.

— No...

— Możeby kilofami?... — poddał Targowski.

— Kilofem nie weźmie, panie sztygarze, skała twar-
da i nie da się zeprać.

Lasoń odsunął kolegę, ujął lampę w rękę i oświetlał
opokę.

— Hm... Trza borować bokiem. Dej-noś, Wicek, wier-
tarkę. Wpiere ją od tej dziury, coś zrobił, w górę, a ty
boruj drugą tak samo naskos, tylko w dół.

Wiertarki znowu zgrzytnęły.

Targowski nie opuszczał roboty, zaintrygowany nie-
zwykłym zdarzeniem.

— No, to i gotowe...

Foszmanik przygotował ładunek dynamitu. Zapalono
lonty i obecni odeszli za zakręt chodnika.

Huknęły dwa strzały jeden po drugim. Wracających
ogarnął gęsty, biały dym o ostrym zapachu. Lampy świe-
ciły, jak w aureoli.

— No i co?

— Osypisko.

Targowski stał zdumiony... U brzegu jamy, dopiero
co wystrzelonej dynamitem, spostrzegł kamienie najczy-
stszego, wysoko procentowego galmanu.

Z otworu wionął stęchły zaduch.... Foszmanik brał
w rękę kamienie.

— Czysty galman.

— Tak. Natrafiliśmy na bardzo stary chodnik.

Zamilkli, pogrążając się w to dziwne uczucie, które
ogarnia człowieka, gdy zetknie się z sędziwą rzeczą, szep-
czącą swem istnieniem o nicości wobec czasu i wiczy-
czystych ludzkich wysiłkach.

Dwa następne strzały poszarpały bramowanie otwo-
ru na tyle, że już można się było zorjentować we wszy-
stkiem. Stary chodnik, o poziomie odrobinę wyższym za-
pełniony był galmanem, który teraz zsypywał się jako
gruz.

— Hm.... Jakto dawniej, panie sztygarze, wszystko inaczej szło.... Przecie oni galmanem podsadzali opuszczone chodniki, jak my dzisiaj, nieprzymierzając, piachem.

— Tak... Ale to nic dziwnego... Szukali srebra, to galman mieli za nic.

— Hm, hm! Dobrze my jednak trafili, choć tam i za czem innem szukaliśmy. Dyć tu ten galman bez żadnego trudu będzie się ładowało na wózki. Nawet bez strzelania się obejdzie. Łopatami go i hajda na podszybie! To się dopiero pan zawiadowca ucieszy...

Targowski myślał o tem samem, tylko bez radości. Wprost przeciwnie. Zły był, że mu się tak poszczęściło... Wydobyć zwiększy się gwałtownie, a znaczenie Faleńskiego wzrośnie. Przez moment zastanawiał się, czyby nie zataić przypadkowego odkrycia? Było to jednak niemożliwe!... Musi złożyć raport, bo dziś jeszcze wieść roznieście się po całej kopalni.

— Cóż my tu będziemy robić dalej, panie sztygarze? — wyrwało go z zadumy pytanie Foszmanika.

— Właściwie nic nie macie do roboty... Jak wyjdę na wierzch, to zapytam pana zawiadowcy.

— A która godzina?

— Pół do jedenastej.

— To pana zawiadowcy tylko patrzeć, bo dzień w dzień przed jedenastą tu zachodzi.

— Kiedy tak mówicie, to poczekam.

Wydobył papierosnicę i poczęstował górników. Nie zdążyli jeszcze wypalić, gdy w rozproszonem świetle lamp zarysowała się w chodniku sztywna sylwetka Faleńskiego. Targowski pośpieszył naprzeciwko.

— Panie zawiadowco, mam panu zakomunikować o niezwykłym i radosnem zdarzeniu. Doprawdy coś wspańskiego!

— Aż tak?

Faleński się zatrzymał.

— Tak, tak! Proszę sobie wyobrazić, natrafiliśmy na stary chodnik, podsadzony galmanem. Ruda poprostu się sypie. Ale co ja będę opowiadał? Sam pan zawiadowca się przekona... Proszę bardzo.

Sztygar przylgnął do boku chodnika, przepuszczając przed sobą Faleńskiego.

— Ależ to doprawdy coś nadzwyczajnego! — błysnął binoklami Faleński, nachylając się nad usypiskiem galmanu.

— Pierwszorzędna ruda! — Targowski rozłupał kilofem okaz i podał go inżynierowi.

Mimo zwykłego opanowania Faleński nie mógł powstrzymać radości:

— Świetnie, doskonale! — powtórzył kilka razy.

— Bez żadnego wkładu mamy rudę.

— Przypuszczam, że tam dalej trzeba będzie chodnik budować drzewem. Zapewne nie wszędzie trzyma się tak dobrze, jak tutaj.

— Mimo to mamy nielada gratkę.

— Rozumie się!

Wyjechali na powierzchnię razem.

Targowski, znalazłszy się sam, wcale nie miał uradowanej miny.

— Cóż pan tak jakoś nie w sosie dzisiaj? — zagadnął go markszajder.

— Opowiem panu, jak się kiedy znajdziemy we dwóch.

— To bardzo łatwo zrobić. Niech pan dziś wpadnie do mnie przed obiadem.

— Bardzo chętnie.

— Czekać więc!

— Przyjdę, tylko się przebiorę.

Rzuchowski słuchał opowiadania podniecony. Chodził po pokoju i strzelał palcami.

— Ale gdzie to jest, która to robota?

— Ma pan u siebie jakie plany?

— Mam i zaraz rozwinę.

Nachylili się nad stołem.

— Tutaj! — wskazał Targowski.

Rzuchowski skoczył po inny plan. Przyłożył jeden na drugi, zaczął się przyglądać, porównywać.

— Co pan robi?

— Bo to jest świetnie, doskonale! — markszajder zatarł ręce i roześmiał się.

— To samo powiedział mi Faleński...

— Głupio powiedział! Jest świetnie, ale dla nas!

— A to dlaczego?

— Zaraz to panu wytłumaczę....

Wskazujący palec zaczyna nerwowo biegać po planie.

— Dlatego proszę pana, że ten chodnik leży tuż na granicy naszej koncesji. Jeśli stary skręca w tym kierunku, co pan pokazał, to po jakich dwunastu metrach znajdziemy się już na terenie kopalni Bolesław. Rozumie pan? To nie nasz galman.

— Aha, aha! — chłonał objaśnienia Targowski.

— Mało tego! Mało, powiadam panu!... Bo, gdy się wlezie w cudzą koncesję, wynikną stąd protesty, sprawdzania, może sądy, słowem piekiełko, że to — ha!

Markszajder krążył po pokoju, gestykulując:

— Niepytany, nic mu nie powiem... A on nie zapyta, bo nie będzie podejrzewał istnienia tej ewentualności. Tembardziej, że tego... że, jak pan powiada, aż mu się binokle zaświeciły, kiedy galman zobaczył.

— Tak.

— Ha, ha, ha, ale mu zapał ostudzą!

Faleński rzeczywiście nie przypuszczał możliwości żadnych powikłań. W kierunku roboty przygotowawczej ułożono piorunem kolejkę i zaczęto eksploatację rudy. Opróżniano gardziel chodnika z zalegającego tam od setek lat galmanu, który porywany na wózki wyjeżdżał na wierzch, a potem już z wagonów kolejowych spadał w ziejące ogniem gardziele pieców hutniczych.

Praca na polu Targowskiego huczała już od siedmiu dni.

Faleński codziennie odwiedzał złotodajną robotę, a oprócz tego kazał sobie składać szczegółowe raporty z wymienieniem ilości wydobytej rudy. Nie mógł sobie odmówić przyjemności kreślenia krzywej wydobywania, która teraz gwałtownie kierowała się w górę.

Przy tej czynności zastał go woźny kopalni Bolesław.

— List do pana zawiadowcy!

Oddarty kawałek niebieskiej koperty spada jako zmięty zwitek do kosza. Faleński prostuje arkusz firmowego papieru i zaczyna czytać. Po chwili policzki jego różowieją. List zawiera ostry protest przeciwko eksploataowaniu rudy z cudzej koncesji.

Faleński tak jest zaskoczony, że narazie nie wie, co robić. Pragnie wołać Rzuchowskiego, potem myśli o Gładyszu. wreszcie przed oczami staje mu układana postać Targowskiego i na zawiadowcę bucha fala oburzenia i złości.

Nim zdążył ochłonać z wrażenia, przed biurem zatrzymał się powóz, z którego wysiadło dwóch wielkoludów: zawiadowca kopalni w Bolesławiu, inżynier Czarnowski, oraz markszajder tejże — Roliński.

— Panie kolego, — zaczął Czarnowski — przysłaliśmy przed chwilą protest piśmienny, a teraz przychodzimy osobiście. Weszliście na naszą koncesję i wydobywacie galman. Gdzie są zwały? Zaraz je musimy obejrzeć i zająć.

— W tej chwileczce! Wszystko dzieje się tak błyskawicznie, że nie bardzo mogę się zorientować... Ten galman zresztą jest już w hutach.

— O, ho, ho! Będziecie musieli zwrócić gotówką, lub równie wysokoprocentowy z zapasów.

— Czy to aby napewno panów koncesja?

— Masz tobie! Napewno!

— Zaraz, zaraz... Panowie pozwolą, że poproszę mego markszajdra.

Kościsty Rzuchowski wszedł, strzelając, jak zwykle swemi roześmianemi oczami.

— Co za goście! -- zawołał, witając się oficjalnie z Czernowskim, a serdecznie z Rolińskim.

Roliński, człowiek już pod sześćdziesiątkę, lubił grać rolę szlagona starej daty i słynął z dosadności powiedzeń. Utarło się powszechne mniemanie, że jest dowcipny i śmiano się z tego, co mówił, ale raczej z dobrej wiary i na kredyt jego popularności, niż z drastycznych powiedzeń. Sam Roliński pysznił się, że jest szlachcicem, z tej szlachty, „co to sprośnie miała w gębie, ale porządnie w głowie“.

Zobaczywszy Rzuchowskiego, ujął się pod boki i, patrząc nań sarkastycznie, rzekł:

— No, wpadliście, kolego, jak w krowie łajno!

— Co, gdzie?

— Nie oglądajcie wyglancowanych butów, bo jeszcze nie zielone. Mówię zresztą o chodniku.

— Nic nie rozumiem!

Faleński uznał za stosowne przerwać ten szczególny dialog.

— Panie Rzuchowski, czy pan wiedział o chodniku, poszukiwawczym Nr. 3 na polu pana Targowskiego?

— Wiedziałem, bom go przecież wytoczył.

— Czy pan był tam w ostatnich dniach?

— Nie... Przecież nie miałem rozporządzenia.

— Bo okazuje się, że wjechaliśmy w koncesję boleślawską.

— Niemożliwe! Chyba, żeby się zmienił kierunek...

Roliński machnął ręką:

— Naturalnie, że się zmienił, bo skręciliście w takim kierunku, jak biegł stary chodnik i wleźliście do nas. Zresztą, co tu dużo gadać? Wyciągajcie swoje plany, kolego! Ja przywiozłem swoje, więc porównamy.

Zaszeleściła kalka rozwijanych planów. Rzuchowski nachylił się nisko, udając, że bardzo pilnie bada.

— Jeśli jest tak, jak powiadacie, to, niestety, nasza wina. Wjechaliśmy.

— No, hajda na dół! Patroszycie z naszej kopalni galman, jak bebechy, to musicie ponosić za to konsekwencje. Portki w garść, lampę w łapę i hajty!

— Tak odrazu?... Dopiero co wyjechałem z dołu...

— Nie macie przecież tyłka z ołowiu i ruszycie się jeszcze, ruszycie!

Na dole okazało się, że Roliński orientuje się tak dobrze w labiryntach „Heraklesa“, jakby we własnej kopalni. Doszedłszy do miejsca, które przedtem zaznaczył na planie paznokciem, zatrzymał się, jak wryty.

— Stop! — huknął — ani kroku dalej! Dziesięć metrów tego chodnika to jeszcze „Herakles“, potem nasze.

— Dwanaście! — zaopchnął Rzuchowski.

— Głupstwa gadacie!

— Dziesięć i koniec. Panowie ujechaliście już trzydzieści! Dawać metr, zmierzymy szerokość i wysokość chodnika. O, ho, ho! Toście nam narabowali tego galmanu, niech was świnię zęćpają!

Faleński przez cały czas nie rzekł ani słowa. Stał z mosiężną lampą w dłoni—sztywny, z pochyloną głową, jakby nieruchomy. Zdarzenie nabierało posmaku skandalu i dokuczało tem boleśniej, że spadło niespodzianie, zmieniając odrazu triumf na klęskę. „Czyżby to tylko przypadek?“ — myślał, i mgła podejrzeń jęła osnuwać osoby Rzuchowskiego i Targowskiego.

Przysłuchiwał się teraz sporom markszajdrów. Rzuchowski tak zajadle klócił się o dwa metry, że podejrzanie, co do niego znikło, koncentrując się tem silniej na osobie sztygara.

„Nic mu nie będę mógł dowieść“ — ukłuło go przeświadczenie, wzbudzając ostre uczucie bezsilnej złości. „Co za piskorz!“ — irytował się, wyobrażając sobie wysokiego, bladego przeciwnika w giętkich ukłonach.

Wtem Roliński przerwał mu zadumę:

— Ale już wyjazd, wyjazd, panowie! Wiemy już wszystko: dziesięć metrów waszych...

— Dwanaście!

— Nie upierajcie się!

— Policzymy dokładnie.

Na powierzchni Czarnowski przystanął.

— Może pan będzie łaskaw wskazać mi, gdzie się znajduje ten galman.

— Mówiłem przecież, że już jest w hutach! — nadął się Faleński.

— Musimy więc odszukać jakiś równowartościowy, aby go potem zająć.

— Przepraszam kolegę, ale po co ten pośpiech? Takie rzeczy się zdarzają.

— Nie przeczę. Ale to mój obowiązek. Zresztą, jeśli pan chce, może pan zapłacić gotówką.

Faleński pomyślał, że jeżeli wyrazi na to zgodę, odpowiednią sumę będzie musiał wyasygnować zarząd główny i sprawa oprze się o Stalkowskiego. Pragnął osobiście przedstawić dyrektorowi całą sprawę, na co musiał mieć czas. Zwrócił się więc do Czarnowskiego:

— Panie inżynierze! Nie przeczę, że zaszedł paskudny wypadek, ale przecież jesteśmy reprezentantami towarzystw górniczych o milionowych obrotach i chyba wierzymy sobie nawzajem. Czyż to doprawdy sprawa tak bardzo pilna? Obiecuję ją załatwić jaknajrychlej, ale przecież musi to potrwać conajmniej dwa tygodnie.

— Trzymam pana za słowo!

— Przyrzekam solennie!

Uścisk dłoni. Goście siadają do powozu i odjeżdżają.

Faleński wchodzi do swego gabinetu. Ogarnia go niepohamowania żądza niszczenia. Czuje, że trzask rozbijanego o podłogę kałamarza, chrzęst dartego w kawałki papieru, lub świst szpicruty sprawiłby mu niewypowiedzianą ulgę. Spaceruje po pokoju, gwiżdżąc scicha, a od czasu do czasu sycząc przez zaciśnięte usta: „Psiakrew, psiakrew!”

— Józefie!

Woźny wpada na ostry krzyk i z jednego rzutu oka poznaje, co się dzieje z Faleńskim.

— Poproście pana Targowskiego!

— Pan sztygar już poszedł do domu.

— To go wezwijcie! Natychmiast!!

Józef stanął w progu mieszkania Targowskich zasapany. Przestрах dźwignął mu brwi do góry, zmęczenię sprawiło, że nie odrazu dobył głosu.

— A co tam?

— Pan zawiadowca... żeby pan sztygar zaraz do biura, zaraz!

Lęk Józefa przepłynął na Targowskiego i załomotał przez chwilę jego sercem. Sztygar siłą woli zapanował nad nim i do gabinetu zawiadowcy wszedł ze zwykłym uśmiechem. Faleński — sztywny, z pionową zmarszczką na czole — nie zareagował na uśmiech.

— Czy pan wie o dzisiejszem zdarzeniu? — spytał.

— Właśnie dowiedziałem się przed dwoma godzinami. Jestem wprost zdumiony... Rzeczywiście fatalny wypadek.

— Panie Targowski! Od pewnego czasu wszystkie „fatalne wypadki“ dziwnym trafem zachodzą na pańskim polu.

— Czyżby pana zawią — — —

— Proszę nie przerywać! — gwałtowny zwrot głowy i zimny błysk binokli. — Nie chcę w tej chwili rozstrzygać, czy to rozmyślnie zła wola, czy przypadek. Uprzedzam jednak pana, że pierwsze niedopatrzenie z pańskiej strony, pierwsze niedociągnięcie spowoduje natychmiast dymisję!

— Przepraszam pana, ale ja tu szesnaście lat pracuję i nikt do mnie nie miał żadnych pretensyj...

— A w siedemnastym roku mam ja! I to poważne pretensje.

— Nieboszczyk pan Roncewicz...

Słowa te podziały na Faleńskiego, jak dotknięcie rozpalonem żelazem. Zachnął się i czerwony po uszy z oburzenia, wybuchnął:

— Dość mi już tego pana Roncewicza! Gdzie się tylko ruszę, wszędzie słyszę: „Pan Roncewicz, pan Roncewicz i pan Roncewicz...” Pan Roncewicz już umarł i teraz jestem ja: Faleński!... Proszę to przyjąć do wiadomości!

Targowski milczał...

XVIII.

SAMOTNA ŚCIEŻKA.

Jeszcze nie przebrzmiała sprawa wdarcia się na cudzą koncesję, jeszcze stukąły o tem maszyny do pisania i poczta przerzucała listy między Tłukienką a Dąbrową, gdy pole Kwietnia nawiedziła kurzawka. Było to tem dziwniejsze, że skaliska „Heraklesa“ nie ropiały prawie nigdy podziemnym piachem. Wypadek na szczęście nie pociągnął za sobą ofiar w ludziach, zmusił jednak do zaprzestania na pewien czas eksploatacji złóż, najbogatszych w ołów.

Faleński, dowiedziawszy się o zdarzeniu, nie rzekł ani słowa. W oczach skręciła mu nagle czarna linja wydobycia rudy, spadając ku dołowi. Tak był tem pochłonięty, że nawet nie słuchał dokładnie raportu. Pękaty Kwiecień, skończywszy mówić, czekał na zapytania, ale pogrążony w myślach zawiadowca o nic go nie interpełował.

— Czy mogę już odejść?

Faleński drgnął.

— Ależ, proszę bardzo.

W ostatniem zdarzeniu przypadek odegrał tak znaczną rolę, że podejrzenie o złą wolę zaledwie na chwilę przewinęło się przez świadomość zawiadowcy. Zamiast

tego myśli nasiąkały przeświadczeniem, że usłużny los podaje rękę jego przeciwnikom. W wyobraźni zarysował mu się wyraźnie pokój nadsztygara z siedzącym w nim Walickim, jego najgroźniejszym ongi współzawodnikiem, teraz już zupełnie obezwładnionym.

Walicki zestarzał się w ostatnich miesiącach. Twarz mu zżółkła i zwiotczała. Zmarszczki straciły ostrość, a z całego oblicza znikł wyraz stanowczości. Pochylił się w ramionach od ustawicznego ślęczenia nad papierami i wywierał na interesantach wrażenie zgrzybiałego.

Czuł się fatalnie... Pokój nasiąkł już dokładnie jego myślami i wystarczyło, żeby się w nim znalazł, a mężczyły go od nowa dawne przeżycia, nie pozwalając pogodzić się z losem. Gabinet napawał go obrzydzeniem, jak więzienie...

— Bo też jest więzieniem! — myślał często. — Więzieniem mojej energii.

Był przekonany, że gdyby mu przywrócono dawne stanowisko, od razu nabrałby sił, humoru i tężyzny. Nad futryną drzwi gabinetu odpadł tynk i w murze szarzała dość znaczna dziura. Gdy nadsztygar odrywał się od śmiertelnie nudzącej go pracy, patrzył zwykle w to wgłębienie. Szcasiem zadzierzgnęły się jakieś dziwaczne węzły wyobrażeniowe między świadomością i samopoczuciem nadsztygara a odpryskiem na murze. Zastanawiając się nad swem położeniem, zawsze miał w oczach tę małą, szarą jamę nad futryną bez względu na to, gdzie się znajdował. Tak się już z tem zżył, że kiedy wiosną zjawił się w gabinecie murarz, aby zatynkować szczerbę, nadsztygar zawołał:

— Nie ruszajcie, nie trzeba!

— Dlaczego, panie nadsztygarze?

— Już ja tam wiem — skłamał, bo właściwie nie wiedział, dlaczego się upiera. Czuł tylko, że bez tego wgłębienia w murze zbrakłoby jakiegoś ważnego szcze-

gółu, uzupełniającego całość jego teraźniejszej wegetacji.

Wieści z kopalni dochodziły go bardzo skąpo. Raportów mu nie składano, a poczucie własnej godności nie pozwalało dowiadywać się przez plotki o to, co powinni mu byli komunikować urzędowo. Nie pytał tedy o nic.

Echa wszakże dwóch wypadków, które nastąpiły niemal bezpośrednio jeden po drugim, dotarły do jego gabinetu... Oczy starego zaszklily się wówczas złośliwą przyjemnością i zadowoleniem. Wyprostował się.

— Durnie! Durnie! — pomyślał z satysfakcją. — Tego jeszcze brakuje, żeby tu ogień zapuścili.

Przypomniał sobie ostatnie pożary sprzed piętnastu laty. Ugasili je wspólnie z Roncewiczem, poznając wówczas jedną z najgłębszych tajemnic „Heraklesa“.

— Z a r o z u m i a l e c !

Rozciągnął w myśli to słowo, jak gumę, obdarzając nim oczywiście Faleńskiego.

A Faleński w tym momencie przemierzał właśnie dużymi krokami swój gabinet. Spacerował od zakratowanego okna ku drzwiom i spowrotem. Czasami zatrzymywał się przy długim sosnowym stole, na którym widniał szklany plastyczny plan kopalni. Przypatrując mu się z góry i zboku, czuł, że nietylko nie ujarzmił do tej pory kopalni, ale że ponosił porażki.

Faleński posiadał duże zdolności techniczne. Zupełnie świadomy tego mierzył bardzo wysoko i karierę swoją wyobrażał sobie, jako ciągle posuwanie się naprzód. Kiedy mu zaproponowano posadę na „Heraklesie“ od razu przyjął. Tracił wprawdzie pod względem materialnym, zyskiwał natomiast samodzielność... „Herakles“ według jego zamierzeń powinien stać się pierwszym szczeblem do szybkiego już w przyszłości wspinania się w górę.

Rzutki w interesach, śmiały i energiczny — przypuszczał, że szcześnie znajdzie się na czele wielkich zakła-

dów przemysłowych. Myśli o olbrzymich finansowych operacjach, o ryzyku na wielką skalę, lub o nagłych zwrotach życiowych podniecały go i napawały rozkoszą, gdyż miał w sobie coś z gracza. Najchętniej prowadziłby własne wielkie przedsiębiorstwo, lecz narazie brak mu było środków materialnych na rozpoczęcie tego rodzaju kariery. Tęsknoty swe zaspakajał czytaniem poważnych dzieł ekonomicznych, lub biografij milionerów amerykańskich. Wogóle imponował mu życiowy rozmach i zżymał się, że losy kazały mu się borykać z życiem w mało uprzemysłowionej i biednej Polsce.

— Toż to kurnik nie kraj! — konstatował nieraz. — Namiętności niemal żadnych; możliwość wybicia się ograniczona do minimum.

Raziła go również familjarność stosunków w Polsce. Zamknięty w sobie, nieskory do wywnętrzeń, nie odczuwał potrzeby życia się z kimkolwiek. Podwładnych trzymał zdaleka od siebie, a to tembardziej, że pozbawiony rozlewności słowiańskiej, patrzył na nich, jak na pionki, któremi się posługiwał do osiągnięcia swych zgóry nakreślonych celów.

Jeżeli od samego zjawienia się na „Heraklesie“ wkładał tyle pasji w walki ze stosunkami tu panującymi, czynił to również dlatego, aby zadać śmiertelny cios familjarności, hodowanej, według niego, pieczołowicie przez Roncewicza w ciągu trzydziestu dwóch lat.

Walkę narazie przegrał... To trzeba sobie powiedzieć jasno i wyraźnie w tych czterech zamkniętych ścianach gabinetu.

Ba! Jeszcze gorzej, bo poddał się wypadkom, a energia przez chwilę zdała się odpływać. Jeszcze teraz nie czuje jej pełni.

Zadzwoił na Józefa i kazał wezwać Gładysza.

Dozorca wszedł przygnębiony.

— Jak to tam było, panie Gładysz, z tą kurzawką?

— Ano, lunęła i tyle.

— Nikt się tego nie spodziewał?

— Zupełnie! I aż mnie to dziwi, bo dotąd kurżawki się u nas nie zdarzały.

— Więc to nie skutkiem niedopatrzenia?

— Ma się rozumieć, że nie.

— W każdym razie trzeba mocno wszystkiego doglądać

— Ja już, panie zawiadowco, mało ducha z siebie nie wytchnę, tak latam... Ale czy to wszystkiego dopatrzę? Trudno. Przecież mnie sztygar nie będzie składał raportów. Dozorcy też prędzej sztygarom powiedzą, niż mnie.

— To nic, powoli dojdziemy do ładu. Szczęść Boże panu!

— Szczęść Boże!

Faleński rozpoczął na nowo wędrówkę po gabinecie.

— Trzeba przemyśleć wszystko zimno i spokojnie — postanowił.

Rozumował logicznie i ściśle. Trzy były drogi, którymi mógł wyjść z dzisiejszej przykrew sytuacji. Pierwsza — to pozornie ustąpić i oprzeć się przez pewien czas na Walickim, oraz na ustalonej hierarchji. Druga — nie przedsiębrać na kopalni żadnych większych zmian technicznych, póki gruntownie nie pozna „Heraklesa“. Trzecia — ruszyć na przebój i odsunąć jeszcze bardziej sztygarów od wpływu na bieg wypadków, a oprzeć się całkowicie na dozorcach.

Rozpatrywał powoli wszystkie *p r o i c o n t r a* każdej z dróg. Pierwsza wydawała mu się najłatwiejsza i teraz, akurat w chwili załamania się energii, najbardziej może mu odpowiadała. Gdy jednak pomyślał o triumfie podwładnych, zmarszczył się:

— Co? Znowu familjarność? Nigdy!

Wybór między dwiema innemi drogami nie przyszedł tak łatwo i Faleński zagmatwał się w możliwościach. Spacerował przeszło godzinę, lecz nie mógł powziąć decyzji.

— W każdym razie będę przebywał na dole nie dwie, a cztery i pięć godzin.

Poczuł nietylko zmęczenie psychiczne, ale i lekkie osłabienie sił fizycznych.

Przysiadł w fotelu i, zdjawszy binokle, przycisnął palcami oczy. Potem spojrział przez okno. Wśród zieleńjących pól wiała się kamienista, mała ścieżka. Prowadziła z Tłukienki na Wodącą.

— Pójdę do niej...

W wyobraźni zarysowała mu się leniwa postać Przeclawskiej z rozmarzonymi oczami i ciężkimi puklami kasztanowatych włosów.

XIX.

WIECZOREM I NAZAJUTRZ RANO.

Mały pokój Ireny Przeclawskiej od pewnego czasu zmienił się do niepoznania. Poznikały gdzieś sterty zeszytów, a pióra, kałamarze, książki, zakładki stłoczyły się na małym stoliczku pod oknem, gdzie z braku miejsca szeregują się w przepisany ordynku.

Okragły, duży stół jest wolny. Chyli się już wprawdzie ku emeryturze, wciąż chromy na jedną nogę, ale śmieje się gościnnie lśniącem, tu i owdzie porysowanym białem, jak schludny, starannie wygolony staruszek.

Wybielone świeżo ściany szczycą się artystycznymi robótkami: jedna z nich nadstawia pod oczy widza wzorzysty kilimek, druga dźwiga dostojnie mały obrazoryginał. Przez malutkie okienka wlewa się teraz światło długich majowych dni i w izdebce jest jasno. Popołudniu i wieczorem nie zamyka się okien, więc wiosenne zapachy niosą się ze wsi i z ogródka: pachnie bez i odurzają białe narcyze.

W wewnętrznym świetle Ireny też jest jasno. Objawia się to w uśmiechu, co rozchyła jej pełne, wilgotne

usta i pali się iskierkami radości w oczach, teraz może jeszcze bardziej rozmarzonych, niż dawniej.

Irena żyje jakby w półśnie... Kocha! Kocha pierwszy raz w życiu. Przynajmniej, gdyby ją zapytano, czy przeżywała już kiedyś miłość, odpowiedziałaby bez namysłu i zupełnie szczerze:

— Nie.

Wszystko, co dotąd przeżyła, wydaje się jej odległe, śmieszne, jakby niebyłe.

Nad miłością do męża nie zastanawia się: była wtedy młodzianka i reagowała na świat tak odmiennie, że doprawdy nie może nawet porównać dzisiejszego stanu uczuciowego z tamtym. Małżeństwo trwało zresztą krótko i zatarło się we wspomnieniach prawie całkowicie.. Natomiast na przygodę z Targowskim patrzy, jak na nieporozumienie. W pamięci rozrasta się ono w coś boleśnie dokuczliwego i Irena stroni od najdrobniejszych rozważań na ten temat.

Tak! Wszystko jest odległe, niebyłe, śmieszne...

Odległe są nawet te solenne, pobalowe obietnice, że będzie Faleńskiego zwodzić, „igrać z ogniem“. Można było igrać z ogniem, ale nie z pożarem, który buchnął naraz i pochłonął ją całą.

Walkę przegrała już dawno. Nic zresztą dziwnego: w każdej walce wygrywa silniejszy, a w tej miłosnej — krótkiej i gwałtownej — Faleński posiadał przewagę. Działał bowiem spokojnie i na zimno, podczas, gdy w niej uczucie zrodziło się odrazu. Dziś wie, że zakończyła się jeszcze na balu.

Nie żałuje niczego! — O przyzłości nie myśli, bo cienie wyrachowania już dawno gdzieś się pokryły i pozniakały. Jak młodej dziewczynie wystarcza jej on sam. Lubi uśmiechać się do słowa „kocham“, jak pensjonarka, lubi również powtarzać w myślach słowo „Zen“. Litera tego imienia kreślą się jej w wyobraźni, widzi je czasem na meblach, czasem zaś wielkie i wywinięte, jak obłoki, zalegają fantastycznymi przegubami widnokrąg.

Bywa i tak, że podpływają pod ołówek i wtedy pisze je bezwiednie na kawałku jakiejś kartki.

Ubyło jej lat: jest dziewczyną — głupią, zakochaną dziewczyną!

Dzisiejsza Irena — to już jest nie dawna Irena Przelawska: człowiek, wola i rozum. To mały kłębuszek nerwów raz naprężonych tęsknotą, raz rozwiłych od szczęścia jak pełny kwiat, to znów skulonych boleśnie i dygocących dreszczem bólu, gdy coś ją zrani. Nerwy te są teraz wrażliwe, jak czułki i kurczą się, drżą, chybocą za lada powodem.

W tej chwili Irena oczekuje przyjścia Faleńskiego. Wysłała po niego swe myśli: krążą tam, chodzą, przesu- wają się za nim—dobre, ciepłe i zakochane, jak rozmazane oczy, jak uśmiech, który rozchyła jej pełne usta.

Wyobraża sobie jego przyjście, odtwarza z najdrob- niejszemi szczegółami powitanie, uśmiech, brzmienie głó- su. Będzie tak, jak zawsze, a zarazem zupełnie inaczej. Na tej właśnie zmienności czegoś znanego napamięć po- lega czar powitań, intymnych sam na sam i... pożegnań.

Nad ostatniem słowem Irena wzdycha.

Kiedyż nareszcie będzie? Jest tak późno! Słońce już zbliża się nad poszarpaną linję widnokręgu... Chwila je- szcze i zacznie zachodzić.

Czas dłuży się niepomiernie.

Mały kłębuszek nerwów, tuli się, zwięża, dygoce... Coś dolega sercu, które kołacze niespokojnie. A czas się dłu- ży, a sekundy rozciągają i rozciągają w nieskończoność...

Jasność, jaką odczuwała w sobie i dokoła siebie, zaćmiewa się. Mała czarna plamka, która tkwi zawsze na słońcu jej teraźniejszego nastroju, rozrasta się, roz- wiją w krąg coraz szerszy, coraz bardziej czarny i za- słania słońce, że gaśnie, jak podczas zaćmienia. Jest już czarno, tylko aureola jeszcze świeci mdło i jakby trupio.

— Mój Boże!...

Ta mała plamka, tak nagle chłonna teraz jasność radości — to poczucie, że nie jest Faleńskiemu niezbed-

na. W chwilach przygnębienia, jak dzisiejsza, uświadamia sobie ten stan dokładnie.

Faleński nigdy nie rozmawiał z nią poważnie, co gorzej, nie miał dla niej akcentów czułych, a jedynie namiętne. Gdy uderzała w ton uczuciowy, recytując swym matowym głosem poezje miłosne — on albo się nudził, albo lekko ironizował. Widząc to, zaprzestała deklamacyj, mając nadzieję, że przecież kiedyś upomni się o sentyment. Do tej pory wszakże nie było tego. Przychodził zawsze pełen wigoru, poczucia zwycięstwa i siły, która ją obezwładniała — sypał żartami i konceptami — mocny i triumfujący. Irena zaś tęskniła do rozmowy serjo, do zwierzeń, do długich, szczerych wywętrzeń, myśląc, że te dopiero zbliżyłyby ich naprawdę i nierozzerwalnie.

Spojrzała znów na zegarek.

— O, jakże późno...

Wtem posłyszała dobrze sobie znany rytm kroków. W jednej chwili wszystko złe staje się przeszłością. Bije na nią ciepła fala krwi tak mocno, że czuje wypelzające na policzki rumieńce i wszystkie nerwy trzepoczą radością.

— Jest, jest!

Wstaje... Już jej się pręży ramiona. Zarzuci mu je na szyję, przylgnie do niego, szepnie: „Przyszedłeś!” i znów będzie dobrze.

Faleński wchodzi przygnębiony. RzUCA czapkę na blat stołu jakimś gestem zniechęcenia. To odrazu mrozi jej zapał i budzi zaniepokojenie.

— Co ci to, Zen?

Muskułarna dłoń przeciera czoło.

— Wyobraź sobie, że nawet mnie wyprowadzają tu z równowagi.

— Kto?

— A ci wszyscy, ten cały kram urzędniczy „Hera-klesa“. Muszę ci powiedzieć dokładnie. Siadźmy.

— Już, już! Siądź, odpocznij, a potem opowiadaj. Zobaczysz, że się uspokoisz...

Faleński siada.

— Ale herbaty się napijesz, Zen, co?

— Jeżeli masz.

— Naturalnie, że mam!... I te ciasteczka, co lubisz, te kruche z konfiturami.

— Aha...

— A widzisz, a widzisz, już się uśmiechasz...

Irena krząta się szybko. Dwie szklanki mocnej herbaty parują, w kloszu wysokiej patery kruche ciastka czerwienią się wiśniami.

Faleński długo miesza herbatę łyżeczką, potem zupełnie machinalnie sięga raz po raz ręką do patery i je powoli.

— Słucham cię, Zen!

— To jest dość długa historja.... Ten cały „Hera-kles“ za Roncewicza...

Zdania, które wypowiada, oświetlają go Irenie naraz z zupełnie innej strony. Słucha go łapczywie i niespokojnie. „Ah, jaki on jest silny, jaki wspaniały!“ Zrywa się w niej oburzenie na przeciwników. Nienawidzi ich wszystkich.

— A teraz nie wiem, co robić i jak postąpić? — kończy Faleński swe opowiadanie.

Irena pała podnieceniem.

— Przeprowadzić swoje! — rzuca gwałtownie..

Nozdrza jej drżą i cała dyszy płomienną chęcią poniżenia przeciwników. W marzących oczach tli się namiętność.

— Tak, przeprowadzić! — wstaje gwałtownie z miejsca.

Faleński patrzy na nią naraz innemi oczami. Na twarzy zjawia się tak dobrze jej znany zwycięski uśmiech. Rodzi się w nim kochanek.

— Lwico! — żartuje.

Błyskają binokle.

— Lwico!

Muskularne ramiona wyciągają się po nią, jak po coś własnego, należnego mu — i przysuwają ku sobie.

— — — — —
Żegnał ją późnym wieczorem.

— Wezwij ich wszystkich, zwymyślaj i rób tak, jak ty chcesz, jak postanowiłeś!

Faleński uśmiechnął się i skłonił ze sztywną elegancją.

Odszedł. Słuchała długo, jak na żwirze ścieżki skrzy-
piały jego elastyczne kroki.

— Do jutra! — pomyślała. — Aż do jutra...

Cały ten czas zamieni się dla niej w nieprzerwane oczekiwanie. Będzie się krzątać, pracować, uczyć, poprawiać zeszyty, lecz istotnem życiem będzie to króciutkie zdanie: „Przyjdzie!“, które co moment wybije się ponad nurty wiecznie ruchliwej świadomości i za-
lśni nieodbitą, drogą prawdą.

— Tylko, czy przyjdzie?

Nie zawsze codzień się zjawiał. Mijały nieraz trzy i cztery dni, które spędzała w podnieconej tęsknocie, napróżno go oczekując.

Uśmiechnęła się.

— Ale teraz przyjdzie!

Czuła, że dzisiejsze zwierzenia zadzierzgnęły między nimi coś trwalszego ponad zapamiętanych i była mu wdzięczna za to.

Podniecona wyobraźnia pracowała szybko. Irena przedstawiała sobie swoją przyszłą rolę. On będzie walczył, a ona w tej walce podeprze go. Przeżyją jeszcze niejedną chwilę istotnego zbliżenia i tych cichych zwierzeń, o których marzyła... Starcie z tamtymi zrodzi ich przymierze.

— Z tamtymi!

Nanowo wstaje w niej nienawiść, jak zimny opar, a wspomnienie Targowskiego budzi wstręt.

Potem myśl skręca w innym kierunku... Coś jej wspomniał o „Heraklesie“, jego zagmatwanem podziemiu, o trudnościach, i naraz „Herakles“ ze swemi czeluściami wydał jej się czemś groźnem, a Faleński urósł do miary bohatera, zmagającego się z wrogą siłą. Przejęta swą myślą zapragnęła obejrzeć tego dziwnego, niemego wroga. Zrzuciła na siebie palto i wyszła z domu. Żwirowatą ścieżką, a potem kamienistą drogą wspięła się na wysoki pagór. Noc była widna, księżycowa. W jasnej poświacie majaczyły dalekie zwidy kopalni. Czerniało rusztowanie wieży wyciągowej, a hala maszyn warowała ciemną dłużyzną jak czujny pies. Oświetlona wewnątrz kotłownia ślepią dwoma widnemi oknami. Hałdy i zwały gurbiły się wokół bezkształtnie...

Powierzchnia „Heraklesa“! Zewnętrzność...

— A wewnątrz?

Wzrok Ireny prześlizgnął się dalej. Odległa, ciemna otchłań odkrywki ziała pustką. Skalistych zboczy czeptało się srebro promieni księżycowych.

Wewnątrz — tajemnica...

— On z tem walczy, a ja jestem z nim, ja go wspieram!

Rozlało się w niej poczucie swojej ważności. Wracła pewnym krokiem, z podniesioną głową...

Faleński szedł do domu ścieżką, wijącą się wśród górzystych pól. Cień rzucany przez księżyc, skurczony i mały, przedrzeźniał jego ruchy krok za krokiem. Raz rysował się ostro na twardym gruncie, raz skakał i łamał się na orosiałem, podrastającym zbożu. W dolinach stały gdzieś sino - srebrzyste mgły, rozlewając się mleczną bielą wśród widnej, księżycowej nocy. Faleński uderzał czasem laską żdźbła żyta lub trawy, otrząsając krople rosy, a rośliny prostowały się wówczas jakby z ulgą. Czynił to wszystko machinalnie, zupełnie zatopiony w myślach. Na wspomnienie bojowości Ireny, uśmiechnął się.

— Kobieta... bawi ją to! — i ze zwykłą sobie przekorą postanawiał właśnie nie pójść na przebój, a raczej załagodzić sytuację.

W domu już zdecydował się ostatecznie. Nie przywróci wprawdzie starej hierarchji, ale przestanie przeciwników drażnić.

Nazajutrz starał się być uprzejmiejszy, a nawet zagadał łaskawie coś do nadsztygara, na co zresztą stary skrzywił się jak po occie. Na dole spotkał Rzuchowskiego i żartował z nim, przypominając mu upór, z jakim kłócił się swego czasu o dwa metry chodnika na bolesławskiej koncesji.

— No i jakże tam, panie markszajdrze, kto miał rację?

— Naturalnie, że ja i dowiodę tego niezbiecie! Tu chodzi o mój honor markszajdra.

— A tak, tak..

Przedpołudniowa poczta przyniosła mu obfitą korespondencję. Wśród zwykłych kopert wyróżniała się swą dłużyzną jakaś żółta, mocno wypchana. Wyrzucił jej zawartość na biurko. Ledwie musnął papier oczami, poznał, że jest to stary projekt poszerzenia pochylni, jaki swego czasu Walicki wysłał do głównego biura. Ręce zaczęły szybciej grzebać w papierach, szukając jakiegoś wyjaśnienia. Natrafiły! Był to krótki list Stalkowskiego:

„Do

W. P. Z. Faleńskiego

Zawiadowcy kop. „Herakles“ w Tłukience.

Po dokładnem zapoznaniu się z projektem poszerzenia pochylni nr. 4, przysyłam go WPanu Zawiadowcy do przejrzenia i ewentualnego wykonania. Korzyści projektu pozna WPan z załączonych papierów, a o szczegóły proszę się zwrócić w razie potrzeby bezpośrednio do twórcy projektu p. nadsztygara Walickiego.

Dyrektor (—) Stalkowski.

— Ah, tak! — myśli i pionowa zmarszczka tnie mu czoło. — „Nieboszчыk pan Roncewicz“... — uśmiecha się ironicznie i wstaje z fotela.

Zaczyna spacer po gabinecie. Za nic w świecie nie urzeczywistni teraz projektu Walickiego! Nie pozwala podrażniona ambicja! W rozporządzeniu Dyrekcji, wydanem tuż po klęskach na kopalni, doszukuje się ukrytej myśli. Stalkowski napewno chciał mu zwrócić uwagę, żeby się liczył z Walickim i starymi porządkami.

Otóż nie! Musi opracować inny plan, musi przeprowadzić głębszą reorganizację całej kopalni, a starych tem silniej wziąć w karby.

Postanowione!

XX.

RODZEŃSTWO.

Od czasu pamiętnego balu w Bolesławiu Wiktorja znacznie się zmieniła. Znikło opanowanie i spokój, a coraz częściej nawiedzały ją przykre godziny rozmyślań i refleksyj.

Kwiecień drażnił ją swoją pocziwością i tem nieustannem, równem uczuciem. Woląaby z jego strony doznać jakichś wybuchów, bodaj zdrady i niewierności, ale siły i burz, któreby jej imponowały.

Obrzydła jej również jednostajność życia. Spadała na nią, nie wiedzieć skąd, żrąca tęsknota do przygód, gwałtownych zmian, do wyżycia się. Ze zdumieniem spostrzegała, że to, co uważała dotąd za życie, było tylko ślimaczą vegetacją i traciła ochotę do pracy.

Codzienny spacer, jaki odbywała do szkoły i ze szkoły, idąc przez Tłukienkę do Starczynowa, kombinowanie wzorów na kilimy, roboty artystyczne, nauczanie, budzenie zmysłu estetycznego u swych pupilek — nie dawało jej zadowolenia. Obowiązkowe zajęcia, którym ongi poświęcała się bez reszty, robiły na nią wrażenie

czegoś nieistotnego. Zdawało jej się, że cała ta krzątanina — to jakieś senne i w dodatku niemiłe majaki, poza którymi kryje się prawdziwa rzeczywistość, coś, czemu warto się poświęcić, choćby się miało przeżywać tragedję, zawody i bóle.

Czasami, idąc szosą, spotykała Faleńskiego. Dawna uraza nie minęła. Z właściwym powikłaniem uczuciowym alogizmem Wiktorja za dzisiejszy swój stan psychiczny czyniła odpowiedzialnym inżyniera. On posiadał niepokój i wzbudził te marzenia, które się nie ziszczą i przez to tak męczą i wysysają siły. Wszak datują się od chwili poznania go.

Faleński, dostrzegłszy ją, kłaniał się zawsze elegancko, ale sztywno, bez uśmiechu i przechodził dalej. Ta obojętność irytowała ją i drażniła, podobnie, jak ongi na balu. Może właśnie dlatego myśl jej często krążyła koło Faleńskiego, a jego osoba wypełniała wyobraźnię. Nieraz ją to rozdrażniało:

— Czemuż ciągle o nim myślę?... Też mi osoba!

Kwiecień nie umiał sobie wytłumaczyć dziwnego zachowania się narzeczonej. Pozornie przecież nic się nie zmieniło, więc nie rozumiał częstych chwil rozdrażnień i zasepień. Ilekroć poruszał ten temat, ona zawsze skrecała rozmowę, jakby naumyślnie unikając wypowiedzeń. Powoli sytuacja zaczęła go niepokoić. Obawiał się, że Wiktorja oddala się od niego i postanowił przyspieszyć termin ślubu.

Podczas jednej z codziennych niemal wizyt popołudniowych zastał tylko samą Wiktorję. Walicki poszedł po coś do Bolesławia, a pani Walicka była w kościele na majowym nabożeństwie. Zauważył, że Wiktorja jest dziś specjalnie podniecona. Siedzieli przy stole, a rozmowa, jak zawsze ostatnimi czasy, mocno utykała.

— Ja widzę, Wiktuś, że tobie coś dolega.

— Mnie? Zdaje ci się!

— Nie! Spostrzegam to oddawna i chciałbym o tem z tobą porozmawiać szczerze i serdecznie.

— POCO?

— JAKTO POCO? Chyba poto zaręczyliśmy się, żeby sobie wzajemnie pomagać.

— Nie wiem!

— Nie wiesz?

Na okrągłej twarzy Kwietnia rozlewa się przykre zdumienie.

— Jak ty się zmieniłaś...

— Jeszcze raz ci powtarzam: zdaje ci się.

— Nie, nie zdaje. Powiedz-że mi, co ci jest?

— Ależ nie męcz mnie. Jestem rozdrażniona, a ty mnie dręczysz temi pytaniami, jak inkwizytor.

— Ależ, Wiktuś, ja ci chcę właśnie pomóc, chcę się dowiedzieć, co cię drażni?

— Alboż ja wiem? Wszystko, cały świat...

— I ja?

— Nie wiem, może i ty... Nic nie wiem... Ach, mój Boże!...

Kwiecień umilkł i siedział nachmurzony. Długie palce Wiktorji bębniły nerwowo po stole.

— Bo widzisz, Wiktuś, gdybym ja ci co mógł pomóc, to ty przecież wiesz, że jabym wszystko...

— Wiem...

— A widzisz... Więc dlatego chciałbym, żebyś się uspokoiła, żebyś mi wszystko powiedziała.

Rozmowa zaczęła Wiktorji ciężyc. Niebardzo słuchała, co Kwiecień mówi, a on, sądząc, że ją przekonał, zdążył już teraz szybko do najgłówniejszej sprawy, jaką chciał oddawna poruszyć.

Naraz zająknął się i Wiktorja znów poczęła pilniej uważać.

— Bylibyśmy już stale razem i uspokoiłabyś się...

Mała muskularna ręka zbliża się do jej białej dłoni.

— Więc, Wiktuś, pobierzmy się jeszcze tej wiosny, poco odkładać? Pobierzmy się...

Wiktorji wydaje się to wszystko groteskowe. Po-

tem spogląda w proszące, rozkochane oczy Kwietnia i naraz dostrzega tragedję. Tragedję jego i swoją.

— O, mój Boże! — szepce i, nie panując nad sobą, wybucha płaczem.

Zrywa się z miejsca i ucieka do swego pokoju.

Kwiecień, z podniesionemi w górę brwiami, patrzy na drzwi, za któremi znikła.

— To już aż tak?...

Siedzi na miejscu, słuchając, jak ścienny zegar spokojnie i wolno kołysze mosiężnym wahadłem: Tik-tak, tik-tak, tik-tak...

— Czyżby mnie już nie kochała? — zapytuje sam siebie i czuje, że rozwiera się wokół niego jakaś przeraźliwa pustka. Wyrzuca sobie, że ją podrażnił, chce przeproszać, poddać się całkowicie jej woli. Podchodzi do drzwi i stuka... Wiktorja nie odpowiada.

— Ja cię przeproszam, ja cię bardzo przeproszam, Wiktuś! — mówi i wynosi się na palcach z pokoju.

Słowa te ścinają twarz Wiktorji mocniejszym grymasem na płaczu i łzy płyną obficie... Gryzie zębami chusteczkę, którą zasłoniła usta.

W progu przedpokoju Kwiecień natyka się na Andrzeja.

— Ty tu?

— Jak widzisz!

— Jakim cudem?

— Ano, zdałem dyplom. Powinszuj mi! — mimo tych słów twarz Andrzeja nie wyraża specjalnej radości.

Kwiecień przez moment waha się czy nie powrócić, ale czuje, że nie mógłby się zdobyć na spokojną rozmowę, więc się żegna.

Andrzej wchodzi do mieszkania.

— Karolka! Cóż-to niema nikogo?

— Jestem, jestem! — woła służąca.

— Wnieś mi walizki! Zostawiłem je koło furtki. A gdzie państwo?

— Wyszli.

— Wszyscy?

— Tak! Jest tylko panienka.

— No, dobrze. Śpiesz po walizki!

Odgłosy rozmowy doszły do pokoju Wiktorji

— Jędrek! — ucieszyła się w myśli i łyzy odrazu obeschły.

Błysnęła nadzieja, że ją wesprze swą radą i doświadczeniem. Już wstawiała, żeby wybiec przywitać się, gdy ostudzia ją refleksja, że nikt tu nie może poradzić... Nikt, nawet kochający brat. Z tego błędnego koliska, w jakie wbrew swojej woli popadła, może się wydobyć tylko swoim własnym wysiłkiem i własną decyzją... Ach, woli, więcej silnej woli! Podpłynęła przed oczy okrągła twarz Kwietnia z proszaczem, rozkochanem spojrzeniem... Jego rzucić i iść!... Ale gdzie, dokąd?

Jędrek znowu coś wciął.

— Ach, czemuż człowiek jest skazany na wieczne sam na sam ze swym światem wewnętrznym? — pomyślała.

Rozległo się pukanie do drzwi.

— Wikta, wyłaż!

— Już, już, za chwileczkę!

Ręka z puszką biegła szybko po twarzy i puder spadał grubą warstwą na zaczerwieniony nos i podpuchnięte oczy...

— Jestem! — rzekła, wchodząc z wyciągniętymi rękami.

Jędrek obrzucił ją pytającym spojrzeniem:

— Cóż ci to?

— Nic...

— Czyżby ci co Kwiecień zawinił?... Chyba niemożliwe!

— Daj spokój moim sprawom i opowiedz coś o sobie.

— No, cóż ja? Zdałem dyplom i tyle.

— To jeszcze mało?

— A mało!

— Nie rozumiem...

— At, dużoby gadać! Powiem ci tylko tyle, że straciłem najbliższy cel swego życia, a dalszych nie widzę.

Przeszedł się po pokoju swoim kołyszącym się krokiem i zasiadł przy stole.

„On ją ciągle kocha“ — pomyślała Wiktorja.

Każde pograżyło się we własne przeżycia. Wiktorja już miała wyciągnąć ku bratu rękę i powiedzieć: „I tobie źle, i mnie, porozumiemy się, gdy się wzajemnie zwierzymy“, gdy naraz weszła matka i toczyła się ku Andrzejowi nakształt samowarka.

— Jędrus kochany! Jesteś już? No, i co? Zdałeś?

— Zdałem.

— To chwała Bogu, chwała Bogu!... Ale jeść ci nie dali, a tyś pewno zdrożony, co?

— Droga nie taka daleka. Zmachalem się trochę tylko tem, że od Bukowna sam niosłem walizki.

— Masz tobie! Zaraz biegnę szykować ci kolację. Karolka, Karolka!

— Lecę już, proszę pani, lecę!

— Skocz do lodowni po mięso!

W drzwiach ukazał się rozpromieniony Walicki.

— Wiem, że jesteś! W tej dziurze wiadomości pędzą szybciej, niż przez radio. Oczywiście zdałeś!

— Tak, zdałem...

— To dobrze! Matka napewno kolację wysztyftuje świetną... To jej sprawa... Ależ przecież i stary się na coś tłucze jeszcze po świecie! Kropniemy sobie nalewki, która liczy akurat tyle lat, ile ty. Nastawiłem ją specjalnie dla ciebie na jakąś wielką uroczystość.

Wyszedł z kluczami do piwnicy.

Z kuchni dochodziły przyśpieszone odgłosy tłuczenia mięsa, potem trzeszczenie masła na patelni i do pokoju przeniknął zapach przysmarzanej cebuli.

Walicki potrząsał triumfalnie omszoną butelką:

— Właściwie toś powinien był zdać dyplom dwa lata temu. Nie rządziłiby teraz „Heraklesem“ różni durnie,

tylko Walicki młodszy i Walicki starszy... Dajcie nam co na przekąskę!

Od radości rodziców odbijał spokój młodych, którzy jedli w zupełnem milczeniu. W pewnym momencie Walicki rzucił na oboje przelotnie spojrzenie. Wytarł serwetką usta i zawołał:

— A cóż wy, na Boga, tak się zachowujecie, jak na stypie? Na świecie pięknie. maj pachnie, przed wami całe życie, a wy ni be, ni me. Cóż to jest, sensaty?

Oboje młodzi pomyśleli w tej chwili o swej przyszłości i stało im się jeszcze bardziej przykro. Zespoleni przygnębieniem, zapragnęli naraz porozmawiać szczerze ze sobą: Wiktorja w poszukiwaniu rady i ostoi, Andrzej w poczuciu, że zwierzenie sprawi mu ulgę.

Walicki nie zważając na kwaśne uśmiechy, jakimi przyjęli jego uwagi, huczał dalej:

— Kończcie pieczyste, a napijemy się jeszcze wina! Prawdziwe „sauterne“ i też staruszek niezgorszy: z moich kawalerskich czasów.

— Nie! — odparł Andrzej. — To już może kiedyindziej. Teraz pozwólcie, że pójdziemy się przejść po ogrodzie.

— Sensaty, sensaty!

Obszerny ogród był mocno zadrzewiony. Oprócz kilku drzew owocowych, rosły tam jarząbki, wiąz i dwie lipy, pod rozłożystemi konarami których przechodziło się, jak pod baldachimem, do warzywnej części ogrodu.

Młodzi spacerowali alejkami w czerwonej zorzy dogasającego dnia. Jakoś nie mieli śmiałości zacząć rozmowy, więc długi czas chodzili w milczeniu. Wreszcie Wiktorja przystanąła:

— Wiem, że ci coś dolega. Może domyślam się więcej, niż sądzisz. a jednak twój nastrój w dniu otrzymania dyplomu dziwi mnie.

— Hm... Jeżeli domyślasz się powodów, to chyba nie powinnaś się dziwić.

-- Dlaczego?

-- Bo cóż znaczy dyplom?... Kończy się akademję poto, aby zacząć życie. Prawda?

— Tak!

— A ja właśnie tego życia narazie nie widzę przed sobą. Praca dla pracy? Bójda i frazes dzisiejszych czasów, tak samo pusty, jak ongi hasło: „sztuka dla sztuki“, lub romantyczne osamotnienie i ponurość. Pracuje się poto, aby komuś coś z tego przyszło. „Komuś“, to znaczy osobie kochanej i kochającej. Co mi z tego, że będę wydobywał węgiel, będę robił karierę? Prawdziwe szczęście osiąga się tylko we dwoje.

Wiktoria westchnęła.

— Masz rację...

— Dyplom, hm... Właśnie, że dopiero po zdobyciu go spostrzegłem, że j-st pusto bez — — -- bez tego — — Ty wiesz, o czym mówię?

— Wiem...

Andrzej wpatrzył się w woino niktającą zorzę i umilkł. Ubogie łąki za Krażkiem poczęły zasnuwać się mgłą.

— Ona mnie bardzo kochała...

— Tak.

— A ja tej miłości nie uszanowałem, ja ją zmarnowałem.

Wiktoria przytuliła się do brata.

— Co ci? — spytał.

— To, że i ja miłość marnuję...

— Jak to rozumiesz? Zrywasz z Kwietnem? Nie kochasz go?

— Nie kocham!

— Napewno?

-- Tak mi się wydaje...

Andrzej długo nie odpowiadał i chodzili w milczeniu. Na pociemniały błękit wyskakiwały gwiazdy i wpełzała olbrzymia, czerwona tarcza księżyca.

— O czym myślisz?

— O tem, coś mi wyznała... Przypuszczam, żeś po-

winna mocno rozgadać się sama z sobą, mocno wysondować uczucia. Mnie się też zdawało, że nie kocham, a to był tylko chwilowy odpływ. To samo może być z tobą. Wybadaj się! Tyle lat jesteście zaręczeni, że przed stanowczym krokiem trzeba się dobrze zastanowić... Myślałaś o tem?

— Nie... Czuję tylko, że chcę czegoś innego, że on mi nie wystarcza.

— Wiesz, co ci poradzę? Rzuć te okolice do djaska!

— POCO?

— Poto, abys się znalazła w zupełnie innych warunkach i otoczeniu. Wtedy poznasz siebie. Jeżeli zatęsknisz, będzie to dowodem, żeś powinna do niego wrócić; jeśli nie — zerwiesz!

— To się łatwo mówi, ale wiesz przecie, jak on mnie kocha.

— Ha, trudno! W rzeczach miłości człowiek musi być egoistą. Zresztą, gdy znikniesz mu z oczu, łatwiej przecierpi zawód.

— Gdzie mi radzisz wyjechać?

— Chociażby do mnie.

— A ty gdzie zamierzasz osiąść?

— Bo ja wiem?... W każdym razie daleko stąd.

— Całe nasze górnictwo skupia się przecież na malej przestrzeni.

— Więc przynajmniej głęboko na Śląsku, a nie w Zagłębiu. Mam nawet napiętą posadę tuż nad granicą niemiecką w Knurowie. Waham się jednak.

— Dlaczego?

— Bo najchętniej wyjechałbym na Wschód.

— Ba, nie tak to łatwo.

— Łatwiej, niż ci się zdaje, gdyż trafia mi się okazja dostania się do Turcji.

— Co ty mówisz?!

— Tak, jest oferta na Akademji, dziekan mnie namawia.

— I już nie wróciłbyś?

— Pewno, że nie, a w każdym razie nie prędko. Tu walą się na mnie wspomnienia i odżywa ciągle to, o czym staram się zapomnieć. Każda ścieżka, każdy kamień i drzewo mówi o tem, co mogło być, a co się nie spełniło i nie spełni.

Twarz Andrzeja drgała. Wiktorja dziwiła się, że przeżywa zerwanie tak mocno. Przyzwyczajona do jego lekkomyślnej wesołości, nie posądzała go o taką siłę uczucia.

Stali jedno obok drugiego, lecz nie patrzyli na siebie. Potem znów zaczęli spacerować. Czyściutki piasek, którym wysypane były alejki, szemrał ledwie dosłyszalnie pod nogami.

Wiktorja zatrzymała się.

— Ach, żeby to wiedzieć, co będzie w przyszłości! — rzuciła w cichą, srebrzystą noc.

Zaszeleściły liście olszyny. Spojrzeli w kierunku drzew. Pod konarami i przy pniach ciemniały tajemnicze mroki.

Andrzej chciał coś powiedzieć, gdy wtem rozległ się zgrzyt klucza w zatrzasku. Po drugiej stronie drogi, w domu zawiadowcy otwierano drzwi wejściowe na ganku... To Faleński wracał z pamiętnej wizyty u Przeclawskiej.

— Ojciec nie darzy go jakoś sympatją... — szepnęła Andrzej, wskazując głową ciemną sylwetkę zawiadowcy.

— Nikt go nie darzy! Przyszedł i zamącił wszystkim życie.

— Tobie też?

— Tak, i mnie... A w tej chwili mam jakieś przeczucie, że z jego przyczyny spotka mnie w życiu jeszcze niejedno.

— Hm, hm...

XXI.

STAROŚĆ I MŁODOŚĆ.

Ludzie snują projekty, wybiegają myślami w przyszłość, dążą do swych celów, walczą z losem... Zaledwie pokonają jedne przeszkody, życie stawia im nowe i tak borykają się z trudnościami aż do końca swych dni. Sprawy pozornie nie mające ze sobą nic wspólnego, splatają się i gmatwają, uzależniając jedne od drugich, zazębiają się o siebie i wikłają.

Nazajutrz po rozmowie Wiktorja zdążyła na ósmą rano do szkoły; Andrzej, będąc jeszcze w pidżamie, palił po śniadaniu papierosa; Kwiecień szedł głuchym chodnikiem do miejsca niedawnej kurzawki; a Faleński, zamknięty w swym gabinecie, pilnie studjował plany kopalni. Pozornie nie miało to ze sobą żadnego związku, a jednak...

Zawiadowca najbardziej interesował się starą częścią „Heraklesa“, lecz na różnych planach wyglądała ona zupełnie inaczej. Przed dziewiątą rano udał się do łaźni, żeby się przewdzać w kopalniane dołowe ubranie. Z dołu wyjechał dopiero o pierwszej. Na obiedzie zabawił króciutko i znów zamknął się w swym gabinecie.

— Józefie, — rozkazał — jak tylko pan Gładysz wyjedzie na wierzch, niech do mnie przyjdzie.

— Rozumiem, panie zawiadowco!

Plany były rozpięte na biurku i na sosnowych stojakach. Faleński chodził od jednego do drugiego, porównywał, czasem zatrzymując się dłużej przy szklanym, plastycznym. Pracował w podnieceniu, bo mu się zarysował projekt radykalnej przebudowy kopalni.

Gładysz wszedł zasmolony czadem lampki, z zażółconem rudą ubranii i wniósł ze sobą skalny zapach wilgoci.

— Pan zawiadowca mnie wzywał?

— Tak! Panie Gładysz, jakto właściwie jest z temi staremi robotami? Czy je można choć w przybliżeniu odtworzyć?

— Nie!

— A jednak na planach są znaczono. Wprawdzie ze znakami zapytania, ale są.

— To tylko w przypuszczeniu, bo prawdę powiedziawszy, to nikt tam nie był.

— Hm... A mnie ta wiadomość jest bardzo potrzebna.

— A po co, jeśli mogę spytać?

— Chcę zreorganizować tę całą starą budę, zwaną „Heraklesem“. Dość tego prymitywu i tego niezdecydowania. Suszył mi tu kiedyś głowę Walicki o poszerzenie pochylni Nr. 4. Gadał, jak zawsze, głupio!

— Dlaczego?

— Po co rozszerzać?

— Żeby ciągnąć na dwa haszple. Tam panuje taki ruch, że jeden nie może wydukać.

— To racja, ale rozszerzenie jest tylko półśrodkiem i nie zmienia sprawy gruntownie.

— Dlaczego?

— Bardzo proste! W przewozie rudy i w całej organizacji „Heraklesa“ uderzają dwa zasadnicze błędy. Chodnik wywozowy na piątym poziomie kręci okólnie, wymijając starannie starą kopalnię, jakby się jej bał. W ten sposób nakłada się przynajmniej trzy kilometry drogi, czego można uniknąć, prostując chodnik. Do tego idjotycznie przeprowadzonego chodnika na piątym poziomie dostosowano wywóz rudy z siódmego. Niech pan spojrzy na szklany, plastyczny plan zgóry. Widzi pan starą kopalnię na piątym i roboty na siódmym?

— Widzę!

— Przecież te roboty znajdują się tuż pod zrobami, a mimo to rudę na siódmym obwozi się daleko na wschód do tej pochylni... Dlaczego? Dlatego, że panowie Ron-

cewicz i Walicki przez trzydzieści lat nie mogli skombinować bardzo prostej rzeczy.

Gładysz już wiedział, dokąd zmierza zawiadowca i czekał na konkluzję z obawą.

— Czego nie mogli skombinować, panie zawiadowco?

— Tego, że należy chodnik wywozowy na piątym puścić wprost przez stare zroby. W ten sposób skraca się drogę wywozu na obu poziomach, a tę całą czwartą pochylnię likwiduje się całkowicie.

— Przez stare... zroby?

— Ma się rozumieć!

— Panie zawiadowco, tego nie można robić!

Faleński podniósł nagłym ruchem głowę z nad planów.

— A to czemu?

— Bo w tych zrobach tli się piryt.

— Ha, ha, ha... Wy tu pod Roncewiczem nauczyliście się bać zapaleczki. Co to, nie damy sobie rady z ogniem? Pan widział kiedy prawdziwe ognie? Pracował pan na węglu?

— Nie!

— A ja pracowałem w zupełnie zagazowanych kopalniach, gdzie ogień poprostu czyha i... nic. Niedołęstwo cofa się przed byle bzdurą, ale takich, jak ja ludzi ryzyko nawet podnieca, sprawia im zadowolenie.

Gładysz był odmiennego zdania. Narówni ze wszystkimi niższymi funkcjonariuszami „Heraklesa“ żywił dla starych zrobów jakiś zabobonny respekt. Pewność siebie Faleńskiego uważał za brawurowanie, a nawet za pewnego rodzaju profanację tradycji.

— Panie zawiadowco, — rzekł z przestrożą — z temi zrobami to są dziwne rzeczy...

— Skarbnik?!

— Niech się pan zawiadowca nie śmieje. Ja w Skarbnika nie wierzę, ale zroby co innego. Ostatni raz zapuszczono się tam piętnaście lat temu... Akurat zosta-

łem wtedy dozorcą. Co się tu działo, to niech ręka boska broni. I nietylko wtedy! Ile razy naruszono zroby, zawsze przyszło do jakiegoś nieszczęścia. To są dziwne rzeczy.

— Co pan plecie?! Wszystko to może prawda, ale przyczyny należy szukać w niedołęstwie. Czy pan w to wierzy, że tam mogą się kryć jakieś nadzwyczajności? Ot, skała taka sama, jak inne. Choćbyśmy dojechali nawet do żywego ognia, to przy dzisiejszym stanie techniki damy sobie z nim radę.

Dozorca zasępiął się coraz bardziej.

— A jednak lepiej ich nie ruszać...

Faleński machnął lekceważąco ręką:

— Ruszymy je! Ruszymy i zwyciężymy! Wy tu naprawdę drżeliście przed zapalkami... „Świeci, świeci, co robić, panie inżynierze?“ — przedrzeźniał. — Mądrość u was to rozszerzać pochylnie, wyczyniać głupstewka, łątać dziurki na portkach „Heraklesa“, zespilać, cackać się, gdy można odrazu śmiało całe nowe ubranie kopalni sprawić.

— Tak będzie, jak pan zawiadowca każe, ale powtarzam jeszcze raz, że to niebezpiecznie.

— Panie Gładysz, nie spodziewałem się, że pan zajmie takie stanowisko. Przypuszczałem, że właśnie staniami razem przeciwko tym starym safandułom.

Twarz dozorczy nie rozjaśniła się, ale w oczach zaświecił jakiś błysk.

— Ja przy panu zawiadowcy zawsze!...

Kilka dni zbiegło na przygotowaniach. Rzuchowski był wzywany do zawiadowcy na konferencje w sprawie wytyczenia chodnika, więc pierwszy z techników dowiedział się o nowych zamiarach Faleńskiego. Plotkował coś po kątach, szeptał, uśmiechał się, zacierał gwałtownie ręce.

Wkrótce projekty miały zostać ujawnione wszystkim technikom. Faleński przystąpił do reorganizacji kopalni z całą okazałością. Wezwał do siebie urzędników tech-

nicznych, nie pomijając tym razem nawet Walickiego.

Nie prosił, aby usiedli. Sam stał przed biurkiem, lekko o nie oparty, a oni naprzeciw niego o kilka kroków. Olbrzymi Walicki sterczał ze swą rozwianą szpakowatą czupryną, mając tuż przy sobie Kwietnia, niby małą, pękatą podpórkę. Nieco w tyle słuchał wykładu zawiadowcy nieruchomości, jakby wbity w podłogę, Łuczyński. Za nim kręcił się niespokojnie markszajder, przestępując z nogi na nogę. Zdala od wszystkich, tuż przy ścianie, uśmiechał się w przestrzeń blady Targowski.

— Proszę panów! Upłynęło już kilka miesięcy od objęcia przeze mnie kopalni. Przez ten czas wtajemniczyłem się w nią na tyle, że mogę powiedzieć, co sądzę o przeszłości i jakie mam zamiary na przyszłość... Uważam, że do tej pory nie wszystko było tu w porządku.

W tym momencie Walicki chrząknął silnie swym basem. Binokle błysnęły w jego kierunku. Zawiadowca wyprostował się jeszcze mocniej i ciągnął:

— Zapoznaję panów ze swymi zamiarami w tym celu, żeby nie było wymówek, że panowie czegoś nie zrozumieli, oraz poto, żeby przystąpić do pracy z całym wniknięciem w jej zadania i cele. Zresztą pragnę, abyśmy wszyscy razem...—następnie słowa bełkotał niewyraźnie, jakby przelękając. Było tam coś o zgodzie i wspólnych wysiłkach. Odetchnąwszy, jak po czemś niemilem, dalej mówił już wyraźnie:

— Przedewszystkiem chodzi mi o przewóz rudy, który jest tutaj zorganizowany fatalnie.

Usłyszawszy te słowa, Walicki odetchnął, jakby miał sapnąć: „Nareszcie!“! Oddawna wyczekiwał momentu, kiedy jego mądre i przewidujące zarządzenia, powzięte ongi wspólnie z Roncewiczem, zostaną zaatakowane. Jeszcze Faleńskiego nie było na „Heraklesie“, a on już przewidywał tę okoliczność, co teraz nadeszła. Za chwilę wymkną się Faleńskiemu słowa, które w istocie swej oznaczają zniszczenie „Heraklesa“. Czekał tych słów i szykował się do starcia. Postanowił uczynić

wszystko, co jest w jego mocy, żeby zasłonić kopalnię przed niebezpiecznymi eksperymentami.

Nareszcie padły te słowa...

— A więc, proszę panów, główny chodnik wyciągowy przeprowadzi się na piątym poziomie przez stare zroby.

Zawiadowca mówił jeszcze kilka minut o szczegółach projektu. Walicki już nie słuchał. Zmarszczki porały mu twarz, oddychał ciężko, wyczekując końca przemowy.

— Chodnik już jest wytyczony. Będzie go prowadził pan Kwiecień. To wszystko, co miałem panom narazie do zakomunikowania.

Wśród zapadłej nagle ciszy rozległ się donośny bas nadsztygara:

— Przez stare zroby?

— Tak.

— Ja się temu stanowczo i kategorycznie sprzeciwiam!

W tej chwili poczuł, że go ktoś gwałtownie ciągnie za poję. Odwrócił się. Rzuchowski mimiką i gestami dawał mu do zrozumienia, żeby umilkł.

— Co pan nadsztygar mówi? — doleciało go pytanie Faleńskiego.

— Sprzeciwiam się temu!

— Panowie! Wezwałem was do wspólnych wysiłków, a nie na dyskusję. Proszę o tem pamiętać! — skłonił się lekko i ruszył ku drzwiom. Kwiecień usunął się z drogi.

Na podłodze korytarza zastukały jego szybkie kroki. Wsiadł do powozu i odjechał na obiad.

Przez moment w gabinecie panowała cisza, potem buchnęły wszystkie głosy naraz, jakby jedni chcieli przekrzyczeć drugich. Walicki był wściekły! Nosił się po pokoju i huczał basem, bijąc się olbrzymią czerwoną ręką w piersi:

— Nie pozwolę! Nie pozwolę! — wołał z pałającymi oczami.

Rzuchowski co chwila przyskakiwał do niego, gestykulując gwałtownie. Łuczyński mamrotał półgłosem:

— Idjota, półgłówek. Ale ja paluszkciem, nawet paluszkciem...

Kwiecień sprzeczał się o coś z triumfująco uśmiechniętym Targowskim.

— Ależ, panowie, spokój!! — przekrzyczał wszystkich Rzuchowski. — Panie nadsztygarze, chwileczkę!

— Co?... Czemu mi pan nie pozwolił mówić? — napadł na niego, jak furja.

— Niechże pan słucha, panie nadsztygarze. My już dawno trzymamy się pewnej taktyki: niech sobie Faleński robi, co mu się podoba. Prędeż się doigra.

— Co pan takie rzeczy wyplata? Czy pan wie, co to znaczy wleźć w stare zroby?

— Wiem...

— Nie, nie wie pan! To może być koniec „Heraklesa“!

— Nie tak tragicznie.

— Tak tragicznie! Był pan tutaj piętnaście lat temu? Nie! Ale był pan Łuczyński, był już, jako młodzieniaszek, Targowski. Niech oni panu powiedzą, do czego doszło, jak myśmy z nieboszczykiem Roncewiczem zapuścili się na starą kopalnię!... A byliśmy tylko na skraju z jedną przygotowawczą robotą... Ten zaś wali w sam środek całym wielkim chodnikiem! Napuści powietrza i wszystko to się zajmie, jak suche wióry.

— Rozumiem, ale...

— Nic pan nie rozumie! Tam są przeciągi nieobliczalne. Jak się wiatr rozhula, to niesie ogień, jak po łożmie. Ja jeden znam, a właściwie trochę się orjentuję w tajemnicy starego „Heraklesa“ i w jego ciągach powietrznych.

— Tem lepiej! Nauczyć pyszałka!

— Za droga nauka!

— No, jeden ogień...

— Nie, to nie jest tylko jeden ogień! Może zresztą dla was tak, ale nie dla mnie! Dla mnie to sprawa „Heraklesa“!

— Czyż dla nas co innego?

— Co dla was „Herakles“?! Kopalnia taka, jak tyśiące innych. A ja z nim życie przeżyłem, ja dwadzieścia osiem lat tu pracuję! Kiedy tutaj przyjechałem, zastałem kopalenkę o jednym sztygarze i takiej technice, że pompy można było dać do muzeum. Co tu było? Nic! Jak się dojechało do gniazda rudy, to się ją tłukło ręcznymi dłutami i kilofami, póki się nie wytłukło... I ten mały, prymitywny „Herakles“ rozrósł się do dzisiejszego. Technika, telefony, ta mała elektrownia, prażalniki rudy — wszystko to myśmy z Roncewiczem stworzyli... Ten „Herakles“ jest jak mój! Myśli pan, że łatwo było wszystko zbudować? A jakże! Wyrывało się pieniądze na każde ulepszenie, jak psu z gardła, bo główny zarząd nigdy nie dbał o galmany. A na początku okupacji co było? Przyszedł rozkaz od urzędu i od inżyniera okręgowego: zatopić! Na własną odpowiedzialność nie posłuchałem, i „Herakles“ szedł! Mało mnie później zato nie wylali... A dziesięć lat temu, kiedy gruchła sztolnia Czartoryska od roztopów? Już miało kopalnię zalać! Wtedy dwa dni i dwie noce na dole się uwijałem jak warjat, nie śpiąc i prawie nie jedząc. Ratowałem go od ognia, od wody, tupań, kurzawek, a teraz mam patrzeć, jak mi go głupi upór chce zaprzepaścić? Nie, nie pozwolę!

— Panie nadsztygarze!

— Nie słucham!

Szarpnął drzwiami i runął do swego pokoju. Kwiecień wyszedł za nim. Pozostali patrzyli na siebie skonsternowani.

— Co ty na to powiesz? — zwrócił się markszajder do Łuczyńskiego.

— Cóż mam mówić? Pójdzie teraz upór na upór. Wpadną na siebie, jak dwa kozły, i oczywiście zwycięży Faleński.

— Przypuszczasz?

— Naturalnie. Przewaga jest po jego stronie. Można by jeszcze wątpić w wynik tego przepierania się byków rogami, gdyby Walicki machnął się do Dąbrowy. Ale stary nie pojedzie.

— Dlaczego?

— Bo już raz skrewił, kiedy się zaawanturował z temi wózkami i z Gładyszem.

— Ale teraz może pojechać.

— Nie, bo tamten fakt nie był przypadkowy.

— Tylko?

— Hm, jakby ci tu wytłumaczyć? Tu trzeba starego Zygmunta tak znać, jak ja... Bo to, widzisz, ambicyjka cholerna! Zygmunt liczy sobie metr dziewięćdziesiąt trzy wzrostu, ale ambicję ma, jak wieża Marjacka, i to właśnie nie pozwala mu udać się do Stalkowskiego. Nie chce się przekonać naocznie i nieodwołalnie, że już nie nie znaczy. Pragnie się jeszcze okłamywać i ludzi, pragnie, aby mu tam gdzieś w łepetynie kołatało się przekonanie: „Ale w razie czego Stalkowski przyzna rację mnie, a nie jemu!“. Oczywiście ociąganie się z wyjazdem tłumaczy sobie różnie: a to „jeszcze czas“, a to: „pojadę, gdy zajdzie coś ważniejszego!“, ale w gruncie rzeczy jest tak, jak mówię.

— Tak sądzisz?

— Napewno! Gorzej, że z tych projektów Faleńsia naprawdę zrodzi się nielada awanturka.

— To dobrze....

— Wcale nie dobrze! Wprawdzie nie będzie to aż końcem „Heraklesa“, jak bredzi Walicjusz, ale może wyjść potężna katastrofa, straty materialne, a co nie daj Boże, nawet w ludziach i, Bogiem a prawdą, Walicjusz ma rację.

— A ty jak się zachowasz?

— Ano cóż? Jako literat, nie mogę się przecież mieszać do poważnych czynności... Sam mi to powiedział, słyszałeś przecież!

— Słyszałem!

— A więc, a więc... paluszkami nawet nie kiwnę, o! tym małym paluszkami!

Twarz Łuczyńskiego pociemniała jeszcze bardziej, a oczy pałały zawziętością...

Walicki w domu nie odezwał się ani słowem. Mógłby się był podzielić troskami z Andrzejem, ale ten już wyjechał na posadę do Knuruwa.

Milczał również, gdy trzęśli się wasągami na kopalnię. W biurze oczekiwał niecierpliwie przyjazdu Faleńskiego, nie mogąc usiedzieć na miejscu. Ledwie usłyszał tupot koni zawiadowcy, podszedł do drzwi swego pokoju i nim inżynier zdążył powiesić czapkę, zapukał do jego gabinetu.

— A, to pan nadsztygar! Proszę bardzo.

Zawiadowca wyprostował się wrogo, czekając na atak. Tymczasem Walicki zaczął najniespodziewaniej tonem spokojnym i łagodnym:

— Chciałbym porozmawiać z panem inżynierem zupełnie inaczej, niż do tej pory.

— Proszę!

— Będę mówił szczerze i poprostu... Stosunki między mną a panem nie były dobre. Co tu obwijać w bawełnę! Odsunął mnie pan od władzy, od kopalni, przydusił pisaniną... I zaco? Za dwadzieścia osiem lat służ... No, mniejsza! Zwykła kolej rzeczy: starość ustępuje młodości — chyłących się ku ziemi spychają energiczniejsi.... Próżno się na to skarżyć i nie o tem miałem zamiar mówić... Istnieje rzecz dużo ważniejsza: „Hera-kles“.

— Słucham....

Walicki zmarszczył czoło.

— Panie zawiadowco!... Ja rzadko kiedy o co pro-

szę... To nie leży w mojej naturze, a mimo to pana inżyniera... ja, bądźcobądź pokrzywdzony przez pana, ja...

Dalsze słowa uwięzły mu w gardle. Zniżanie się do prośby wobec człowieka, którego uważał za pyszałka, przerastało jego siły. Twarz mu spochmurniała. W jednym błysku sekundy pamięć wydobyla najaw wszystkie poniżenia, jakich doświadczył od Faleńskiego i zapiekł go wstyd.

— Hm, hm... — odchrząknął. — A jednak ja pana inżyniera proszę, ja bardzo proszę...

Po twarzy zawiadowcy przewinął się ledwie dostrzegalny uśmiech triumfu. Walickiego tak to zmroziło, że zakończył zdanie nie w formie prośby, lecz groźnej przestrogi:

— Niech pan zaniecha tego projektu!...

Radość zwycięstwa wypełniła Faleńskiego całkowicie. Krew pulsowała równo, spokojnie, rozlewając zadowolenie po całym ciele. „Tak ustępuje familjarność przed zdecydowaniem!“.

Takt nie pozwalał mu zdradzić się ze stanem swych uczuć. Z drugiej strony wystąpienie Walickiego tak go zaskoczyło, że nie wiedział, jak się ma zachować. Obciągnął kamizelkę, zakasłał i dopiero po chwili zdobył się na odpowiedź:

— Panie nadsztygarze. Wysłuchałem pana z uwagą i radbym się nawet przychylić do pańskiej prośby, lecz, niestety, nie mogę.

— Dlaczego?

— Bo, proszę pana, mnie przecież nie chodzi o ton, jakim pan mówi, ale o rzeczy zasadnicze, t. j. o mój projekt. Ten zaś jest przemyślany i nie do odwołania.

Nie mógł sobie odmówić przyjemności dania kilku nauk Walickiemu, więc ciągnął dalej z powagą:

— Naturalnie, że milej mi było słuchać, gdy pan mówił takim tonem, jakim rozmawiają ludzie na naszym poziomie. Dawniej bowiem, panie nadsztygarze,

unosił się pan nieraz, powiem, wprost w sposób nieprzyzwoity i mnie trudno to było znosić.

Głos nabierał mimowoli akcentu suchej ostrości. Walicki stał już zasepiony i ze zmarszczkami na czole. Zdania umoralniające, któremi cykał sztywnie wyprostowany inżynier, paliły, jak iskry, godność starego, doświadczonego człowieka. W pewnej chwili przerwał więc brutalnie:

— Za rady najuprzejmiej dziękuję! Stoję już nad grobem i zapasów grzeczności starczy mi na mój użytek aż do śmierci.

Faleński błysnął gwałtownie binoklami i uciał, nie znajdując narazie odpowiedzi.

— Co pan powiedział? — spytał po chwili.

— Że zapasu grzeczności starczy mi do śmierci.

— Panie nadsztygarze, pan znów się zapomina!

— Mniejsza o to... Przed chwilą wspomniał pan, że chodzi mu o rzeczy ważniejsze, niż ton mowy. Mnie również od początku chodziło nie o siebie, tylko o kopalnię i jeszcze raz zwracam uwagę...

— Niech się pan nie fatyguje dalej! Wiem, co pan chce powiedzieć: „Nieboszczyk Roncewicz, za nieboszczyka Roncewicza, przy nieboszczyku Roncewiczu“... i tak w kółko aż do znudzenia.

— Może pan sobie dozwoli drwić z pana Roncewicza; to łatwo, bo on już umarł. Chociaż właśnie on... — tu stary westchnął głęboko — Mniejsza zresztą o to... Wracam do głównego przedmiotu naszej rozmowy i uprzedzam raz jeszcze: niech pan cofnie rozporządzenie!

— Dziękuję za troskliwość...

— Niech pan cofnie, żeby pan później nie musiał mnie prosić o pomoc.

— Niema obawy!

— Zobaczymy!

Walicki wyszedł do siebie, mieląc w ustach stek połajankę, jakimi w myślach obrzucał zawiadowcę.

— Nie, nie pojedę do Dąbrowy! Niech robi, co mu się podoba!

Naraz wyobraził sobie niebezpieczeństwo, w jakim znalazł się „Herakles“ i zawahał się w swej decyzji.

— Dureń, dureń, przemądrzalec! — wyrzucił przez zaciśnięte zęby i uderzył w bezsilnej złości pięścią w stół.

Przez dwa dni chodził jak struty. Przywiązanie do „Heraklesa“ nie wzięło góry nad przyjemnie złośliwą myślą, że okoliczności ukarzą „zarozumialca“ i do Dąbrowy nie pojechał.

Działy tu jednak jeszcze inne sprężyny. Przedewszystkiem Walicki zestarzał się w bezczynności, a jego energja jakgdyby zastygła. Prócz tego podświadomie pragnął, żeby z przyczyny Faleńskiego spadło na niego wszystko to, co uważał w życiu za najgorsze... Niech mu nawet zniszczy „Haraklesa“, — dzieło i dumę jego życia... Niech!...

To rozgrzeszy jego zaciętą, niepohamowaną nienawiść do zawiadowcy.

XXII.

BRZOZA i AKACJA

Przypuszczenia starych urzędników „Heraklesa“ nie sprawdziły się. Już od dziesięciu dni nowy chodnik wyciągowy posuwano w wytyczonym kierunku bez najmniejszego wypadku. Faleński działał nadzwyczaj ostrożnie i przewidująco. Zabłyły teraz jego techniczne zdolności w całej pełni. Zarządzenia zawsze uprzedzały możliwość wypadków i ludzka inteligencja szła na wyścigi ze złośliwym uporem martwych brył skalnych, ustawicznie nad nim triumfując.

Sprowadzono z Dąbrowy osiem aparatów z tlenem, z czego cztery zawsze zabierali ludzie, pracujący w nowym chodniku.

Kwiecień spełniał polecenia zawiadowcy nietylko lojalnie, ale z wielkim przejęciem. Nie stał obecnie po niczyjej stronie, tylko z całym zrozumieniem powagi chwili dźwigał brzemień odpowiedzialności za bezpieczeństwo ludzi i kopalni.

Inżynier tak był zadowolony z niego, że gdy kiedyś doszło do sprzeczki między sztygarem a Gładyszem, nietylko wziął stronę Kwietnia, ale dał dozorczy do zrozumienia, żeby się w sprawy chodnika w starych zrobach nie mieszał. Od tej pory Gładysz nie zachodził na nowy chodnik. Kwiecień natomiast przebywał tam najmniej dwie do trzech godzin dziennie. Jego drobiazgowa przeczność nawet męczyła górników. Byle tylko temperatura podniosła się o 2 — 3 stopnie, odrazu musieli ustawić sztuczne wentylatory — byle wionął silniejszy i bardziej duszący zapach siarki, kazał pracować w maskach, z tornistrem o dwóch metalowych butlach tlenu na plecach.

Puszczanie numeru w starej części kopalni robotnicy przyjęli początkowo z lękiem, a udających się do przodka żegnano, jak idących na stracenie. Po kilku dniach uspokojono się, a równocześnie powaga Faleńskiego wzrosła w opinii ogółu górniczego. Wkrótce potem przestano się interesować nowym chodnikiem i rozmowy na ten temat umilkły, a życie popłynęło swoim trybem.

Czerwiec tego roku był gorący i burzliwy.

Któregoś dnia w drugiej połowie miesiąca Walicki pieszo wracał z kopalni do domu. Z nieba ziała straszliwa spiekota, zalewając oślepiającym światłem oczy. Stary szedł bez marynarki, a gorąco parzyło mu ciało, które potniało i zlepiało się z koszulą. Trudno było oddychać, krew uderzała do mózgu i Walicki po raz pierwszy może w życiu doświadczał zawrotu głowy.

Niebo zaciągało się przejrzystymi muślinami długich, rozwleczonej obłoków, przesłaniając słońce leciutką aureolą. Jaskółki śmigały wysoko czarnymi plam-

kami i był to chyba jedyny ruch wśród omartwiającej przyrody.

Białe brzozy po obu stronach drogi w Krążku nie szeleściły liśćmi, spoczywając w bezruchu, z opuszczonymi wdół gałęzmi.

Walicki wszedł do ogrodu i położył się w cieniu lipy na leżaku... Gdzieś bzykała pszczoła, jakby oznajmiając ciężkiem buczeniem, że jest przecież ktoś, kto nie omdlał wśród nieznośnego upału.

Słońce wolno przetaczało się ku zachodowi i nieboskłon począł tężeć od ciemnych chmur. Zaszemrały gałęzie, zaszeleściły liście, a wiatr, jak na igraszkę, zakręcił i zakołował kurzem po drodze... Dmuchiął mocniej, porwał długie konary brzoź, rozkołysał je i zaszumiał w gałęziach. Chmurzyska się przetoczyły ołowiem i daleko turnęło gromem.

Powiewy chłodziły spoconą twarz i dobierały się do ciała. Pierwsze krople deszczu pacnęły, wsiąkając w posuchę. Nagle uczyniło się ciemno i runęły jeden po drugim dwa gromy, prując złotym pazurem ołowiane niebo.

Pani Walicka zamykała z trzaskiem targane przeciągiem okna.

— Zygmunt, chodźże do domu! Burza!

— Idę, idę...

Żywioł rozszalał się na dobre, wyjąc wiatrem, który kieltał drzewami, bił je, trząsł i tarzał się wściekły po ogrodzie. Potem lunął nawałnicą deszcz i padał aż do nocy.

Wieczorem Walicki nie pozwolił zapalić u siebie lampy i siedział w pokoju samotny, patrząc przez małe okienka w czarność. Ciemności oświetlały zygzaki błyskawic, czasem tak bliskich, że aż oślepiających, a czasem odległych, przewijających się daleko bez gromów. Gwałtowna ulewa nie biła już teraz wielkimi kroplami, jeno przeszła w siąpiące bezustannie ciurkiem deszczysko, dudniące w rynnach, chlapiące się o kałuże i lejące sznurami wilgoci, spływającej po szybach.

Pioruny zamilkły i niebo śmiało się bezzębnie jasnością odległych, cichych, bezygzakowatych błyskawic. Otwierano okna i do mieszkania parła rzeźwa, chłodna wilgoć. Wśród bezustannego deszczu rozległy się w ciemnościach jakieś podniesione głosy.

Walicki wyszedł z domu. Buty rozgniatyły błoto świeżo zmytych ścieżek.

— A co tam?

— Nie można przejechać! — odrzyknęła ciemność.

Postąpił ku sztachetom.

Noc rozwarła się na moment niebiesko - widmowym kolorem błyskawicy i na drodze zamajaczyło kilka postaci. Blask zagrał na stalowem ostrzu siekiery.

Walicki podszedł ku zbiegowisku.

Wicher przewrócił brzozę, zagrządzając w ten sposób drogę i wóz jednokonny stał przed nią, jak przed szlabanem. Kilku chłopów z siekierami miało zamiar rąbać obalone drzewo i sprzeczało się, do kogo należy.

Na Walickim strzaskana brzoza, walająca w błocie zieleń swych liści, uczyniła ogromne wrażenie. Miał trzy ulubione drzewa: jesion i akację — sadzone własnoręcznie w ogródku i tę właśnie brzozę nad drogą.

Przyjechawszy na Krążek, zastał ją jako malutkie drzewko, które rozrosło się w jego oczach. Kiedyś już miała uschnąć, ale ją odchuchał i wypielęgnował... Teraz zawaliła się i już czekają na nią topory... „Wszystko stare się wali! Czy to i na mnie czas?”

— Coś ty taki blady? — spytała pani Walicka, gdy wrócił do mieszkania.

— Nic! Tylko tę brzozę nad drogą wiatr złamał... Daj no mi latarkę, zobaczę, co z mojami drzewkami...

Poszedł pewnym krokiem wśród ciemności i zapalił światło dopiero przy drzewach. Jesion stał nienaruszony, natomiast akacja miała zerwaną gałąź, która spadając, zdarła pas kory i teraz wisiała jak na rzemyczku.

Walicki patrzył na odsłonięte żółte łyko, jak na ranę, a serce biło mu mocno.

— Wali się, wali!...

Zgasił latarkę.

— Czem ja się tak przejąłem? Histerja, psiakrew!— mruzczał, a jednak nie mógł zapanować nad nerwami...— Ot, do czego prowadzi przymusowa beczynność.

XXIII.

PO BURZY

Po burzy nastał wspaniały dzień. Radośnie świecące słońce spijało wilgoć z dróg i ścieżek, a powietrze było rześkie i przyjemne.

Walicki siedział w swym gabinecie, patrząc w niezatynkowany otwór nad futryną drzwi. Przez otwarte okno płynęła ze dworu jasność i mocny chłód poranka. Zbliżała się dziewiąta.

Faleński marudził w kabinie łazienki, przewdziewając się wolno w kopalniane ubranie. Patrzył ze zniechęceniem na dołowe buty. Wyszły i zeszywniały od wczoraj, gruba skóra wklęśła na podbiciu i twarde noski, sterczą ku górze.

— Jak je tu pakować? — ziewa lekko.

Na korytarzu szychciarka pucuje zawzięcie czyjąś lampę, podzwaniając nią metalicznie... Para syczy i gulgocze w rurach łaźni, zdaleka dochodzi zgłuszony dźwięk sygnałów, podawanych z podszybia maszyniście, i pogłos dudnienia wózków po szynach.

Nudno i codziennie.

Naraz w sygnał wałą nerwowe, pośpieszne uderzenia. Jadą ludzie...

— Któż o tej porze wyjeżdża? — myśli Faleński.

— Helka! — zwraca się do szychciarki. — A zobacz-no, kto tam wyjechał.

— Zaraz, tylko lampę skończę.

Wolno obuł jeden but i zaczyna mocować się z dru-

gim... Wtem w korytarzu rozlega się gwałtowne kucie żelaznych podkówek o asfaltową posadzkę. Ktoś z impetem kołacze do drzwi kabiny.

Inżynier odsuwa rygielek. W korytarzu stoi Gładysz. Wąsy nastroszone, oczy miotają przerażone spojrzenia.

— Ognie w pirytach! — wyrzuca z siebie.

Rozleniwienie Faleńskiego pierzcha natychmiast.

— Helka, lampę!

— Już!

Wyszli z łaźni.

— Panie Gładysz! Do magazynu po aparat dla mnie i dla siebie. Zjeżdżamy na dół! Zobaczycie, jak się gasi ogień.

Gładysz pędzi przez puste podwórze. Nie zdążył dobiec, gdy z hali maszyn znów sygnał bije gwałtownie.

— Panika! — myśli Faleński i teraz dopiero ogarnia go lekki niepokój. — Zatelefonuję do Kwietnia.

Wchodzi do hali maszyn. Pracują sprawnie i spokojnie, jak zawsze. Łyska stal; dźwigary, jak pokracczne ramiona, wznoszą się i opadają rytmicznie; pasy transmisyjne biegają po rozpędzonych kołach. Ale spocona, wykrzywiona strachem twarz maszynisty mówi, że dzieje się teraz coś niecodziennego.

— Ognie w pirytach! — woła do zawiadowcy i szarpie ręką stalowy drażek.

Nim Faleński podszedł do telefonu, znowu rozległ się sygnał, niespokojny, jak krzyk... W moment drugi, trzeci i czwarty jeszcze wyraźne, a potem uderzenia biją bez końca, jak dzwonek alarmowy, jak wzywanie ratunku.

— Stłoczyli się na podszybiu! — Faleński porywczo zakręcił korbą telefonu.

— Z wyciągowym chodnikiem! — rzucił w aparat.

— Łączę!

Kołatał daremnie. Widocznie nie było już nikogo w chodniku.

Wtem drzwi się otwarły i stanął w nich zziajany Gładysz. Przydzwigał dwa ciężkie tornistry aparatów.

— Przypasuj mi pan na plecy. Masek nie nałożymy, jeszcze czas.

Wychodzą. Ogarnia ich jasne słońce pogodnego, pachnącego dnia.

Od pełnego ludzi nadszybia niesie się gwałtowny i bezładny gwar podnieconego tłumu. Robotnicy tłoczą się przy wylocie szybu na schodach, rozpełzają w podwórzu, gestykulujący i rozgadani.

Faleński z Gładyszem zdążają ku szybowi.

Raz wraz o ich uszy odbijają się krótkie, urywane zdania:

— To stare zroby!

— Nietylko! Zaduch jest wszędzie.

— Z siódmego ludzie uciekają...

— Wilka przytłukło.

— Poco było w te zrobiska łązić?

— Nie wiecie to? Żeby ludzi wytruć!

— Psia ich mać zatracna!

— Cholery! Krwiopijce!

— Kilku ludzi zdechnie, ale oni zarobią.

— Porządek!

— Dranie!

Faleński udaje, że nie słyszy. Idzie sztywny i naburmuszony, nie rozglądając się zupełnie.

— Przepuścić! — krzyknął przy schodkach.

Kilku ludzi zeskoczyło, pacając wielkimi buciorami o ziemię, inni się rozsunęli. Zawiałowca przeszedł równym szpalerem do samej szali. Winda szybciej, niż zazwyczaj, zaczęła opadać wdół...

— Najgorszy jest ten strach. Trzeba opanować.

Zionęły czarne otwory chodnika pierwszego poziomu, potem drugiego. Duszący, ostry zapach siarki chwytął już za gardziele i drapał w tchawicę. Ciepło wzrastało. Woda ściekała po oszalowaniu, bulgocąc, chlupiąc i dudniąc. Jej dźwiękliwy plusk nie zagłuszał dudniące-

go w gardzieli szybu mamrotu ludzkiego, który potęgował się, im głębiej grążyła się szala. Czwarty poziom mignął, jak mrugnięcie powiek i szala stanęła.

Gęstwa ludzka w chodniku wywija rękami, tłoczy się, krzyczy, lśni w świetle lamp dziesiątkiem przerażonych oczu...

— Odejść, do stu diabłów!... Odejść precz!

Faleński napał na jednolitą masę i spychał, klnąc, bijąc i kułakując.

— Odejść!...

Stłoczona masa ustępuje, wydłuża się, szereguje.

— Panowie sztygarzy i dozorczy do mnie!...

Dwóch dozorców wysforowało się naprzód.

— Jesteśmy!

— Dopilnować porządku! Kto się będzie pchał, pójdzie won z kopalni...

Tłum zamruczał protestem.

— Milczeć! Kto pysk rozewrze — to kara!... Wszyscy wyjedziecie. Macie czas!

Zapadła cisza.

Teoretycznie ratunek był prosty. Należało tylko zbadać, gdzie się pali. O dojściu do samego ognia nie mogło być mowy: trzeba wybadać górników. Na pierwsze jednak pytanie: „Skąd uciekliście?“ — robotnicy wymieniają tyle miejsc w różnych częściach kopalni, że Faleński nie wierzy im. Z odpowiedzi musiałyby wnioskować, że gazy wypełniły prawie całą kopalnię. Wydaje mu się to niemożliwe.

— Nie plećcie, lecz zastanówcie się. Wy, na przykład, gdzieście robili? — zwraca się do jakiegoś starego górnika.

— W trzecim numerze na zachodnim polu.

— To bardzo daleko od zrobów!

— Tak...

— I czuć siarkę?

— Jeszcze jak!

— A gorąco?

— Gorąco! To się musiało zająć bardzo rano, albo nocą i teraz wszędzie śmierdzi. A pali się nie w jednym miejscu.

Faleński nie wierzy.

— Pójdziemy w głąb, panie Gładysz.

Dozorca posłusznie idzie za nim. Inżynier chce dobrać do chodników powietrznych. Z kierunku wiatrów podziemnych będzie mógł wywnioskować, gdzie się pali. Pożary zawsze zmieniają zwykły rozkład powietrza, które wieje w zależności od ciepłoty poszczególnych miejsc w kopalni.

Zniknęły światła licznych lamp górniczych, rozparła się gęsta, mroczna ciemność, przebijana, jak żądłem świeatekmi tylko ich własnych karbidówek. Cisza, niby pajęczyna, zasnęła podziemia. Zamiast wilgotnego skalnego zapachu zastępował im drogę duszny odór siarki, a zamiast piwnicznego chłodu lizało im twarze ciepło zatrutej kopalni.

Do uszu ich doleciał jęk:

— O, Boże, Boże!

Na spongu przy ścianie chodnika leżał wstrząsany wymiotami szleper. Światło lamp padło na żółtą twarz o przekrwionych, wybałuszonych oczach.

— Podejdźcie na podszybie!

Dźwignął się na rękach i runął spowrotem:

— Nie mogę!

— Zabierzemy was, wracając.

— O, Boże!

Zatargał nim znów atak wymiotów.

Wieje nowa fala gorąca i duszności. Krew uderza do głowy i łomoce w rozbolełe skronie, jak młoteczkami.

— Trzeba założyć maski.

Ciąg powietrza dmie i świszcze gorącym oddechem. Płomienie lamp syczą, kurcząc się gwałtownie.

Naraz głucha cisza zanosi się przejmującym ludzkim skowytem. Słowa zdają się obijać o skalistą grotę, tężeć i tłuc w uszy, jak coś materjalnego.

— Nie widzę! Nic nie widzę, o, Jezu, Jezu!!

— No, cicho, cicho... Może Bóg da, może to nic... —
uspakaja go jakiś głos, po którym Faleński poznaje
Kwietnia. Dwóch ludzi prowadzi zawodzącego pod pa-
chy. Kwietnia nie widać. Światło lamp pada na potwor-
nie poparzoną twarz górnika. Czerwona, strupiasta, wi-
docznie spalona była do żywego mięsa. Zamiast oczu —
dwie oropiałe, napuchłe jamy. Górnik zatacza się, jęczy,
kręcąc głową i wybałuszając potworne jamy, jakby nie
wierzył, że oślepił, jakby miał nadzieję, że przewidzi.

— Nie widzę, nie będę widział!... — zawodzi. — Zo-
stawcie mnie tu, zostawcie, niech już zdycham!... O,
Jezu!

— Skąd go prowadzicie?

— Od zrobów!

Zza kawalkady ukazuje się Kwiecień.

— Jest pan? — rzuca Faleński.

— Jestem!

— To w zrobach się pali?

— Nietylko.

— A gdzie?

— Jest kilka ognisk. Jedne zajęły się od drugich.

— Obserwował pan ciąg powietrza?

— Tak!

— I co?

— Nic nie można zrozumieć. Wentylacja zupełnie
pomieszana. Wieje w różnych kierunkach...

— Gdzie Targowski?

— Na siódmym poziomie. Tam jest okropnie!

— Skąd pan wie?

— Wołali mi ludzie... Ale najgorzej z pompami.

— Dlaczego?

— Gazy wdzierają się do wszystkich komór.

Na tę wiadomość Faleńskim wstrząsnął dreszcz.
Wrazie, gdy pompy przestaną działać, kopalnię zaleje
woda.

— Sprawdzał pan?

— Tak! Byłem u Kątka i w trzech innych komorach. Rozdałem wszędzie aparaty z tlenem...

Faleński patrzył na pękatego Kwietnia, jakby go pierwszy raz widział.

Spokój i przytomność umysłu sztygara zaimponowały mu.

— A tamtego gdzie poparzyło?

— W nowym chodniku.

— Więc tam wybuchł pierwszy ogień?

— Przypuszczam.

— Czy można przedostać się dalej do kopalni?

Zamiast odpowiedzi Kwiecień uczynił ręką łuk, wskazując poza siebie. Gardzielą chodnika płynął gęsty, biały dym gazów. Kwiecień zakrztusił się targającym go okropnym kaszlem.

— Dusi! — wycharczał.

Wtem chodnik zahuczał nowemi głosami:

— Niech pan sztygar puszcza!

— Uciekać, bo już dym...

— Spokojnie, chłopcy, spokojnie! Wyjedziemy wszyscy! Trzeba słabszych pilnować.

Na czele gromady stąpał gruby Łuczyński, powstrzymując rozkrzyżowanemi rękami zwartą ciżbę.

— Staronia i tamtych niesiecie? — spytał gromady.

— Niesiemy.

— Czy i u pana ognie, panie Łuczyński?

— Tak, a nawet jeszcze gorzej.

— Co?

— Foszmanik, powiedzcie panu zawiadowcy.

Sztywne wąsy wystąpiły naprzód.

— Chodniki się wałą, panie inżynierze.

— Dlaczego?

— Bo się drzewo zajęło i tli...

— Skąd to wiecie?

— Jak-em uciekał na szóstym, to się za mną zarabowało. A i czuć. O, ten dym to z tłącego drzewa...

Faleński umilkł. Zawrotna szybkość zdarzeń przerażała go.

— Wszyscy wyjeżdżać! — zawołał.

Położenie było straszne. Z jakichś niewytłumaczonych narazie przyczyn kopalnia zajęła się, jak wiecheć słomy. Ognie przerzucały się z miejsca na miejsce, i „Herakles“ płonął, ziejąc odorem siarki. Od gorąca zwęglą się drzewo i lada chwila chodniki poczną się zawalać. Gdy zaś gazy wykurzą z dołu ludzi, wówczas w podziemia wtargnie nowy żywioł --- woda. Zaleje, jak potop, resztki ocalałych chodników, i głusza ogarnie zamarlą kopalnię...

Wszyscy górnicy wyjechali kilkoma szalami na wierzch. Na podszybiu został tylko Faleński z urzędnikami. Patrzył na nich w milczeniu.

Cóż miał mówić, on przyczyna i sprawca nieszczęścia?

Odpędzał od siebie rozpaczliwe myśli w obawie, że zatonię w nich jego energja... Mimo wysiłków woli, co chwila przeszywała go pewność beznadziejnego położenia. Doświadczał wówczas fizycznego wprost duszenia się. Jakiś ciężar szedł łaskotliwie od brzucha pod gardło i zaciskał je, jak niewidzialne, mocne ręce.

Na powierzchni nieco oprzytomniał. Gdy wyszedł z szali, obrzuciły go setki oczu. Tłum, do niedawna zwarty węzłami karności w organizacyjną całość, teraz zmienił się w pierzchliwe stado. Podwórce pełne było żółtych, umazanych rudą postaci i szemrało mruklawie nieustannym, podnieconym gwarem. Naraz wszystkie głosy zagłuszył ten sam rozpaczliwy krzyk ślepeca:

— Nic nie widzę! Zabijcie mnie, zabijcie!...

Faleński spojrział w kierunku głosu. Ściepy czepiał się rękami ubrań kolegów, potrząsał nimi, dreptał na miejscu i zawodził bez końca.

— Dlaczego Baldy nieodwieziony do ambulansu? — zawołał.

— Posłaliśmy po konie.

— Zabrać pierwszą furmankę, jaka się nawinie na szosie.

Ktoś skoczył wykonać rozkaz.

Zawiadowca za wszelką cenę musiał wprowadzić ład i sprawność w szeregi załogi, gdyż inaczej nie można było marzyć o ratunku.

— Panowie sztygarzy sprawdzą, czy wszyscy wyjechali z dołu. Czy pan Targowski jest?

— Jestem!

— Proszę więc robić zapis. Po zapisie wypytać ludzi o ośrodki pożarów i kierunki powietrza na dole. Czekam raportów u siebie.

Zawrócił ku bramie i ruszył w kierunku biura.

XXIV.

ZJAZD

Dzień jest prześliczny, jasny, słoneczny. Dymy z kolumny płóczkarni wełnią się czarnymi przegubami, kreśląc na błękitnie dziwne hieroglify i rozplývając się w nicość. Jest coś niewspółmiernego między spokojem i codziennością letniego dnia, a okropną rzeczywistością na dole...

Faleński stąpa sztywno szosą z jakąś przytłaczającą świadomością beznadziejnego położenia.

— Czy to możliwe, czy to możliwe?...

Patrzy na tarzające się w kurzu szosy rozświergotane wróble, na drzewa, zalane słońcem, na cichość kamienistych pól...

— Niemożliwe!...

I naraz w oczach rozwierają mu się czarne podziemia „Heraklesa“... W chodnikach czerwieni się krwawo pożary, bucha siarka. Zetłone drzewo skręca się, wygina, a korytarze rabują się, gniotą, stłaczają... A za chwilę ryk i chlust wezbranej wody.

Serce zawiadowcy kurczy się, a za niemi całe ciało jakby się zwięzało... Przez jakieś dziwne skojarzenie pojęć widzi salę wykładową w Akademii Górniczej. Zmęczona twarz łysogo profesora w złotych okularach i głos spokojny, niemal znudzony:

— Ratunek przed pożarami dziś już jest łatwy. Aby zagasić ogień, trzeba przerwać dopływ powietrza. W tym celu w odpowiednich miejscach wystawia się tamy.

„Łatwy, wystawia się tamy...” Ale tu wszystkie żywioły rozprętały się naraz i prą na kopalnię w jakimś tańcu śmierci. Szczęściem, że pompy daleko od ognia... Widzi chudego Kątkę, zwijającego się gwałtownie przy maszynie. Zbliża się do biura i ostatnim wysiłkiem woli narzuca sobie maskę spokoju, aby nie okazać tego wewnętrzznego popłochu, który druzgoce mu energję.

Rozwija plany.

— Gdzie stawiać tamy? Przy zrobach? A co mówił tamten wąsacz (Jakże mu? Acha, Foszmanik!). Mówił, że pali się również na zachodnim polu...

Linijki na planie są proste, sztywne, suche i obojętne... Stwierdzają zimno, jak każdy rachunek, że w takiej sytuacji nie można budować tam przy zrobach, bo powietrze wówczas zwróci się gwałtownie na zachodnie pole i ogień rozbucha się tem okrutniej.

Okrągły ścienny zegar bije powoli awunastą i cyka sekundę za sekundą. Czas uchodzi. Przepadają mgnienia oka, okruchy sekund, ale i minuty, godziny... Mogą przepaść dnie.

— Działać, działać!

Ale co?... Gdzie są te ośrodki ognia?...

Nie może sobie wytłumaczyć zagadki kilku naraz pożarów. Otrząsa się gwałtownie i ujarzmi rozpieczętę myśli. Musi rozumować trzeźwo. Musi wszystko przemysleć od początku, genetycznie.

Jakże to było? Plan jego zdawał się prosty. Przebicie chodnika na piątym poziomie przez stare wyrobiska uważał za konieczne. W razie jakiegoś wypadku miał

zamiar postawić w chodniku wewnętrzne tamy, w najgorszym zaś razie zamurować go i powrócić do położenia sprzed zaczęcia robót...

Logiczne i proste.

A teraz widzi nagle, że już niema powrotu. Zaczął działać, dał pierwszy krok, ale następne już nie zależą od niego... Coś się dzieje poza nim, ponad nim. Los porwał zdarzenia w swą ślepą moc i pożar szaleje, jak zjawisko, podległe własnym prawom, idące własną koleiną. Wyrwały mu się wodze z rąk, i „Herakles“ bierze odwet na ludziach.

Musi się połapać w sytuacji, musi znów ująć cugle wypadków...

W korytarzu rozległ się rumor kroków kilku osób. Weszli sztygarzy. Raporty potwierdziły ponad wszelką wątpliwość istnienie kilku pożarów. Faleński oznaczył je czerwonymi krechami na planach.

— Jakim sposobem aż tyle ogni?

— Nagrzane powietrze buchnęło gwałtownie od zrobów.

— Więc...

— Mokre piryty w innych miejscach zaczęły gwałtownie parować, utleniać się i zapaliły się samoczynnie...

— To należy postawić tamę w nowym chodniku? — rzucił niepewnie.

Łuczyński zaprotestował:

— Nic narazie nie pomoże, bo ogień jest już teraz nie w przodku, lecz dużo głębiej w zrobach.

— Hm.

— Tak. Napuściliśmy tym chodnikiem powietrza do wiecznie tlejących pirytów i palą się... Cóż nam da tama? Najwyżej skieruje powietrze na zachód. Więcej nic, bo swąd i gazy będą się przedzierały do kopalni niewiadomymi połączeniami, temi zarabowanymi dziurami, których pełno.

— Cóż to za niewiadome połączenia?

— Niewiadome połączenia?

— Tak.

— To właśnie jest ta tajemnica „Heraklesa“, przed którą przestrzegaliśmy.

Faleński nie pytał więcej. Zaczął się przechadzać po gabinecie z pochyłoną w dół głową...

Tamy. Zmienić bieg powietrza, zmusić przeciągi do posłuszeństwa.

Podszedł znów do planów i rozwiązywał zawiłe męczące zadanie. Jeśli postawi tamy w złych miejscach — zgubi kopalnię...

Zegar chrypi pół do pierwszej. To wrywa zawiadownicę z zadumy. Myśl, która oddawna pływała w świadomości, domaga się bezwzględnie wykonania.

Walicki uratuje!

— Józefie! — woła — Niech Józef poprosi tu pana nadsztygara.

Walicki słyszał zbliżające się kroki Józefa. Wiedział, poco woźny przychodzi... Od początku katastrofy czekał tego momentu.

— Pan zawiadowca prosi pana do siebie.

Walicki wstał. Nadeszła jego godzina. Wyprostował się, w oczach zamigotał triumf. Chciał przedłużyć chwilę niemej kontemplacji zwycięstwa, więc zwlekał z wyjściem. Wreszcie poprawił na sobie ubranie, zmarszczył się, twarz nabrała wyrazu stanowczości.

Gdy wszedł do gabinetu, spacerujący Faleński odwrócony był do niego tyłem.

— Pan zawiadowca mnie wzywał?

Faleński odwrócił się gwałtownie i, patrząc mu w oczy, wyrzucił:

— Tak... Radzimy nad ratunkiem. Chcę wysłuchać pańskiego zdania co do tam. Proszę mówić.

— Hm, nie jest to takie proste... Oddawna nie byłem na dole i nie wiem, co się dzieje. Musiałbym zjechać, zbadać przeciągi...

— Nikt pana nie krępuje...

Stary uśmiechnął się ironicznie:

— Aż tak?...

— Co pan przez to rozumie?

— Nic, tylko nie wiem, czy starczy mi czasu na zjazd.

— ?!

Walicki podniósł rękę, i wskazując wielkim palcem za siebie, ciągnął powoli:

— Tam czekają na mnie wykazy magazynowe, kwitki, raporty... Muszę przecież podpisywać, bo beze mnie...

Naraz umilkł, bo stało się coś niezwykłego. Dom drgnął krótkim wstrząsem, aż obecnym ugięły się w kolanach nogi i na ścianach zaszeleściły poruszone obrazy. Potem rozległ się okropny rumor rozdieranego drzewa i ze dworu wtargnął do gabinetu przeraźliwy nieludzki wrzask. Wszyscy gruchnęli do okna. O sto kroków przed nimi, w spadzistej łące utworzyła się wyrwa. Jakaś straszliwa siła rozerwała napół stojącą tam chałupę. Część runęła w zapadlinę, a część sterczy teraz z połamanymi przęsłami i wichrzy się słomą zerwanej strzechy. Od chałupy rwie rozbeczany pięcioletni chłopak aż bose nogi migają. W drugą stronę gna rozmamłana kobieta z dzieckiem na ręku. W chacie, jak odsłonięte nagle jelita, plamią się czerwone i białe poduszki, pierzyna, statki kuchenne.

Patrzący zrozumieli, że na dole rabują się chodniki, więc ziemia tąpie. Widocznie w podziemiach szaleje ogień. Przeraziła ich własna bezradność i stali jak wrośnięci w ziemię.

Faleński odwraca się od okna. Broda mu lekko drży, gdy zaczyna mówić:

— Panie nadsztygarze, — oddycha ciężko — panie nadsztygarze, widział pan?

— Widziałem!

— I czy teraz, potem, co się stało, ma pan jeszcze jakie zastrzeżenia?

— Hm.

— Teraz... gdy „Herakles“ się wali?

Walicki wyszedł ze swego pokoju, przebrany w kopalniany strój dołowy z zaświeconą lampą w dłoni. Przed zjazdem zdjął z głowy czarny kapelusz o szerokim rondzie i przeżegnał się pobożnie:

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Postawił prawą nogę w kiblu i chwycił się rękami liny.

— Jazda!

Korba poszła w ruch... Gardziel szybu pochłonęła jego pierwszego, potem Gładysza, a wreszcie pozostałych trzech górników jednego po drugim.

Wszyscy technicy asystowali zjazdowi. Przez cały czas nie padło ani jedno słowo. Zupełną ciszę mącił rytmiczny pisk korby i głucho pogłosy szybu, gdy kibel osiadał na bonie.

— Już ostatni — mruknął szleper, nachylony nad głębią, kiedy z podszybia znikło światelko lampy.

Faleński odwrócił się.

— Będziecie tu czekać aż powrócą! — rozkazał wyciągaczom.

Odpowiedziało mu milczenie. Dopiero po chwili Łuczynski chrząknął i wycedził głucho:

— Czy powrócą?...

Spod stóp Faleńskiego, schodzącego z nasypu, potoczyły się kamyki i sypały w dół z lekkim szelestem.

— Panowie pozwolą jeszcze ze mną do biura.

Wydał kilka rozporządzeń. Szef biura zatelefonował do Dąbrowy po nowe aparaty z tlenem. Kwiecień, któremu polecono nadzór nad pompami, posłał po drugą zmianę maszynistów i na tem skończyła się krzątanina. Zaczęły się najcięższe dla nerwów chwile bezczynności i oczekiwania. Zegar chrypiał monotennie, od czasu do czasu po szosie turkotały wozy. Z pokoju urzędników biurowych dochodził stukot maszyny do pisania, czasem szelest nakładanych i zwijanych arkuszy papieru, kłapanie liczydeł. Tam dzień szedł swoją koleiną, tylko nikt

się nie odzywał i zupełny brak ludzkich głosów stawał się czemś nieznośnem i męczącym.

W gabinecie zawiadowcy siedzieli sztygarzy, paląc papierosy i dym coraz większemi kłębami wypełniał pokój.

Sam Faleński spacerował, bezustannie spoglądając na zegar. Minęła godzina, potem druga i trzecia. Walicki nie wracał. Słońce zaczęło się chylić ku zachodowi.

— Panowie mogą iść do domu. Proszę tylko, aby jeden stale dyżurował.

Pozostał Kwiecień. Inni opuścili biuro.

Faleński wciąż chodził i chodził.

Zorza zgasła. Godziny nocne ciągnęły się bez końca, jak męczarnia, nastał świt i poranek, a tych z dołu wciąż nie było.

W ciągu całej nocy Faleński drzemał tylko kilkanaście minut. Nie mógł już chodzić, bo obolałe nogi odmówiły posłuszeństwa. Siedział w fotelu i spoglądał przez okno. Znajdował się w takim stanie psychicznym, że wszystko widział, ale nic nie spostrzegał. Orosiała łąka i strzępy chałupy stanowiły, jakby obraz rzucony na ekran, lecz nie przenikający do świadomości.

W tej chwili obraz ten jest ruchomy. Właściciel chałupy krząta się ostrożnie, przyciągając do siebie żerdzią swoją chudobę znad skraju przepaści. Malutki chłopiec patrzy na tatę, trzymając paluch w buzi... Matka ładuje sprzęt na wózek...

Ruchomy barwny obraz w jasnych promieniach porannego słońca.

Naraz chłop wykonuje jakiś gwałtowniejszy ruch tuż nad zawaliskiem. Obraz zaczyna być niepokojący.

— Ależ ten dureń się zapadnie... — mruczy Faleński.

Nagle budzi się w nim całkowita świadomość.

— Józefie, Józefie... Patrzcie, co ten robi? Trzeba lecieć, zatrzymać!

Woźny wybiega z biura.

Zawiadowca odwraca głowę. Zegar wskazuje piątą. Pod ścianą kiwa się, drżemiąc, tęgi Łuczyński.

— O, Boże, Boże! Kiedyż ten Walicki wróci?

Dotyka rękami rozpalonych skroni... Pobyt starego na dole skazuje go na bezczynność, a ta zdaje się wysysać ostatki energii...

— Czy mu się co stało?

Wyrazy te musiał powiedzieć głośno, bo Łuczyński drgnął i otworzył oczy.

— Czy pan zawiadowca co mówił?

— Nic. Myślałem tylko o Walickim...

— On pewno już nie wyjedzie...

— Więc co rabić?

— A bo ja wiem?

XXV.

NA DOLE

Po zjeździe na dół Walicki przez pewien czas siedł razem ze wszystkimi towarzyszami. Znajdowali się na trzecim poziomie, gdzie jeszcze nie było czuć tego potwornego zaduchu, co głębiej.

U rozstaju chodników zatrzymał się.

— Tu się rozejdziemy. Wy Szotek ze Skubisem pójdziecie w przecinłę na lewo. Macie tu ołówek i notes. Zapiszcie sobie drogę dokładnie. Piszecie?

— Tak jest.

— W tych miejscach, które każę wam podkreślić, przystaniecie sobie dłużej, zbadacie ciąg i zanotujecie dokładnie. Zrozumieliście, com wam powiedział?

— Zrozumiałem.

— To przeczytajcie podyktowane.

Górnik zaczął dukać.

— No dobrze. To idźcie i szczęść Boże!

— Szczęść Boże!

Gdy zgłuchły kroki, a ciemność pochłonięła światła lamp, Walicki zwrócił się do pozostałych:

— Teraz na nas kolej! — i ruszył pierwszy.

Miał już mniej więcej zarysowany plan rozkładu tam ogniowych. Musiał jednakże dotrzeć do poszczególnych chodników powietrznych, żeby sprawdzić, czy się nie myli w swoich obliczeniach. Wszak do tej pory dwie tylko rzeczy były pewne: pożar w starych zrobach i pożar na zachodnim polu. Oprócz nich istnieć mogły jeszcze inne, a co gorsza przez zły rozkład tam można je było wywołać. Sprawdzenie przeciągów i dostanie się do chodników powietrznych łączyło się z nadzwyczajnymi trudnościami. Stary wilk kopalniany, kurczący się teraz w niskim, mrocznym chodniku, rozumiał je dobrze. Musiał tak kluczyć i lawirować w labiryncie podziemi, aby wymijać miejsca gorące, unikać chodników budowanych, gdzie drzewo mogło być nadgniłe, albo i zwęglone, a wreszcie posuwać się taką drogą, z której najłatwiej uciec, gdyby pompy przestały działać i woda wezbrała.

Wybierał chodniki kamienne i wciąż posuwał się trzecim poziomem. Odór nie dokuczał, było stosunkowo chłodno, więc posuwali się bez masek.

Naraz na twarz wionęło ciepło i siarka załaskotała tchawicami.

— Od dukli ciągnie.

Spong oświetlany lampami rozdziawił czarną okrągłą gardziel pionowo spadającego w dół szybiku.

— Jest tam drabina?

— Jest.

— Poświećcie no, Foszmanik... Dobrze. Tą duklą zejdziemy na niższy poziom. Drabina niepewna, więc musimy schodzić pojedynczo.

Zawiesił sobie lampę na wielkim palcu i znikł w czełści.

Znaleźli się teraz w chodniczyskach, których oddawna nikt nie odwiedzał. Cykały kroplami wilgoci — stare,

opuszczone, z bajorami zatęchłej wody, z cuchnącemi niecieczkami i zasiąklami.

Walicki nacisnął mocniej swój czarny kapelusz na oczy i skulony przedzierał się wśród ciasnoty, zbierając ubraniami porosty i grzyby, bielejące na stojących tu i tam wsparach. Wkrótce wstąpili w szersze skalne chodniki, po których wiały przeciągi. W niektórych miejscach stary przystawał. Opierał się o ścianę, wyjmował notes i zapisywał. Foszmanik przyświecał mu wtedy lampą, i w ciemności chodnika rysowała się w promieniach karbidówki wielka wyrazista twarz z długą brodą.

Skończywszy pisać, ruszał naprzód. Szli w zupełnem milczeniu. Foszmanik stąpał poważnie z tą godnością starego górnika, o której powiada kopalniana piosenka: „Przy górniczej pracy niema nic rozmowy...“ Choć niewiele rozumiał z tego, co nadsztygar robi, przejęty był ważnością chwili, a szybkie gryzmolenie na białych kartkach notesu uważał za coś niemal sakralnego. Wszak te litery i te zdania zamieniają się wkrótce w rozporządzenia, które uratują kopalnię.

Gładysz przeżywał dużo więcej wrażeń od Foszmanika. Kiedy w biurze spoczęły na nim wielkie oczy nadsztygara, dozorczy zdawało się, że wyczytał w nich chęć zemsty. Upewniło go w tem przekonaniu zdanie wyrzeczone grubym basem: „Pan pójdzie ze mną!“

— Chce mnie zgubić... — pomyślał.

Faleński go nie obronił, i ciężka uraza przeszła z nadsztygara na zawiadowcę.

Błądzenie po dole zachwiało przekonaniem Gładysza. Przedewszystkiem Walicki trzyma go przy sobie, po drugie działa niezmiernie ostrożnie, unikając niebezpieczeństwa. Uczucia nieprzychylne ulotniły się, a ich miejsce zajął podziw i uznanie dla dawnego zwierzchnika. Nadsztygar zaczął mu imponować, jak w dawnych latach: siedł tak pewnie, skręcał bez chwili wahania na rozsta-

jach i wciąż prowadził stosunkowo bezpieczną drogą, chociaż podziemia płonęły i rabowały się.

— Teraz będzie nieco gorzej — oznajmił Walicki.

Rzeczywiście chodnik, w którym się znaleźli, buchnął duszącym, ciepłym wichrem siarczanym, aż zasyczały płomienie karbidówek i jeden z nich zgasał.

— Biegiem! — skomenderował nadsztygar.

Biały dym chwycił za gardła. Pędzili sapiąc, a siarka żarła im płuca, dusiła, gryzła w oczy. Ciała momentalnie pokryły się potem, który spływał słonością do ust i przenikał za rzęsy.

— Czemu on aparatów... — tłukło się w mózgu Gładysza, który biegł spocony, zadyszany, czując, jak do gardła napływają wymioty... Zdawało mu się, że za chwilę padnie. Na szczęście Walicki skręcił nagle w boczny chodnik i chłód objął spocone ciała.

Zaczęli oddychać równiej czystiejszem powietrzem. Zatrzymali się.

Nadsztygar oparty o ścianę taczał głowę, chwytając oddech otwartymi ustami. Wycierał spoconą twarz wielką chustką i długi czas nie mówił. Foszmanik zapalił lampę i trzy snopy światła biły w mrok chodnika.

— Do tej pory wszystko jest tak, jak przewidziałem. Niedługo będziemy mogli wyjeżdżać.

Foszmanik odetchnął z ulgą:

— To chwała Bogu.

— Idziemy w niebezpieczne miejsce. Trzeba wdziać aparaty.

Dopasowali maski i ruszyli.

Już po kilkudziesięciu krokach ziało dusznym upałem. Pot skraplał twarze, a nie mając gdzie spływać, osiadał pod maską, tak, że twarze kąpały się w słonej ciepłej wilgoci, a krew tętniła przyśpieszonym pulsem w skroniach. Zapuszczali się głębiej i głębiej w rzadko zabudowany chodnik... Naraz u stropu zaświeciła się czerwona jarkość i spłynęła długą wstęgą na spong.

Niepodobieństwem było przedzierać się dalej i Wa-

licki postanowił zawrócić. Dał znak lampą... Ledwie postąpił kilka kroków, gdy naraz piętro jęknęło głucho, zatrzeszczało i runął z niego olbrzymi obryw kamieni i miału.

W chodniku wyrosła ściana — i odwrót był odcięty.

Foszmanik wybiegł kilka kroków ku zawalisku i wrócił spowrotem. Zerwał z siebie aparat. Inni uczynili to samo...

— Którędy wracać? Tu ściana, a przed nami ogień.

— Musimy się przedrzeć.

— Ale jak?... Tam się już feszta...

Nie zdążył dokończyć zdania, gdy strop jakby się przygiął do ziemi i plunął gruzem w głąb chodnika.

Zawaliska zamknęły ich jak w grobie, skazując na powolne konanie. Po gruchocie kamieni stało się przeraźliwie cicho. W utworzonej nagle grocie pełzają trzy światełka i trzy postacie majaczą wśród gęstych mroków jak duchy ciemności. Żyją jeszcze, ale ciężkiego dusznego powietrza starczy zaledwie na kilka godzin.

Położenie jest tak okropne, że groza ścina na chwilę Walickiemu wszystkie myśli. Foszmanik świeci lampą w górę...

— Panie nadsztygarze, to piętro długo nie wytrzyma.

Walicki zbiera myśli.. Słyszysz czyjeś przyśpieszczone kroki. To Gładysz tłucze się w tej małej dusznej grocie, biegając od jednego zawaliska do drugiego. Krąży coraz szybciej i szybciej, jak zwierzę schwyte w klatkę.

Myśl nadsztygara pracuje dalej:

— Foszmanik!

— Co?

— Trzeba się wspiąć po zawalisku do góry, może tam nad niem...

Dalsze słowa giną w nieprzytomnym ogłuszającym ryku Gładysza:

— Zamknęci! Jezusie, Je-zu-sie-e-e!

— Cicho!

— Nie będę cicho, nie będę... O, Boże — Maryśka! Maryśka!...

Czepia się jakiegoś stempla, targa nim, a potem tłucze pięściami i lampą, krzycząc rozzdzierającym szlochem:

— Maryśka!...

— Nie tłucz, bo zawalisz. Nie tłucz, ścierwo!

Gładysz odrywa się od ściany.

— Ścierwo, mówisz?... Kto tu ścierwo? Tyś sam. Tyś drań. Wiem. Wiedziałeś, że zginiesz, toś mnie zabrał na śmierć, żeby twój syn do majej żony, do Maryśki... O, Boże!...

Walicki z zaciśniętymi zębami postępuje ku niemu. Świeci mu prosto w twarz. Na ustach dozorca osiadła piana, z oczu wyziera zupełne obłąkanie.

— Panie Gładysz...

Chwyta go olbrzymiemi dłońmi za ramiona i potrząsa jak worem.

— Panie Gładysz!

Dozorca przytomnieje. Mruga oczami jakby zbudzony ze snu:

— Co?

— Panie Gładysz, spokoju. My musimy się stąd wykopać...

— Rozumiem... — schyla głowę, jakby z wyczerpania.

— Wszyscy do roboty! Odwalamy rumowisko.

Spokojny rozkazujący głos starego dodaje Foszmanikowi otuchy.

— Gdzie będziemy kopać? — pyta.

— Tak, żeby wrócić tam skąd przyszliśmy.

Przyczepiają lampy do stempli.

— Żeby to mieć łopaty...

— Ba...

Ręce zanurzają się w wilgotny miał rudy, chwytają większe kamienie i śmigają za siebie. Foszmanik przykłęknął i pracuje spokojnie i równo. Gładysz początko-

wo nieco senny z półotwartymi ustami, a potem gwałtownie, siepiąc się i pojękując.

Im usilniej odgarniają rumowisko, tem ono staje się większe. Kamienie i gruzy miału sypią się i sypią bez końca, przywalając miejsca odkopane, że zdaje się, jakoby całe góry, całe pustynie zwały się na chodnik...

Robi się coraz duszniej.. Trzy światełka lamp ledwie pełgają przyćmione białawemi mgłami dymu. Foszmanik sięga ręką po aparat. Słyszac to, Walicki przestrzeżga:

— Jeszcze jest czem oddychać. Aparaty tymczasem trzeba zostawić...

— Mnie już słabo.

— Zostawcie. Niewiadomo jak długo tu będziemy. Aparaty ostatnią naszą obroną przed zaduszeniem. Lampy zgasić z wyjątkiem jednej.

W tej chwili żałuje swych słów, bo Gładysz dostaje nowego ataku szału. Zrywa się gwałtownie i szarpie kołnierz bluzy. Oczy krwią nabiegłe, twarz czerwona, jakby się dusił. Gra wyobraźni jest tak silna, że dozorca z wysiłkiem chwytą otwartemi ustami powietrze...

— Aparaty!! Oddaj... Duszę się! — chrypi zdławionym głosem.

Naraz skacze w kąć groty, łapie aparaty, targa szlauchami jakby je chciał pozrywać.

— Foszmanik, nie dawać! — woła Walicki.

Gładysz z warjackim kwikiem ucieka. Po chwili powstać jego majaczy wysoko. Znajduje się na szczycie rumowiska, głową dotykając stropu.

— Mam, mam, nie oddam! Ha, ha, ha!

W przystępie triumfalnej radości wali z całej siły w piętro, aż trzeszcza deski i kapy...

— On zwarzjował... Trzeba obezwładnić!... Foszmanik!

— Hi, hi, hi! Spróbujcie... Hi, hi, hi!

Ma lepszą pozycję bo oni są niżej. Łapie kilofek za drzewce i prostuje się szerokim ruchem zwycięzcy.

— Spróbujcie, hi, hi, hi!! — skowyt szaleńca znów obija się o ściany groty.

Wtem twarz ścina mu się w maskę zupełnej nieprzytomności.

— A, jesteś, draniu... jesteś... „Jędrus“... — ostatnie słowo świszcze z nienawistną ironją.

Patrzy wybałuszonymi oczami na Foszmanika, który okrąża usypisko, chcąc go zająć z boku.

— Maryśka... Maryśka, on cię miał? Tak? Patrz, co z nim!...

Wielki jego cień chwierucze się, czepia ścian i osypiska, jakby całą grotę wypełniał i Gładysz ruchem oślepionej sowy spada na Foszmanika... Dwie przewrócone lampy gasną, w ciemności rozpoczyna się gonitwa... Nic prawie nie widać, tylko raz wraz rozlegają się nieprzytomne kwiki, sapania, odgłosy ciętych razów, szarpaniny.

W walce tej jest coś potwornego... Walicki nie panuje nad sobą. Przed oczami przelatuje mu krwawy tuman, włosy się zjeżają. Rodzi się w nim jakiś prawieczny instynkt walki i niepohamowana żądza mordy. Dłoń ściska i ściska uchwyt kilofka, a zęby się ścinają.

— Zabić, zamordować, byle nie słyszeć tego kwiku warjata, tych rżeń! Tłuc w to ohydne cielsko, prać żelazem w jego mięsz!

W tej chwili mignął ponad czyjąś głową kilofek. Walicki skacze w kotłującą się ciemność... Nie może rozróżnić walczących. Po chwili rozlega się przeraźliwy jęk i odgłos walenia się ciała na spong, później zaś stokroć silniejszy rumor spadania warstwic...

Ktoś stęknął, ktoś zawołał, a potem martwa cisza zapanała w tragicznej grocie „Heraklesa“.

XXVI.

BŁYSK OCZU

Na powierzchni nic się nie zmieniło, tylko oczekiwanie stało się tak męczącym, że lada szelest kłuł nerwy.

Faleński był zupełnie wyczerpany, Zaczerwienione powieki tak go paliły, że nie mógł patrzeć w jasność słonecznego dnia. Raz wraz wstrząsały nim dreszcze niewyspania, wzdrygając i tak ledwie w ryzach trzymane nerwy.

Bezczynność go oglupiała.

Wszyscy technicy, gotowi do zjazdu, zgromadzili się w gabinecie. Zapalone lampy migotały blado na podłodze. Górnicze kuliste hełmy zalegały stół. Zbliżała się godzina dziesiąta rano.

Na okrągłej twarzy Kwietnia malowało się ponure niezadowolenie.

— Postępujemy, jak tchórze! — mrucał do Łuczyńskiego — Od dwudziestu godzin o tamtych nie słyhać, a my wciąż czekamy.

Faleński zaszeleścił planami. Ujął w dłoń ołówek i wodził nim po czarnych linijkach. Po raz czwarty przyszedł mu do głowy pomysł ratunku i tak jak za każdym razem serce ścisnęło mu się niepokojem.

— Panie zawiadowco! — przerwał ciszę Kwiecień.

— Co?

— Za kilka godzin już nie będzie się można dostać do pomp i kopalnię zaleje.

— O tem samym myślę.

— Musimy działać.

— Działać?

— Tak. Kilku ludzi musi zjechać na dół.

— Kilku ludzi? To możeby tak pan pierwszy?

Kwecień uczuł się dotknięty słowami Faleńskiego. Zaczerwienił się, namarszczył i odparł głucho:

— Właśnie o tem myślałem... Niepotrzebnie pan ironizuje.

Faleński wyprostował się energicznie, jakby mu nagle sił przybyło i przeciął o dyskusję ostrym gestem ręki:

— Nie! Nie chcę nowych ofiar. Dość tamtych...

Chciał wydać rozporządzenia, ale głos uwiązał mu w gardle. Jego nowy projekt skazywał niemal na pewną śmierć tych, co wczoraj zjechali na dół... Ale teraz innego wyjścia niema... Zresztą i tak ich woda zatopi.

Miał zamiar wystawić teraz grube tamy wodne, wstrzymać działanie pomp i zalać ognie w zrobach, oraz na zachodnim polu.

Spojrzał na plan. Woda będzie musiała objąć dość znaczne przestrzenie... Jeśli gdzieś tutaj znajduje się Walicki ze swym oddziałkiem, to...

Zakreśla ręką kółeczka nad planem...

W tej chwili stanął w drzwiach urzędnik biurowy Helman:

— Panie zawiadowco, dzwonił maszynista z piątej komory pomp, że już nie może tam wytrzymać.

— Z piątej?

— Tak!

— Niech wytrzyma jeszcze dwie godziny!...

Wiadomość z dołu przecięła wszelkie wahania. Wzgląd na Walickiego nie może teraz wpłynąć na decyzję... Przecież oni napewno już nie żyją.

— Panowie! — zwrócił się do sztygarów — Musimy postawić tamy wodne i część kopalni zalać. Proszę do planów...

Wszyscy skupili się przy stole. Faleński wydawał rozporządzenia głosem oschłym i urywanym. Zaledwie skończył, gdy Kwiecień gwałtownie zaprotestował.

— Ten projekt jest niemożliwy!

— A to czemu?

— Bo tam jest Walicki z górnikami.

— To już trupy!

— Niewiadomo...

- Wiadomo! Zresztą innej rady niema.
 - To jest okropne, to kryminalny czyn...
 - W każdym razie ja pójdę do kryminału, a nie pan, panie sztygarze.
 - Nie o to chodzi, ale przecież...
 - A czy pan zaręcza, że oni znajdują się akurat w tych miejscach?
 - Nie, lecz jest to bardzo możliwe.
 - Zresztą, gdy poziom wody zacznie się podnosić, to uciekną.
 - Gdzie?... Za tamy?...
 - Duklami na czwartym poziomie, gdzie płynie sztolnia. Przecież czwartego już zatopić nie możemy...
 - To nie jest ratunek? Nie wszędzie są dukle...
 - Rozumiem, lecz nic nie poradzę...
- Czupurnemu Kwietniowi przyszedł w sukurs Łuczynski:
- Panie zawiadowco, stare zroby mają przypuszczalne połączenia z szóstym poziomem. W razie zatopienia ich, roboty szóstego znajdują się również pod wodą.
 - To trudno.
 - Hm...
 - Nie widzę innego wyjścia! — uderzył dłonią w plany i dodał ze złością: — Ten cały „Herakles“ to nie kopalnia, a stare dziurawe pudło! Cóż w takich warunkach począć? Może panowie mają jaki inny projekt? Proszę mówić.
- Sztygarzy milczeli.
- W takim razie proszę wykonać polecenie.
- Przez całą drogę do izby zbornej Kwiecień ciskał się i pokrzykiwał:
- Nie powinniśmy tego robić, stanowczo nie powinni!
 - Hm, trzeba jednak przyznać, że to jest wyjście.
 - Po trupach tamtych....
 - Mają szansę ratunku...
 - Dziesięć na sto.

— Ale mają...

— Do cholery z takimi porządkami!...

— Niech się pan uspokoi, ludzie słuchają.

Rozpoczęło się wywoływanie robotników, gorączkowe rozkazy, pobieranie materiałów i narzędzi z magazynów.

W kilkanaście minut potem cztery oddziały robotników pod przewodem sztygarów i markszajdra sunęły ku szybikom i odkrywce.

Zawrzała gorączkowa praca. Pierwsza tama, której budowę prowadził Kwiecień, stanęła w kilka godzin. Przerwano działanie pomp i woda lunęła. Sztygar słyszał, jak fale chlupotały po tamtej stronie. Światło lamplizowało świeży wilgotny mur i ociekające wodą ściany chodnika...

Nie mógł stąd odejść. Zdawało mu się, że popełnił zbrodnię, że zamurował żywcem pięciu ludzi. Co powie u Walickich?... Jak zawiadomi Wiktorję?... Już tak tam rozpaczano. Bezradna pani Walicka chciała telegrafować po Andrzeja...

Zbierane łopaty i kilofy dźwięczały metalicznie i buty robotnicze tupwały po błotnistym spongu. W świetle lamp zwijali się przemokli, oblepieni żółtą rudą górniczy.

— Panie sztygarze, to już?

— Już!

Zazgrzytały koła tacek... Kwiecień posuwał się zamyślony z nabarmuszoną twarzą.

— To się nazywa ratunek... Ratunek, psiakrew!!

Wspinali się stromą pochylnią i powoli wychylali z mroków. W górze majaczył kawałek błękitu, jak małe okienko. W chodniku robiło się coraz jaśniej, jakby ktoś czarną poćmę rozcieńczał białawym płynem. Głusza podziemi i piwniczny chłód ustępował, a podmuchy pierwszego ciepła zaczęły owiewać twarze idących...

Wreszcie wychynęli zupełnie z podziemi. Kwiecień przesłonił oczy, bo go raziło światło, ale zarazem z lubością wciągał do płuc suche powietrze, prostował się i poddawał działaniu promieni jasnego słońca. Przez mo-

ment odczuwał tę fizyczną przyjemność każdego górnika, który wyjechał z dołu i znalazł się wśród woni i ciepła pogodnego dnia letniego.

Zadowolenie wnet minęło i troska pobruździła okrągłą twarz.

Dreńczyło go pytanie, jak ma postąpić wobec pań Waličkih. Po krótkim wahaniu doszedł do wniosku, że musi je o wszystkim zawiadomić. Dokona tego osobiście, odpowiednio złagodziwszy wiadomość omówieniami i spokojnem przedstawieniem stanu rzeczy.

Szybko podążył do łaźni, przebrał się, a potem wstąpił na chwilę do domu. Zmienił kołnierzyk i szamotał się właśnie z krawatem, gdy dostrzegł przez okno Wiktorję. Szła szosą od Krążka. Była bardziej wyprostowana niż zwykle, a gwałtowne ruchy zdradzały podniecenie. Kwiecień wybiegł naprzeciw niej.

— Wiktus!

Stanęła jak wryta i zmierzyła go ostrem spojrzeniem.

— Wiem wszystko. Gdzie jest Faleński?

— Prawdopodobnie w biurze.

— Zaprowadź mnie do niego.

Skręcili w kierunku biura.

— Jest pan zawiadowca?

— Jest.

Wiktorja gwałtownie otworzyła drzwi. Musiała mieć w wyrazie twarzy coś uderzającego, bo Faleński zerwał się szybko z fotela i przyjął jakby obronną pozycję. Kwiecień zatrzymał się tuż przy drzwiach... Tamci dwoje mierzyli się przez chwilę wzrokiem w zupełnem milczeniu. Wreszcie rozległ się mocny i groźny głos Wiktorji:

— Gdzie mój ojciec?!

Faleński drgnął i nie od razu odpowiedział. Wiktorja wyprostowała się jeszcze bardziej, a oczy jej rozgorzały.

— Ja wiem, coście zrobili! Posłaliście go na śmierć. Mógł jej uniknąć, ale odcięliście go tamą i zatopili.

— Ależ, panno Wiktorjo!

Nie zdołał jej przerwać, Mówiła dalej, a taka moc biła z jej postaci, że Kwiecień nie zważał już na treść zdań, tylko chłonał piękno jej głosu i jej gestów. Zdało się, że zerwała więzy narzucanego sobie spokoju i buchnęła tą ukrytą namiętnością i żarem, który w niej przeczuwał i który tak kochał.

Faleński również patrzył zdumiony w jej gorejące oczy i całą postawę, jakby ją widział po raz pierwszy. Zapomniał, że mówi do niego zrozpaczona córka, a dostrzegał jedynie piękną kobietę... Tak piękną, że go oszłomiła, że zatargła całym jego jestestwem. Chłonał ją oczami i całym sobą, jak jakie zjawisko. W pewnym momencie, gdy oburzenie Wiktorji zdało się sięgać szczytu, oczy zabłysły mu zachwytem. W krótkim błysku oczu wyczytała całą przepaść namiętności i podziwu... Serce zatrzepotało w niej gwałtownie. Ten wzrok ją przeszył. Umilkła nagle, a fala krwi buchnęła jej do twarzy.

— Więc, panno Wiktorjo, więc...

Pragnął, aby została i mówiła jeszcze, pragnął ją widzieć i słyszeć... Czuł, że wraz z jej osobą zniknie stąd ten dziwny żar i zostanie jakaś pustka, nietylko w pokoju, ale i w nim samym.

Wiktorja nic nie odpowiedziała, bo doznała tak dziwacznych uczuć, że dygotała wewnątrz... Dopiero po wysiłku zdobyła się na odpowiedź:

— Trzeba szukać, może jeszcze jest gdzie przed tamą, może ocalał.

Słowa te wypowiedziała cicho, niemal prosząco. Opuściła gabinet, jakby złamana.

Miotła nią burza najsprzeczniejszych uczuć. Nie spostrzegła nawet, że koło niej stąpał krok w krok mały Kwiecień. Gdy dotknął jej ramienia, drgnęła.

— Wiktuś, zjadę na dół, odszukam... Nie rozpaczaj!..

— Proszę cię, zrób mi tę łaskę i zostaw mnie samą. Nie mogę z nikim teraz mówić, nie mogę...

— Rozumiem! — szepnął Kwiecień i pożegnał ją ze wzruszeniem.

Wiktorja skreśliła w pła. Uczucia wrzały w niej i przewalały się, jak kipiela wodna, bezładne i chaotyczne.

Co to jest, co się z nią dzieje? Przecież ona go nienawidziła...

A teraz?

Krew w niej kipi, krzyczą zmysłowe tęsknoty, jak nigdy dotąd. Na wspomnienie błysku jego oczu doświadcza czegoś słodkiego, jak rozleniwienie, a zarazem czegoś okrutnego.

Nie wie, czy kocha, czy jeszcze bardziej nienawidzi?

Gdy wspomni ojca, chciałaby Faleńskiego odepchnąć, sponiewierać, skopać... To znów czuje, że ciągnie ją nieprzeparcie w jego ramiona, że rzuciłaby się w nie, aby móc się wyplakać, zwierzyć ze wszystkiego... Znalazłaby tam ukojenie. Znowu ogarnia ją miła niemoc i widzi w wyobraźni, jak on się zbliża do niej, mocny i stanowczy, jak tuli i uspakaja.

Chwyta ją wstyd.

Więc to tak? On nie wahał się targnąć na jej ojca, a ona — — —

Naraz przypomina sobie, że właściwie od czasu balu ustawicznie o nim myślała... Nic nie rozumie. Nienawiść, miłość... Co to wszystko znaczy? Czemu ona drży?..

Weszła do domu tak zmieniona, że pani Walicka zerwała się z miejsca:

— Co z ojcem?

— Jeszcze nic, jeszcze go może znajdą.

— W każdym razie ja telegrafuję po Andrzeja, — włożyła kapelusz i potoczyła się szybko do Bolesławia.

Wiktorja weszła do pokoju. Zdenerwowanie matki pogłębiło wyrzuty sumienia. Czyniła sobie ostre wymówki. Chciała niemi jak gruzem zasypać toń swych prawdziwych uczuć. Dobierała najcięższych słów, z których „wyrodna córka“, powtarzało się najczęściej.

Lecz im groźniej się oskarżała, im mocniejszymi wyrazami określała swe postępowanie, tembardziej były

one puste i nieprawdziwe. Wciąż przewijało się pod nimi leciutkie, prawie niedostrzegalne, ale istotne pytanie:

— Co on teraz robi?

Nic nie zdołało go zgłuszyć, nic nie zdołało przesłonić sylwetki inżyniera i jego błyszczących zachwytem oczu...

— Ach, jaka ja jestem wstrętna — skonstatowała boleśnie. — Nie mogę się tego pozbyć...

Troska o ojca wypłynęła na pierwszy plan po powrocie pani Walickiej. Rozpacz i bezradny płacz matki wzbudził okropne wizje. Wiktorja wyobrażała sobie ojca przygniecionego zwałami rudy, to znowu pływającego po zimnych wodach podziemi, lub zduszonego gazami.

Odpędzała od siebie te obrazy i uspakajała matkę, sama bliska płaczu.

— Niech się mamuś uspokoi, wszystko jeszcze będzie dobrze... Mateczko...

— A to on... Odkąd się zjawił, same u nas nieszczęścia. Wszystko on...

— Kto taki?...

— Faleński.

Wiktorja zmarszczyła brwi.

— Tak — odpowiedziała z zawziętością.

— O, słyszysz?... Jedzie. Napewno on. Podejść do okna.

Nie podeszła, bo wypełniało ją w tej chwili oburzenie na inżyniera. Gdyby jednak ujrzała go... Serce uderzyło w niej przyśpieszonym tętnem.

Słyszała turkot powozu i gwałtowne zatrzymanie się przed mieszkaniem zawiadowcy.

Faleński naumyślnie długo marudził przed gankiem, wciąż zerkając ukradkiem na dom Walickich. Nie ujrawszy Wiktorji, mocno szarpnął drzwi.

Dzisiejsze zajście w biurze było dla niego czemś zupełnie nieoczekiwanem. Żadna kobieta w życiu nie wy-

warła na nim takiego wrażenia, jak Wiktorja. Wzbudziła w nim coś więcej, niż namiętność i pożądanie. Łapał się na tem, że myśli o niej zupełnie serjo, doświadczał wrażenia, że otworzyłyby w nim światy, które za ledwie przeczuwał, że z nią dopiero stałby się prawdziwym sobą. Jednak małżeństwo z osobą niezamożną nie leżało w jego planach życiowych i starał się zapanować nad sentymentalnymi myślami. Mimo wysiłków woli one powracały, i wtedy Faleński zachnął się.

— Senny jestem, więc czepiają mi się głupstwa!

Ziewnął szeroko. Bezszenność i zdenerwowanie sprawiły, że wchodził do łóżka z rozkoszą zgorączkowanego człowieka, który już nie może utrzymać się na nogach. Miękką, chłodną pościel dotknęła rozpalonej skóry. Uśmiechnął się i przeciągnął leniwie, tarzając na posłaniu. Próżno starał się zasnąć! Co dziwniejsze: sen odpędzały nie troski kopalniane, nie to okropne nieszczęście i nawet nie poczucie odpowiedzialności, lecz myśl o Wiktorji.

W pewnym momencie spostrzegł, że zastanawia się nad możliwością odmowy ze strony Wiktorji i rozżłościł się:

— Nie! Doprawdy ja się przedziergam w sentymentalnego kochanka. Istny Romeo!...

Potem pomyślał, że rolę Romea przy jego Julji odgrywa tymczasem Kwiecień, i roześmiał się.

— Jeszcze z nim wytrzymałbym konkurencję! Zresztą nie będę próbował.

Gdy jednak wyobraził sobie Wiktorję w objęciach małego sztygara, ukłuła go zazdrość.

— Ona i ten grubas... Też sens! — zła zmarszczka przecięła mu czoło.

Długo przewracał się po łóżku, zanim zasnął.

Obudził go gwałtowny, ostry trzask budzika. Półprzytomnym ruchem chwycił zimny metalowy zegarek i przewrwał jego nieznośny trzepot.... Myśli znowu poczęły krążyć nad wczorajszem zajściem w biurze.

— Wspaniała kobieta, wspaniała!

Przeciągły ryk syreny, zwiastujący godzinę pół do szóstej, zwrócił jego uwagę we właściwym kierunku.

— No, ale dość głupstw! — postanowił. — Istnieją rzeczy poważniejsze.

Zatroskał się o kopalnię, o pozostałych na dole, a w uszach rozległ mu się ten przeraźliwy krzyk ślepeca: „Zabijcie mnie, zabijcie“.

Wzdrygnął się.

— Ścigaj, zajechaliście już?

— Zajechałem, panie zawiadowco!

W drodze minęli wasąg, wiozący sztygarów.

XXVII.

MILCZĄCA GROTA

Woda zdławiła oba ośrodki pożarów, ale przepadłym w podziemiach nie można było odrazu przyjść z pomocą. Po dole włóczyły się gazy ciężkie i parne, wypełniając niektóre chodniki całkowicie i ziało gorącym, jak z hutniczych pieców. Wentylowano nagwałt kopalnię, więc dymiła i parowała odkrywka i głównym szybem, jak kominem.

Wszyscy technicy pracowali na wyścigi. Najbardziej śpieszyło się Kwietniowi. Przecież przyrzekł Wiktorji, że zjedzie, że będzie ratował. Już więc powinien być na dole i szukać, penetrować....

Niemniej przejęty był Rzuchowski. Od początku katastrofy nie zmrużył oka. Wychudł jeszcze bardziej i zczerniał. W uszach dźwięczał mu bez końca rozdzierający krzyk Baldego, w oczach bezustannie stała jego okropna, czerwona twarz. Dręczyły go wyrzuty sumienia. Czemu powstrzymywał protesty Walickiego? Trzeba go było nie powstrzymywać, ale poprzeć, samemu

jechać do Dąbrowy, protestować przeciw upartym, szaleńczym zachciankom Faleńskiego.

Zawiadowcy unikał. Nie mógł nań patrzeć spokojnie, ale stronił zarazem od kolegów.

— Ja nie wiedziałem, do czego wszystko zdąża, ale oni wiedzieli i nie zapobiegli! — myślał.

Gdy mu się gdzie napatoczył Łuczyński, odwracał oczy.

— Kupa mięsa!...

Błada twarz Targowskiego wywoływała wstręt i przezwisko:

— Prowokator!

Podobnie, jak Kwiecień, uwijał się przez calutki dzień przy wentylacji. Wieczorem już nóg nie czuł, ale gwałtownie domagał się zjazdu na dół. Gdy Faleński stanowczo odmówił, pognął do Bolesławia. Chciał zobaczyć Baldego, powiedzieć mu jakieś dobre słowo, pocieszyć go, okazać współczucie... Górnika wywieziono już do Olsusza. O uratowaniu wzroku nie mogło być mowy.

Całą noc Rzuchowski nie zmrużył oka. Oczekiwał szóstej rano jak zbawienia i na godzinę przed zjazdem był już na nadszybiu.

Zeszli się tu wszyscy technicy z Faleńskim na czele w aparatach z tlenem i w maskach. Kilku robotników i dozorca czekali już na nich.

Faleński ze sztygarami wszedł do pierwszej klatki. Pomost drgnął i winda wolno zaczęła się opuszczać. Ogarnęła ich ciemność, a blade ogniki lamp karbidowych rozgorzały teraz jaskrawo. Łyskali na siebie szklivem okularzysk tych dziwacznych aparatów, których rury, zwisając od ust jak potworne ryje, zakręcały ku butlom z tlenem, umieszczonym na plecach. Promienie karbidówek padały na oszalowanie szybu i w ich żółtej jasności występowały najaw wszystkie szczeliny, a nawet drzazgi okrągłaków.

Winda opuszczała się wolniutko. Początkowy chłód podziemi zniknął i stawało się coraz cieplej. Gdy minęli

pierwszy i drugi poziom, do szali jęły się wdzierać sina-
we mgły dymów. Na czwartym poziomie winda przysta-
nęła. Wyszedł z niej Kwiecień. Już wczoraj wyprosił so-
bie, że wysiądzie tutaj. Przypuszczał, że Walicki, stary
szczur kopalniany, zorjentował się, gdzie ma uciekać od
gazów, ognia i wody.

Oddziałek się skupił, poprawiono płomienie lampek,
ktoś tam przypasował lepiej tornister z tlenem na ple-
cach i ruszono naprzód.

Kwiecień szedł pierwszy. Było jeszcze bardzo gorąco.
Ciepło lizało ręce, wdzierało się za ubranie, a pod ma-
ską pot zalewał oczy i usta.

Głuche mroki ustępowały przed żółtym światłem, któ-
re pomykało w czeluście chodnika. Gdy skręcili w boczn-
nicę, silniej buchnęło gorącem. Okrągłaki wsparów i kap
jeszcze tu i owdzie dymiły. Coraz częściej poczęli natra-
fiać na rumowiska. Spong zalegały bezkształtne kupy
żółtego mialu galmanowego i piętrzące się bezładnie
gruzy olbrzymich gładów i kamieni. Sterczały w nich po-
łamane stemple i napół zetlałe kapy. Wkrótce dotarli
do usypiska, które sięgało od dna chodnika aż po pię-
tro i zamykało drogę.

Co teraz? Właśnie tam, za zwałiskiem, czekają może
odcięci od świata? Szeroki snop światła jał błdzić po
gruzach od podstawy aż po sam wierzchołek. Pod stro-
pem zaczerniła się mała jama, jakoby rozwarta gar-
dziel potwora. Kwiecień, wspiąwszy się w górę, spo-
strzegł, że jama jest dość szeroka. Usunął najwyższą
warstwę mialu i w rozszerzony otwór wpakował rękę
z lampą, a potem głowę. Olbrzymia, niema pieczara ziała
głuchą pustką i ciemnością. Błdzący snop światła wy-
wołał z ponurych mroków kontury i zarysy groty. Szty-
gar nie patrzył na spong zawalony miałem i kamieniska-
mi, lecz badał sklepienie. Żółte światło chciwie i bez-
wstydnie wdzierało się w tajemnice nierówności, wsy-
sało w mroki, wnikało w każdy silniejszy zwis i głę-
szą rysę skalisk.

W tych nawisach czaiła się śmierć... Nieostrożne stąpięcie, silniejszy krok kogokolwiek z oddziałku może spowodować oberwanie się części lub całości stropu.

Po dokładnem zbadaniu groty, Kwiecień postanowił ją przejść. Skinął na robotników. Dwóch najbliższych zbliżyło się z łopatami. Rozszerzyli otwór jamy na tyle, że można się było wygodnie przezeń prześlizgnąć.

Sztygar przedostał się na drugą stronę rumowiska. Górnicy pozostali na dawnym miejscu... Nie zszedł jeszcze całkowicie z nasypu, gdy coś charakterystycznie zaszemrało w pieczarze. Kilka kamieni zważyło się na dno, a grotą zadudniła złym odgłosem tąpnięcia. Głuche echo przeleciało od ściany do ściany i nagle wszystko zamarło w ciszy. Kwiecień momentalnie poderwał lampę do góry. Nim zdążył oświetlić piętro, coś w skałach zaczęło przeciągle, zapłakało i z góry runął olbrzymi obryw kamieni.

Kwiecień przylgnął do usypiska, a serce waliło w nim jak dzwon...

Cisza... Tylko po usypisku toczy się kilka kamyków. Spogląda za siebie. W świeżo wykopanej jamie ukazuje się lampa górnicza, a potem ludzka głowa w dziwacznej masce aparatu. To robotnicy schodzą wdół i przystają przy sztygarze... On wskazuje ręką drogę. Będą się przekradać tuż pod ścianami groty.

Milczkiem, ostrożnie, szybko — pochyleni ku ziemi — pomykali jeden za drugim. Gdy minęli niebezpieczną grotę, Kwiecień się zatrzymał. Odetchnął z ulgą...

Ruszyli raźniej chodnikiem, wykutym w litej, mocnej skale. Wnet skręcili w korytarz obudowany drzewem. Weszli śmiało, gdyż drzewo nie było tu opalone. Po kilkunastu jednak krokach dostrzegli rzecz dziwną: gardziel chodnika jakoby skręcała się pod naporem górnych warstw. Rzędy stempli nachylały się w prawo, a o kilkanaście kroków dalej — w lewo i robiły wrażenie nawisłych płotów tuż po przejściu huraganu. Zdawało

się, że cała budowa runie za lada potrąceniem i zmią-
dzy ich jak robactwo.

Kwiecień się zawahał. Ryzyko było zbyt wielkie —
śmierć niemal pewna... Naraz przypomniał sobie Wikto-
rję i policzki zapłonęły mu rumieńcem wstydu...

Przecież obiecał jej, przyrzekł.

Postąpił naprzód. Nie usłyszał za sobą odgłosów bu-
tów robotniczych. Odwrócił się... Cztery lampy świeciły
u wejścia do niebezpiecznego chodnika. Zaczął przyzy-
wać podwładnych groźnymi gestami. Oddziałek się za-
wahał... Potem któryś nachylił się, uczynił na piersiach
znak krzyża i ruszył. Za nim inni. W zupełnej, głuchej
ciszy słyhać było jedynie ciapanie butów po młace. Na-
pięcie nerwów — olbrzymie. Chcieliby pędzić, aby mi-
nąć ten przekłęty chodnik, więc wysiłkiem woli opano-
wują rozdygotane nerwy. W tych warunkach muszą
posuwać się powoli, aby nie zaczepić nieostrożnie o stem-
pel, nie uderzyć mocniej lampą o ledwie trzymającą się
budowę.

Czas wydłuża się w całe wieki.

Stopniowo staje się coraz chłodniej. Naraz znowu
rozwiiera się przed nimi chodnik o litych ścianach...
Bezpiecznie!....

Kwiecień, jakby chcąc zostawić jaknajdalej gro-
tę śmierci, popędził klusem. Górnicy za nim. Biegli tak kil-
kadziesiąt kroków.

Nagle Kwiecień zatrzymał się, zerwał z siebie apa-
rat i krzyknął z ulgą:

— No, chłopcy, uszliśmy śmierci!

Oddychał równo, głęboko, jakby rozkoszując się skal-
nym chłodem podziemi.

Zaledwie posunęli się kilkadziesiąt kroków, gdy no-
we rumowisko zastąpiło im drogę. Kwiecień drżał z nie-
cierpliwości. Jakieś przeczucie mówiło mu, że tutaj wła-
śnie odnajdą zaginionych. Naglił do pośpiechu, lecz za-
waliska nie dało się odgarnąć. Trzeba było bić chodnik
w miale i podsadzać go drzewem. Zbiegło kilka godzin.

Gdy odwalili ostatnie łopaty gruzu, buchnął na nich okropny zaduch. Spong był nierówny. Światło lamp wylaśniało z mroków groźne nawisy głazów u stropu grotu.

Naraz starszy górnik Cebo stanął, jak wryty.

— Panie sztygarze.

— Co?

— Gładysz!

Rzucił okiem. Na spongu majaczyły w ciemności kontury ludzkiego ciała, jak jakaś wielka zbita masa.

— Żyje?

— Nie!

Podszedł bliżej... Gładysz leżał na wznak z głową odrzuconą w bok... Bez aparatu i bez kapelusza. W czaszce miał wielką dziurę. Zakrzepła krew zlepiła w duży kłęb część rozwichrzonych, jasnych włosów... O dwa kroki dalej spoczywał Foszmanik w dziwacznej pozycji i szczerzył zaciśnięte jakby nienawiścią zęby. Zesztywniały palce prawej ręki garnęły do siebie aparat z tlenem. Obok leżał skrwawiony kilofek i drugi aparat z zerwanym szlauchem... Wielki głaz przyciskał górnika. Z położenia ciała znać było, że Foszmanik wił się przed śmiercią, przybierając różne pozycje, aż zastygł w tej co teraz.

Przerażający widok wstrząsnął Kwietniem do głębi...

Jak zginął Gładysz? Co znaczy skrwawiony kilofek? Czyżby walczyli?

— Trzeba ich stąd uprzątnąć, panie sztygarze — przerwał ciszę Cebo.

— Tak!

Posunął się kilka kroków naprzód. Nowe usypisko... Światło przebiegło jego urwisty spych. Nagle Kwietniem znów wstrząsnął dreszcz... Wysoko, na zwale urobku, czerniała wielka postać Walickiego. Głowa była oparta o ścianę chodnika, a całe ciało zwisało zupełnie bezwładnie... Oświetlany z dołu, wyglądał ze swą długą brodą, na zakłętego ducha kopalni — na legendarnego Skarbnika, który ukołysany ciszą, usnął był w głuszy podziemi.

— Czy żyje jeszcze? — pomyślał Kwiecień.

Ujął go za ramiona:

— Panie nadsztygarze!

Walicki jęknął.

Wzrok Kwietnia padł na kilofek, leżący obok, i naraz sztygar rzucił się w tył. Stalową część kilofka oblepiała zakrzepła krew...

Jakaś ponura tajemnica rozwarła się nagle przed sztygarem. Nie miał jednak czasu myśleć o niej.

— Hej, tam! Pomóżcie mi! — zawołał na górników.

Podjęli Walickiego pod pachy, a wówczas rękaw bluzy wznosił się do góry. Całe przedramię w zakrzepłej krwi, a niżej łokcia widniała rana...

— To pewno dlatego kilofek taki okrwawiony! — pomyślał Kwiecień.

Walicki usiłował sam stąpać, ale bezwładne nogi wnet mu się splątały, więc wleczono go przez całą drogę aż do podszybia.

Na powierzchni rodziny zaginionych oczekiwali od samego rana na wyniki poszukiwań. Skubisa i Szotka odnaleziono po dwóch godzinach całych i zdrowych. Radość ich najbliższych dodała tylko niecierpliwości pozostałym. Foszmanikowa, stara bezzębna kobiecina, czekała z chłopską, spokojną rezygnacją, przysiadłszy na schodkach. Po twarzy Maryśki przebiegały skurcze niepokoju. Wiktorja wysiłkiem woli panowała nad sobą, ale pani Walicka dreptała niespokojnie po podwórzu, podchodziła do nadszybia, coraz chwytając się obu rękami za głowę. Andrzej dopiero co przyjechał.

— Co oni tak długo tam robią? O, Boże, co tak długo?... — pani Walicka nie może się doczekać.

Mija dwie godziny, trzy, cztery.

Naraz ciszę rwą metaliczne uderzenia sygnału z dołu.

— Ludzie jadą!

Para fuka raz — dwa, raz — dwa. Potem coraz szybciej, szybciej i szyb głucho dudni.

Stop! Maszynista zdławił ruch, stalowe koła zamarły.

Po schodkach nadszybia, wsparty na robotnikach tak silnie, że aż podniesione ramiona ukrywają szyję i część głowy, zstępuje stary Walicki...

— Ojciec! — woła Andrzej.

Nadsztygar patrzy po obecnych:

— Jesteś tu?... O, i Wikta, i matka...

Wzrok jego pada na Gładyszową... Czoło mu się marszczy, a oczy napływają łzami.

— A mój mąż? — pyta Maryśka.

— A mój? — wtóruje jak echo Foszmanikowa.

Głowa Walickiego opada na piersi.

— Zabici! — mówi głucho. — Przywaleni! Mnie jednemu udało się wyjść cało...

— — — — —

Kwiecień nie odstępował Walickiego ani na krok. Kiedy go odwieziono do domu, poszedł do Krążka. Spodziewał się, że nadsztygar coś powie, że rozświetli ponure zdarzenia samotnej groty Walicki jednak milczał. Jakaś tajemnicza groza zdała się wiać z jego postaci, gdy siedział w otoczeniu całej rodziny, wlepiając wielkie oczy gdzieś w przestrzeń z wyrazem głuchego przerażenia i zadumy. Zdawał się być zupełnie oddzielony od obecnych — odcięty od nich nieprzebytym murem tajemnicy. Robiło wrażenie, że nic go nie łączy z żywymi, a myśli wciąż krążą nad trupami, których zagadkę znał tylko on jeden, jedyny. Jego zachowanie pętało obecnym języki, napełniając pokój jakąś denerwującą ciszą.

Kwiecień był tak podniecony, że potniały mu dłonie. Obcierał je ukradkiem chustką i patrzył na ponurego Walickiego.

Wreszcie Andrzej nie wytrzymał i przemówił:

— Jak to właściwie było tam na dole?

Wielkie oczy ojca spoczęły na nim.

— Nie pytaj... Może kiedyś, w przyszłości....

Jeszcze nie przebrzmiał powolny bas starego, gdy w pokoju ukazał się zawiadowca.

Uczyniła się znów cisza — tylko tym razem jakaś kłopotliwa i dziwnie drażniąca. Faleński podszedł swym zdecydowanym, pewnym krokiem.

— Nie byłem obecny, gdy pan wyjechał z dołu. Chciałem się dowiedzieć szczegółów...

Pod ciężkim wzrokiem starego zwykła jego swoboda mija i zaczyna się lekko zacinać:

— Więc tak... hm... Wiem, że tamci zginęli... A pan?... Jak się pan czuje?

— Nie mogę na to pytanie odpowiedzieć zwykłym: „dziękuję“

— Dlaczego?

— Bo wprawdzie żyję, ale tu — we mnie — coś już zamarło....

XXVIII.

W ŚWIAT

Walicki uparł się, że pójdzie na pogrzeb ofiar katastrofy. Ponieważ był jeszcze bardzo osłabiony, ledwie zawlókł się do kościoła, podpierając się dwoma laskami.

Gdy stał blisko katafalku — wielki, siwy, górujący swym olbrzymim wzrostem nad otoczeniem — wszystkie oczy kierowały się ku niemu, jako jednemu świadkowi ostatnich chwil obu zmarłych.

On zaś patrzył na trumny w milczeniu. Niepokoila go zagadka, lecz zagadka żywych, a nie umarłych... Spoglądał na stojącego opodal Andrzeja i na klęczącą Gładyszową. Była w czarnej krepie, a twarz osłoniła grubym welonem.

Andrzej nie mógł przeniknąć, jakie uczucia nurtują w tej chwili Maryskę. Zdawało mu się, że jest stonkowo spokojna. Od czasu do czasu jednak wstrząsała nią dreszcz bezgłośnego szlochu. On sam czuł zupełnie, jakby kamienny spokój i tylko trawił go żal... Wiedział, że ta mogiła rozdzieliła ich na zawsze... Nie

może być inaczej i nawet nie sposób myśleć o czym innym, niż o rozłące...

Pogrzeb odbywał się z wielką paradą. Były dwie orkiestry — jedna z Bolesławia, druga z „Heraklesa“ — przy katafalku kręciło się teraz kilku górników w odświętnych uniformach. Wieńce ofiarował zarząd T-wa Górniczego w Dąbrowie, Faleński, urzędnicy „Heraklesa“, robotnicy, zawiadowca kopalni „Bolesław“ i inni. Szarfy dwóch największych głosiły czarnymi literami: „Dzielnemu górnikowi — Zygmunt Walicki“ i „Edwardowi Gładyszowi — Z. Walicki“.

W czasie pochodu na cmentarz stary nie mógł nadążyć idącym i włókł się w samym końcu konduktu.

Maryśka zachowywała taki spokój, że można ją było posądzić o obojętność. W rzeczywistości rozplywała się w niej jakaś bezbrzeżna żałość... Żałość nad wszystkim: nad zmarnowanym życiem, nad mężem, nad tem, co przeszło i tem, co ma nadejść, a będzie puste, głuche, obojętne...

Gdy dostrzegła kroczącego opodal Andrzeja, uczucie to wzrosło jeszcze bardziej, i łzy popłynęły obficie.

On starał się zbliżyć do niej, aby powiedzieć jej jakieś ciepłe słowo... Słowo ciche, ale mocne, z głębi serca wyrwane. Żenował się podejść przy ludziach. Wszak wszyscy wiedzieli, co ich ongi łączyło; prawdopodobnie niedawno jeszcze obgadywali. Czekał, aż cmentarz opustoszeje, ale nie zetknął się z Maryską, bo Faleński odesłał ją do domu powozem.

Wieczorem poszedł na Podlipie. Przywitała go spokojnie.

— Wiedziałam, że przyjdiesz...

— Spodziewałaś się?

— Tak!

Umilkli. Schludny, biały pokój był dziwnie pogodny. Andrzej bawił się odruchowo jakimś haftem na stoliku. Właściwie nie wiedział, co Maryśka chciała wyrazić

tem powitaniem. Odczuwał tylko w niej ten sam spokój, co w sobie, i tę samą cichą rezygnację.

— Jesteś mi teraz i bliższy i dalszy... Bliższy, bo mogę mówić otwarcie; dalszy, bo już się nigdy nie zjedziemy. Ten grób nas rozdzielił.

— Tak, nigdy się nie zjedziemy!... Chociaż bardzo często takie rzeczy ludzi łączą.

— Ale nie takich, jak ty i ja...

— Masz rację! Ja nie mógłbym myśleć, że to nie-szczęście, że gwałtowna śmierć twego męża... Nie! To byłaby krzywda... Coś więcej, niż krzywda... To tak, jakbyśmy czekali na tę śmierć, jakbyśmy byli współ-winni....

— Potoczy się puste życie... Ni tobie nic ze mnie, ni mnie z ciebie.

Andrzej spytał cicho:

— Czyś ty go kiedy kochała?

Zamyśliła się, a potem kiwając głową przecząco:

— Chyba nie. Byłam tylko przywiązana, jak żona do męża.

— Tak, tak...

— Czy pamiętasz, jakeś mówił, że niema rzeczy nie do odrobienia?

— Pamiętam.

— A teraz chyba widzisz, że są takie... Są rzeczy zapadłe! To tak w nas samych zapada i... koniec. Zapadła i nasza miłość!...

— Miałaś wówczas rację, ale powiem ci więcej... Teraz, gdy cię słucham, myślę, że niema ludzi, bardziej dla siebie stworzonych od nas obojga.

— Czemu?

— Wszystko jednakowo odczuwamy...

— Ale nie będziemy dla siebie.

Zamyśliła się.

— Maryś, ja cię już żegnam pewno na zawsze

i chciałbym wiedzieć, czy ty nie masz do mnie żalu: Przecież to ja właściwie...

— Nie, to nie ty...

— A kto?

— Czy ja wiem? Tak już samo... Widać Pan Bóg mnie doświadcza...

Spojrzała na fotografię syna i usta jej zadrżały, jakby miała się rozplakać.

— Za grzechy moje, za grzechy... — szepnęła.

Ujął jej dłoń i przycisnął do ust.

— Jeżeli tamto uważasz za grzech, to ja również w tem zawiniłem.

— Widzisz, najłatwiej to jest spychać winę na kogoś. Tylko że sumienia się nie oszuka. Ono wie, że się łatwym sposobem nie można rozgrzeszać i że prawdziwa wina zawsze leży w samym człowieku.

Teraz jemu ścisnęło się gardło.

— Ja ciebie, Maryś, bardzo szanuję, bardzo...

— To dobrze... Rozstajemy się w zgodzie.

Andrzej podniósł się z miejsca.

— Nie wspominaj mnie źle...

— Nie bój się.

— I niech ci będzie jaknajlepiej!

— I tobie, i tobie...

Szedł do domu wytężonym, szybkim krokiem. Gwiazdista noc otuliła srebrzystym błękitem całą okolicę: wykłoszone pola, drzemiące chaty, dalekie bory. On również niósł w sobie jakąś błękitną ciszę pospowiedniego rozgrzeszenia. Tylko, że noc stała zupełnie bezgłośna, a w nim dźwięczał żal. Początkowo ledwie uchwytnie, jak odległy pochrzęst świerszcza, a potem coraz donośniej i donośniej, jak rozkołysane dzwony.

Do wszystkich uczuć, jakie żywił względem Maryśki, przyłączał się obecnie szacunek.

— Jakże ona prosto a zarazem głęboko ustosunkowała się do tego wszystkiego i do siebie.

I właśnie ten szacunek narówni z zawilóściami uczuciowemi, które spowodowała śmierć Gładysza, nie pozwalają mu zbliżyć się do niej.

— W świat, w świat! — szepce — W daleki świat!..

Jeszcze przed kilku tygodniami, gdy mimo wszystko miał nadzieję, że jakoś się porozumieją, wybrał posadę w Knurowie, a nie w Turcji. Na szczęście nie zerwał stanowczo z tamtą firmą, która starała się o młodego inżyniera przez Akademię Górniczą. Ostatni termin odpowiedzi upływa pojutrze. Dziś jeszcze rozbudzi urzędnika poczty i pchnie telegram do Krakowa, że posadę przyjmuje...

— W świat!

Nazajutrz wczesnym rankiem zaczął się pakować.

— Już jedziesz? — spytała pani Walicka.

— Tak! Dobrze się stało, że jesteście wszyscy troje, gdyż chciałbym się z wami serdecznie pożegnać.

Wszedł do stołowego.

— Ciebie, Witka, odprowadzę na Starczynów. Wyjdziemy sobie razem...

— Poco tak wcześnie? — wtrąciła matka.

— Chcę z Wikcją porozmawiać przed długą rozłąką.

— Długą?

— Tak, bardzo długą! Wyjeżdżam do Turcji.

Pani Walicka zatrzepotała rękami:

— Bój się Boga, co ty mówisz?

Walicki spojrział na oboje swemi wielkimi oczami i odetchnął, jak człowiek, który zbył wielkiego ciężaru.

— Nie wstrzymuj go, niech jedzie...

Wiktorja rzuciła Andrzejowi porozumiewawcze spojrzenie.

— Tak, mateczko, niech jedzie!

Pani Walicka rozejrzała się wokół bezradnie:

— Cóż wy go tak wyprawiacie? Poco ma rzucać kraj i rodzinę?

— Widocznie tak być musi! — wyhuczał wolno i poważnie bas Walickiego.

— Ale poco? naco? Nie! Ja już nie mogę! — rozszlochała się gwałtownie.

— No, cicho, matuś, cicho...

Andrzej przypadł do jej rąk. Tuliła do siebie jesną głowę synowską, nie przestając szlochać i pytać samej siebie:

— I poco, naco mu w taki świat?...

XXIX.

BOŻE, BĄDŹ MIŁOŚCIW...

Po wyjściu Andrzeja, stary kazał sobie wynieść leżak do ogrodu, gdzie spędzał swój dwutygodniowy urlop, zaszywając się w gęstwinę leszczyn, ocieniony akacjami i jesionem. Wśród zieleni tego kąta ogrodu zawsze panował chłód i wiało lekką wilgocią, chociaż gdzieindziej ziemia pękała od suszy i upału. Widać było stamtąd ogród warzywny, bliżej klomb i lipy, a za sztachetami szerokie, chełbiące się pagóry pól...

Zbliżał się lipiec. Rozpalały się dni upalne, a słońce, wtopione w jasny błękit, siało gorącem, — jak parzącymi strzałami. Chybotwały się od upału pola, a ogród dźwięczał poszumem życia, ciężkiem brzęczeniem pszczół, szelestem lekko kołysanych gałęzi.

Walicki nie wychylał się z cienia, choć dawniej, jak każdy górnik, radby się był kąpać w słońcu, pić jego suche, ciepłe promienie.

Teraz myślał o Andrzeju. Pełen był jeszcze potępieńczego krzyku Gładysza, w którym przeżyła się zazdrość, i błogosławił losowi, że Andrzej wyjechał. Nie pobiorą się z Maryską, nie pogłębią grzechu, jaki on ma względem dozorca.

— Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu...

Nikomu nie opowiedział, co się działo na dole. Ukrywał swe przeżycia przed ludźmi, jak tajemnicę, ale sam bezustannie grażył się w nią i ustawicznie, bez końca, przebywał w mrokach tej tragicznej groty.

Rzeczywistość gdzieś zniknęła. W uszach bezustannie brzmiały mu krzyki, rzęzenia, odgłosy bójki. W ręku czuł ciągle twardy drewniany uchwyt kilofka, w mięśniach drzemał skurcz zamachu i ciosu... Tragicznego ciosu!...

— Czyje uderzenie powaliło Gładysza?... Moje czy tamtego, moje czy tamtego?

Wyprysnął mózg... Widział to.

Wstrząsa się cały...

— Uciekłem, uciekłem!... — krzyczy w nim coś — A Foszmanik jeszcze się wił, a tamten jęczał... Uciekłem, bałem się!...

Jeszcze teraz czuje, jak zimnym dreszczem przebiega po nim zgroza...

Ach, te godziny!... Lampa zgasła i ślepił przepastny mrok... Czasem ciapała kropla wody, lub zsunął się cichutko kamyczek... Bał się wtedy ruszyć, bał przełożyć rękę... Któż prócz niego wie, co to jest strach?

— Kto zabił?!

I znów w rękach wrazenie ściskania uchwatu kilofka

— A choćby nie ja, to przecież tylko przez przypadek, bo chciałem... Ale kto zabił, kto, kto!!? — woła w nim, krzyczy nierozwiązalne pytanie i targa sumieniem, i budzi dreszcze zgrozy, i męczy...

Siada na leżaku. Brwi podniosły się w górę, włosy i broda rozwiały, że cały wygląda, jak nastroszony. Patrzy przed siebie, lecz nie ogród widzi.

— Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu, Boże, bądź miłościw....

Znowu od początku ta scena z dołu, jak w kinie, jak na taśmie filmu..... To sumienie gra mu ten obraz bez końca.

— Nie mogę, nie mogę!...

Po obiedzie zebrał swe laski i powlókł się do Boleślawia. Wstąpił na plebanję, a potem wolno ruszył szeroką drogą pod górę.

Kościół przygarnął go powagą wieczności, jaka dyse we wnękach ołtarzy, czai się w mroczu kolumn, wieje chłodem kamieni i spływa subtelnem światłem z witraży. Tajemniczy półmrok szeptał o Przedwiecznym, o litości i łasce. U progu świątyni zatrzymała się codzienność, a tu króluje On i Jego wielkie miłosierdzie.

Woń kadzidła zmieszana z wonią zwiędłych kwiatów rozpełzała się po kościele.

Śmierci to woń, czy życia?... Czy istnieje ich granica, czy wszystko się zaciera w Boskiej jedni i w Eo skim obrazie?

W zakrystji rozległy się drobne kroki i w drzwiach ukazała się siwa głowa proboszcza. Szedł ku konfesyjonałowi. Drobił wolniutko, uderzając o posadzkę butami: pac, pac, pac; a echo chodu, zwykłej, prostej czynności, dźwięcząc i grając po sklepieniach kościoła, nabierało w uszach Walickiego jakiejś dziwnej, surowej powagi.

Ukląkł i zaczął się spowiadać. Trwało to długo, bardzo długo. Kilka bab - starowin, które się zeszły tymczasem, szeptało doniośle bezzębniemi ustami pacierze, kościelny sprzątał, a Walicki jeszcze nie kończył.

Gdy wreszcie wstał, jego wielkie, ciemne oczy miały już inny wyraz.

Podszedł przed ołtarz i, oparłszy czoło o barjerkę, modlił się żarliwie...

XXX.

TAJEMNICA

Szybko mijały dni urlopu...

Faleński bywał teraz codziennym gościem u Walickich. Przychodził pod pozorem odwiedzania rekonwa-

lescenta, ale przestawał przeważnie z Wiktorją. Czasem spotykał się z Kwietniem, lecz zdarzało się to rzadko, bo zawiadowca zjawiał się zwykle później. Siadywali zazwyczaj przy ojcu w ogrodzie, rozmawiając i dowcipkując do późnego wieczora, i Faleński często zostawał na kolacji.

Stary przeważnie milczał, lecz zachowanie córki niepokoiło go. Wiedział, że się zakochała. Z nadejściem zawiadowcy zmieniała się niemal w oczach. Każdy jej uśmiech stawał się wabieniem, każde spojrzenie tęsknotą. Nabierała jakichś łagodnych, leniwych ruchów, jakby topniejąc pod wzrokiem Faleńskiego. A gdy odchodził, w oczach tłyły złote uśmiechy marzeń i oczekiwania.

Faleński również się zmienił. Sam siebie nie poznał. Dawniej, gdy zbliżał się do kobiety, odczuwał w sobie podniecenie i władcą moc, teraz doświadczał uciszenia.

Ostatniego dnia urlopu zjawił się bardzo wcześnie. Posiedziawszy chwilę, zwrócił się do Wiktorji:

— Może się przejdziemy po ogródku?

— Ależ z chęcią!

Walicki patrzył w alejkę. Myślał o córce i o Kwietniu.

— Czy tamten wie, czy się spodziewa?... Jak temu przeszkodzić?...

Kwiecień dostrzegał zmiany w Wiktorji, lecz pragnął się jeszcze łudzić, nie chciał uwierzyć w rzeczywistość. Kiedyś dostrzegł ich na spacerze. Szli blisko siebie, niemal przytuleni i żywo rozmawiali...

— Nic, nic, to przejdzie, to taki flirt! .. — pocieszał się.

Czy to w obawie, aby mu się złudzenia nie rozwiały, czy też z zazdrości, nie codzień teraz odwiedzał Wiktorję.

Walicki przypomniał sobie tę okoliczność i zamyślił się:

— Czyżby ustępował? Czyżby mnie Pan Bóg aż tak chciał doświadczyć, by moja córka poszła za tego... — spojrzął w alejkę.

Popadł w swoją zwykłą ciężką zadumę.

Wyrwał go z niej głos Wiktorji:

— Ojcie, pan Faleński już odchodzi....

— Aha — ocknął się — dowidzenia.

Wiktorja usiadła obok na ławeczce. Stary długo żuł w sobie słowa i myśli, zanim rozpoczął:

— Wikta....

— Co?

— Patrzę na ciebie i na tego... na Faleńskiego i tak sobie różnie myślę... Czy ty wiesz, czem się stał dla mnie Faleński? Wystarczy spojrzeć. Przypomnij sobie, jaki byłem jeszcze kilka miesięcy temu, a jaki jestem dzisiaj. Ruina! Że fizycznie osłabłem, to nic dziwnego: starość. Lecz ja jestem również ruiną moralną, ja jestem... Nie! To coś strasznego! Ty nie masz pojęcia i nigdy się nie dowiesz. Nikt się nie dowie! Ja tę tajemnicę wezmę z sobą do grobu... A kto uczynił ze mnie ten łachman ludzki? On! On przez swój upór i zachciankę...

Umilkł na chwilę.

— Możebym był zginął... I kto wie, czy nie lepiejby się stało? Pewno, lepiej!... Ale nie zginąłem! Przyszedł Kwiecień, narażał życie, odratował... Porządny, dobry Kwiecień...

Słowa te spadły na Wiktorję jak mróz. Jej myśli, falujące dopiero co łagodnymi uśmiechami i jasne od cichych marzeń, ścięły się lodem.

Czego od niej chcą? Czemu nią rozporządzają?

Nawet Andrzej. „Nie depcz tego, co jest wielkie!“. Oto jego słowa... Ale co tu jest teraz naprawdę wielkie?...

Zjeżyła się, jak kolczatka, przeciwko całemu światu. Niech jej nie dotykają. Niech uszanują jej najgłębszy skarb.

Walicki przemówił znowu:

— Nie myśl, że ja od ciebie czego żądam. Mówię swoje, i tyle. Postąpisz, jak zechcesz. Młodość ma swoje prawa. Rozumiem to dobrze! Rozumiem, niestety.... — westchnął głęboko.

To westchnienie powiedziało jej więcej, niż słowa. Zrozumiała, że jej małżeństwo z Faleńskim byłoby dla ojca ciosem, z którym nigdyby się wewnątrznie nie pogodził. Nie miała odwagi wysnuć z tego całej konsekwencji, że właściwie pozostaje jej teraz do wyboru: albo ojciec, albo Faleński... Chwytała się myślą różnych projektów, które jak wypryski lawy rodziły się nagle i grażyły w nicość, nie przynosząc żadnego rozwiązania...

Mrok począł gęstnieć i wchłaniać w siebie cały świat. Na niebie wyraźniej błyskały gwiazdy, a błądzący sierp księżyca — dotąd ledwie majaczący na mlecznym firmamencie — nasycił się coraz bardziej zimnem, połyskliwym srebrem. Akacje lotniły w przestrzeń silny zapach, a od pobliskich klombów biło wonią goździków. Za drzewami, po obu stronach alejki, zwiisały strzępiaste głowy napęczniałych georginij. Obszerne ogród pola, łąki, ziemia cała dyszały dojrzewaniem i płodnością.

Roje komarów tańczyły, jak fontanny, w dół i w górę: równo, miarowo, jak w wahadle. Kilka z nich bzykało tuż koło ucha cienko, przenikliwie, toniście.

Oboje siedzieli w milczeniu, każde zamknięte w kółku swoich własnych myśli.

Na dróżce od domu zaszeleścił piasek pod czyjemiś krokami. Podszedł Kwiecień.

— O czym to państwo tak dumacie?

— O niczem.... — odpowiedział Walicki.

— O tajemnicy! — poprawiła Wiktorja.

Kwietniowi zaświtała nagle myśl, że stary zwierzył się córce. Jakby w przeczuciu tego Wiktorja dodała:

— Każde o swojej własnej tajemnicy... — i wpatrzyła się w przestrzeń.

— Faleński! — pomyślał Kwiecień.

Usiadł na ławce i podparł dłonią czoło. Zasklepił się w swym wewnętrznym świecie. Spojrzał w kierunku leżaka. W mroku majaczyła wielka, naznaczona stygmatem ponurej zadumy, postać nadsztygara Głowa w okolicy siwej brody i włosów spoczywała na skrzyżowanych pod nią ramionach.

— O czym teraz Walicki myśli, co przeżywa?... Do jego tajemnicy chyba nikt i nigdy nie przeniknie.

Przeniósł wzrok na Wiktorję. Jej piękny profil rysował się ostro na tle ciemnego nieba. Natężenie myśli zdradzało skupienie brwi i pionowa zmarszczka na czole.

Tych dumań również się nie przeniknie... Ale czy ona mogłaby wniknąć w niego? Pojąć całkowicie i bez reszty jego uczucia, ich siłę?... Czy ona wie, co znaczy słowo: miłość, które on, a nie kto inny, wypowiada? Nie! Nikt nikogo nie przeniknie...

Zgarbił się. Poczuł, że każdy właściwie zasklepia się sam w sobie, że bezwzględnie i zupełnie odcina się swoją istnością od innych i całego świata. Może nigdy nie przeżywał tak silnie, jak obecnie, poczucia swojej obcości wobec wszystkich i wszystkiego...

Natrętnie powracała myśl o Faleńskim. Już miał zamiar zapytać wprost, lecz przeląkł się odpowiedzi. Chciał ją wzruszyć jakimś słowem, rozczulić wspomnieniem, a dopiero potem... Czuł jednak, że nic, cokolwiek teraz powie, nie znajdzie u Wiktorji oddźwięku, i nagle zrozumiał, że słowo tylko wtedy posiada wymowę, gdy natrafi u słuchacza na podobny ton uczuciowy... Inaczej przepada, jak pusty dźwięk!

Wiktorję musiały trapić jakieś ciężkie przeżycia, bo twarz jej drgała. Kwietniowi zrobiło się jej żal. Dotknął delikatnie jej dłoni. Drgnęła i cofnęła rękę, jakby ją sparzył.

Ah, zrobi wszystko, co zechcą, byleby nie potrzebo-

wała mówić, roztkliwiać się, słuchać jakichś wywnętrzeń, błagań, zapewnień..

— Ty mnie już nie kochasz, Wiktuś?...

— Ach, czy ci nie wszystko jedno?

— Jak możesz tak mówić?....

— Przecież i tak wyjdę za ciebie! Masz moje słowo.

Wyjdę!

Zerwała się i szybkim krokiem przemierzyła alejkę. Przy domu już prawie biegła. Drzwi zatrzasnęły się za nią z łoskotem.

Kwietniowi zdawało się, że posłyszał szloch. Przypomniał sobie jej ucieczkę z pokoju przed kilku tygodniami.

— To aż od tamtego czasu? — pomyślał. — I czyżby wtedy również spowodu Faleńskiego?

Wstał błądliwy i skłonił się Walickiemu.

— Dobranoc panu!

— Dobranoc!

Od tego wieczoru jeszcze rzadziej odwiedzał Walickich. Aby zagłuszyć ból, pogrążył się w pracy, a popołudnia i wieczory spędzał na długich spacerach. Kiedy już przemyślał zagadnienie swej miłości aż do samego dna, kiedy je wysondował, rozpatrzył możliwie ze wszystkich stron, porzucając swój własny punkt widzenia i stawiając się w położenie Wiktorji, Faleńskiego, a nawet osób postronnych — nabrał do swej osoby jakiejś litosno - ironicznej pogardy.

— Jakże można nawet porównywać jego i mnie? Ja, taki mały grubas, nieefektowny, nieumiejący nawet wyrazić tego, co czuje, i on — lowelas, donżuan!

Przystawał nieraz przed lustrem i natrząsał się ze swej postaci:

— Co za okrągła gęba arbuza! I te małe zęby, rozstawione, jak sztachety w płocie!

Nie zadawał go już teraz, jak to było ongi, ogólny wyraz twarzy, na której malowała się spokojna pogoda.

Dla rekompensaty myślał o swoich wewnętrznych

zaletach. Jakże równo, głęboko i silnie kochał!... Ale cóż z tego? Nie jest błyskotliwy i nie umie swych uczuć okazać. Zresztą, czy kto potrafi zmierzyć lub zważyć uczucie?...

— Każdy jest zamknięty w swoim własnym kółku!... — przypomniał sobie przeżycia, jakich doświadczył wówczas wieczorem.

— Przychodziło mu na myśl, że góruje i pod innymi względami nad Faleńskim. Choćby w ostatniej katastrofie!... Przecież lepiej się zachował, niż tamten.... Lepiej, bardziej po męsku....

Jednakże konkluzją tych wszystkich przemyślań było:

— Miłości i tak się nie przetłumaczy...

Kiedyś, błądząc wśród pustaci żółtych hałd i nad spychami odkrywek, sam nie wiedząc jak, znalazł się blisko Krążka. Z wysokiej hałdy dom Walickich widać było tak dokładnie, jakby pływał na stawie. Kwiecień przysiadł na jakimś kamieniu i patrzył. Wtem na alejce, prowadzącej od furtki ku domowi, wyrosła sztywna postać Faleńskiego. Kroczył swym elastycznym, pewnym krokiem, z pochyloną głową...

Kwiecień wstrząsnął się, jakby porażony prądem... Ten człowiek, idący tam, to nie był Faleński — to było coś, co go dźgnęło jakby nożem w najczulszy zwój nerwów i odczuwań. Przekonał się, że zazdrość, której do tej pory właściwie nie odczuwał, jest czemś zimnem i ma stalowy ostry połysk.

— Ale ja mam jej słowo, mam jej słowo!... — chciał krzyknąć i nagle pojął swą sytuację. Sytuację bez wyjścia, zamkniętą, jak więzienna cela.

Ma jej słowo i nie ma nic. Gdyby się to słowo urzeczywistniło, to pożycie z Wiktorją stałoby się jednym pasmem udręczeń... Gdyby zaś nie, gdyby wyszła za Faleńskiego.... Nie! On nie może o tem myśleć, ta ewentualność go przeraża.

Gnał do domu prawie pędem.

Nazajutrz pracował jeszcze usilniej, z jeszcze większym natężeniem.

Szczęściem nie brakowało teraz zajęć na kopalni.

XXXI.

NA GRUZACH

„Herakles“ wracał do życia, przybierając nowe oblicze. Burzono tamy, pompy ssaly wodę z zalanych chodników — stare zroby i zachodnie pole wyłaniały się spod topieli.

Faleński postanowił kopalnię możliwie uprościć. Kasowano wiele chodników, korzystając z tego, że katastrofa je powaliła. Odbudowywano tylko niektóre, z wielu nienaruszonych wyciągano drzewo, aby się waliły, wiele zapychano kamienną podsadzką.

Niedawno przeżyte nieszczęście zmieniło stosunki. Znikły gdzieś intrygi, podstępny i małostkowy dokuczania. Cała załoga zbratała się niejako we wspólnym, zgodnym wysiłku, aby wydźwignąć „Heraklesa“ z ruiny. Faleński również inaczej teraz postępował. Starał się nikogo nie urażać, zmieniając swą sztywną uprzejmość na bardziej prawdziwą i bezpośrednią. O dawnych zataczkach zdawał się zupełnie nie pamiętać.

W rekonwalescencji kopalni było coś radosnego. Urzędnicy cieszyli się narówni z robotnikami i zapanował ogólny odświeżony nastrój. Górnicy — zazwyczaj posępni i milczący — mieli teraz moc tematów. Opowiadali o swych trudach, zmianach na kopalni, niebezpieczeństwach, związanych z reorganizacją, więc zarówno dół, jak i powierzchnia „Heraklesa“ rozbrzmiewały gwarem, śmiechem i przekpinkami.

Walicki nie podzielał radości, tem jaskrawiej odcinając się od ogólnego nastroju swą posępną zadumą.

Nie zmuszany teraz do pracy biurowej, snuł się po

kopalni, samotny i milczący. Na powierzchni nie sły-
szało się jego huczącego basu, na dole nie czynił niko-
mu uwag i niemal nie rozmawiał. Zresztą trudne było
z nim spotkanie w podziemiach, bo przeważnie wióżył
się po lezczynnych, głuchych chodnikach.

Nieraz przystawał w nich — wielki, rozrosły — i pa-
trząc w mrok, szeptał na widok usypisk:

— „Herakles“ w gruzach, ale i ja też w gruzach....

W starczem swoim skostnieniu nie dostrzegał, że
tworzy się coś nowego. Przebudowę uważał tylko za
spustoszenie, za niszczyicielstwo i patrzył na nowe po-
rządki ze zgrozą.

— Tyle lat stał, — myślał na widok walonych chod-
ników, z których wiele pamiętał od czasu ich powsta-
nia — tyle lat był potrzebny, nikomu nie wadził, a te-
raz go rabują....

Znajdował jakieś bolesne zadowolenie w deptaniu
po nieuprzątniętych jeszcze zwałach, w przełazieniu przez
wałające się w rudzie drzewo, w oświetlaniu lampą nie-
świonych usypisk i ruin starego „Heraklesa“.

Kilkakrotnie krążył wokół pamiętnej groty, jakby
go tam ciągnęła nieprzerta siła, lecz w ostatniej chwili
zawsze zbrakło mu odwagi. Aż raz się przemógł. Wszedł,
ale ręce tak mu drżały, że aż podźwiakiwała lampa....
Powoli uspakajał się. Oświetlał spong, badał, posuwając
się stopniowo krok za krokiem. Nie uprzątnięto tu jesz-
cze miału, ni gruzu. Dostrzegł jakieś wgłębienie... To
Gładysz tu leżał. Oświetlił piętro. Nadłupana deska
szczyrzyła wielkie, ostre drzazgi jak zęby. Nad nią ka-
mienie...

A tam leżał on sam, tam przeżył ten strach! Chwyta
go zimny dreszcz, groza ciągnie za włosy. Wycofuje się
tyłem, wciąż świecąc i patrząc w grootę, jakby za chwilę
miało się tam stać coś niesamowitego.

W chodniku odwrócił się. Całą siłą woli wstrzymał
się, by nie uciekać. Pierwsze kroki biegu doprowadziły-
by go chyba do szaleństwa.

Od tego jednak dnia nastąpił w nim jakiś przełom. Wspomnienie katastrofy stało się mniej dojmujące.

Kiedyś wstąpił na chodnik powietrzny. Wiatr świstał tu jak huragan, miotając syczącym płomieniem lampy, targając ubraniami.

Od powietrznego skręcała bocznicą — jedyna droga, prowadząca do kilku czynnych robót. Niedawno odtopiona spod wody była gęsto obudowana.

Walicki przystanął. Rzucił snop światła w bocznicę. W miejscach, gdzie kapy i stemple nie przylegały do siebie, widać było mokrawy, szary miał i żwir pirytowy.

— A więc jeszcze nie koniec zamieszkań na „Heraklesie“... Ten chodnik może się zapalić.

Powlókł się dalej.

Nie złożył raportu o swem spostrzeżeniu Faleńskiemu, lecz spotkawszy dozorcę Lekstona, kazał mu przestrzec przed niebezpieczeństwem sztygara. Postąpił tak nie dlatego, żeby żywił do zawiadowcy dawną urazę. To już minęło. Obecnie nabrał przekonania, że Faleński jest jakimś narzędziem kary za jego przewiny. Umocnił się w tej wierze zwłaszcza od czasu, gdy przekonał się o wielkiej miłości, jaką Wiktorja obdarzała zawiadowcę.

-- Zniszczył „Heraklesa“, zniszczył mnie, odbiera mi córkę... Za winy moje, za winy!...

W posępnych oczach rysowała mu się grota, Gładysz, Foszmanik...

— Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...

Gdy się tak tłukł po kopalni, jak widome wspomnienie przeszłych czasów, nie wywierając najmniejszego wpływu na życie „Heraklesa“, stawał się powoli przedmiotem fantastycznych opowieści.

— Z umarłymi gada! — szeptano.

— Szuka u nich rozgrzeszenia...

-- A może którego utrupił i... sumienie go ściga?

— Idźże, idź, pleciugo!

— Nic niewiadomo.

Z czasem doszło do tego, że spotkanie z Walickim na dole górniczy poczęli uważać za zły omen.

Łuczyński bacznie przysłuchiwał się plotkom i opowiadaniom, chwytając na gorąco tworzenie się legendy.

A Walicki włóczył się nadal po dole. Często przychodziła mu na myśl możliwość ognia w bocznicy. Kilkakrotnie miał zamiar, pominąwszy Kwietnia i Lekstona, bezpośrednio zawiadomić o niebezpieczeństwie zawiadowcę, lecz zaniechał tego, pochłonięty swemi wewnętrznymi przeżyciami.

XXXII.

PRZYPADEK

Zbliżał się już koniec sierpnia, a Wiktorja nie powzięła żadnego postanowienia, i wszystko trwało w zamieszaniu. Kwiecień bywał wprawdzie rzadko, ale oficjalnie nic się w ich stosunku nie zmieniło. Faleński wyraźnie się nie zdeklarował i niby to uznawał sztygara za narzeczonego Wiktorji.

Najprzykrzejsze były momenty, gdy się zeszli razem. Kwiecień tracił rezon i albo popadał w milczenie, albo z rozpaczliwą odwagą człowieka nieśmiałego zanadto rozprawiał, zająkując się nerwowo i rozwodząc zawile nad błahemi tematami.

Faleński, pewien swojej towarzystkiej przewagi, traktował go protekcjonalnie i zlekka ironicznie. Wiktorja w takich wypadkach zachowywała zimną obojętność wobec docinków, płynących w kierunku oficjalnego narzeczonego, a czasem śmiała się nawet z dowcipów inżyniera.

Podczas jednego z takich spotkań, Kwiecień pożegnał się wcześniej. Szedł do domu zdenerwowany, z wypiekami na twarzy.

— Nikt nie ma odwagi decyzji, nikt! Ten tylko strzela dowcipami i pobłyskuje triumfalnie swemi binoklami... Ona... Hm, ona... Ale ja też nie mam odwagi Ah, żeby to się już raz skończyło!

Po raz niewiadomo który zjawilo się pytanie: „Ale jak“? i jak zawsze nie znalazł na nie odpowiedzi. Przystanął i wpatrzył się tępym wzrokiem w gwiaździsty wieczór.

— Sam nie znajdę wyjścia!... Żeby jaki przypadek rozstrzygnął, ach, Boże, żeby jaki przypadek!

Całą noc nie spał. Rano robił zapis sennie, a po dole chodził powoli.

— Wstąpię na powietrzny. To mnie orzeźwi, Zresztą — przypomniał sobie — któryś z dozorców, Lekston, zdaje się, mówił mi... Co on mi to mówił? Aha, że Walicki o tych pirytach w bocznicy...

Wiatr prześwistywał mu ubranie i miotał płomieniem karbidówki. Szttygar szedł przeciw prądowi powietrza i naraz poczuł ostry zapach siarki.

— Cóż to znaczy, u djabła, czyżby?...

Przyśpieszył kroku, wiatr przyniósł mu gwar zmieszanych głosów. Zdawało mu się, że poznał głos Faleńskiego, Lekstona i jakieś inne. Za chwilę dostrzegł światła kilku lamp. Widocznie i oni zauważyli jego światło, bo Faleński zawołał:

— Kto tam? "

— Kwiecień!

— Szybko, szybko! "

Nie zdążył dobiec, gdy z małego przelazku wypadł Walicki. Wielki kapelusz spelzł mu na tył głowy, spod ronda spływały zwichrzone włosy. Niosło go przerażenie.

— Panie Lekston! — krzyczał — panie Lekston!

— Jestem!

— Mówił pan? Meldował?

— Tak!

— I nic nie zrobili, nie zapobiegli? Moja wina, to ja tych sześciu ludzi!... — krzyczał głośno, z nieprzytomną rozpaczą.

— Niech się pan uspokoi, panie nadsztygarze! — zawołał Faleński.

— Moja wina! Ja muszę iść, muszę dać znać... Tam sześciu ludzi!... — darł się naprzód.

Faleński powstrzymał go:

— Ależ w głębi bocznicy za chwilę buchnie żywy ogień!

Jakby na potwierdzenie tego z piętra na spong spadły czerwoną wstęgą pierwsze gorejące kamyki. Buchnął biały dym, ale chodnik powietrzny porwał go i rozmiótł na szmaty.

— Trzeba tu z boku tamę... — zaczął Faleński.

— Na nic! Gdy ustanie ciąg, gazy nie będą odchodziły z bocznicy i tamtych poduszka. Ja muszę! Jeszcze jest czas...

Do chodnika nadbiegali ludzie. Walicki rozejrzał się po nich.

— Słuchajcie! — zawołał. — Śmierci tamtych, wtedy... to ja nie winien, chociaż... No, nic. Ale tych to ja na zgubę wydaję, ja przez swoje niedbalstwo!... Powinienem był zameldować zawiadowcy, a nie polegać na Lekstonie! Puszczajcie!

Postąpił ku bocznicy.

Wtem Kwiecień krzyknął:

— Panie nadsztygarze, chwileczkę! Idę z panem!

— Nie trzeba!

— Idę!

Zwrócił się do Faleńskiego:

— Ja pana przepraszam na momencik. Proszę za mną, proszę za mną! — oczy gorzały mu niezwykłym podnieceniem, ruchy nabrały gwałtownej niecierpliwości.

— Czego pan sobie życzy? — spytał zawiadowca,

gdy sztygar przystanął, odwiódłszy go kilka kroków od zbiegowiska.

— Panie inżynierze, pan kocha Wiktorję?

Faleński spojrział jak na warjata:

— Też wybrał pan sobie miejsce...

— Pytam krótko, bo czas nagli.

— Więc gdyby nawet, to...

— Zatem tak! Pan wie, co mnie z nią łączy... Ja mam jej słowo, ale ona nie mnie kocha, lecz pana. Ja nie umiałem rozstrzygnąć, modliłem się o przypadek...

— Nic nie rozumiem!

— Zaraz, zaraz! Pójdę z Walickim: jeżeli nie wrócę, to pan z Wiktorją będziecie dla siebie... Lecz jeśli wrócę, to wara panu od niej! Wara!... — wpił się palcami w ramię inżyniera.

Faleński chciał uwolnić rękę z żelaznego uścisku.

— Nie, nie puszczę pana! Pan mi da słowo, że przyjmuje warunki.

— Co pan?....

— Panie Faleński, pan jest człowiekiem honoru. Pan widzi, że ja w obliczu śmierci mówię! To nie są żarty: tam ogień i może śmierć...

Faleński opuścił głowę.

— Więc słowo? — napał Kwiecień.

— Słowo! — wymruczał inżynier.

Kwecień odwrócił się i rzucił w chodnik radośnie!

— Panie nadsztygarze, idę z panem!

Światło lampy Walickiego migotało już gdzie daleko w głębi bocznicy. On sam garbił się w niskim chodniku, znikając za zakrętem.

— Idę, idę!... — Kwecień zakrył twarz rękami i pośpieszył, aż echo zadudniło.

Obecni patrzyli na siebie zdumieni. Powoli wszystkie oczy zwróciły się na Faleńskiego. Kopalni przybyła nowa tajemnica.

— Czy oni zdążą? -- spytał.

— Bóg raczy wiedzieć! — zamamrotały głosy.

Coraz częściej sypał się z piętra tlejący piryt. Na spongu żarzyły się drobne kamyki, a od nich wznosiły się w górę białe dymy. Powoli chodnik zaczął się jarzyć czerwienią.

Wicher powietrzny porywa gorące dymy i gna na północ. Chociaż znajdują się z innej strony wylotu bocznicy, staje się tu coraz duszniej i goręcej.

Mija dziesięć minut, piętnaście, dwadzieścia.

— Już pewnie doszli do robót...

— Napewno! Już wracają z tamtymi.

Wtem rozległ się trzask drzewa, łomot walenia się piętra, a gryzący dym jak obłok wtargnął w gardziel powietrznego. Jeszcze moment i bocznicą runęła z gruchotem.

— Po nich!

— Tak....

Faleński sztywnym krokiem ruszył ku podszybiu. Wszystkie środki ratunku zawiodły...

Ciała ofiar wydobyto dopiero po kilku dniach tak zwęglone, że ledwie je można było rozpoznać. Zwłoki znajdowały się o kilkadziesiąt kroków od wylotu bocznicy. Jeszcze kilka minut, a byłiby ocaleni.

Był to ostatni ogień na „Heraklesie“...

XXXIII.

OSTATNI RAZ

Faleński przez kilka tygodni nigdzie się nie wychylał poza dom i kopalnię. Ostatnia katastrofa wywarła na nim wstrząsające wrażenie, zwiłkawszy przytem jego sprawy osobiste.

Aż do rozmowy z Kwietniem nie był właściwie zdecydowany na małżeństwo z Wiktorją. Teraz również

zwlekał z terminem ostatecznego kroku. Postępował tak z wielu względów, a przede wszystkim ze względu na Wiktorję, która śmierć ojca przeżyła tragicznie.

Prócz tego musiał definitywnie zerwać z Przecławską, a na myśl o scenach zazdrości, o wymówkach, docinkach, ogarniał go taki niesmak, że odkładał swą ostatnią wizytę z dnia na dzień i w ciągu dwóch miesięcy nie odwiedził jej ani razu.

Irena wiedziała, jak sobie tłumaczyć jego postępowanie. Znaleźli się usłudźni, którzy zawiadomili ją o wszystkim. Przedtem — jeszcze w lecie — podobnie, jak Kwiecień, widywała tamtych oboje na spacerach. Początkowo bolała ją zdrada Faleńskiego, teraz nad ból wydzwignęła się duma.

— On traktował mnie, jak nałożnicę! — wołał w niej głos zranionej ambicji.

Przypominała sobie, że latem, tuż po pierwszej katastrofie, Faleński wpadał do niej zwykle popołudniu, bawił krótko, a na wieczór zawsze się dokądś wymykał.

— A więc wprost ode mnie szedł tam!

Zalewała ją fala oburzenia....

— Nie istniał dla niego cały ogrom uczuć!

Palił ją wstyd. Jak mogła komuś podobnemu poświęcać tyle miłości.

Oczy traciły wyraz rozmarzenia i paliły się iskrami zimnej pogardy.

— Okropne!

Mimo to gdzieś tam na dnie odczuwań tkwiła nieśmiała nadzieja, że jednak, że może...

A gdyby naprawdę powrócił?

— Jeżeli tylko jako kochanek, to poszedłby precz! — brwi zwierają się mocnym postanowieniem na zmarszczonem czole.

— Gdyby inaczej... — i naraz Irena uświadamia sobie, że przecież przez cały czas bywał u niej jako ognisty wielbiciel, nigdy nie dostrzegając w niej człowieka.

O zrozumieniu się wzajemnem marzyła tylko ona — on nawet tego nie pragnął... Nudziła go swoją osobą.

Znów w uszach świszczące uwłaczające słówko:

— Nałożnica!

Przychodziły jednak chwile, gdy duma milkła, a do głosu dochodził żal. Wówczas gnębiło ją bolesne uczucie doznanego zawodu, lecz co dziwne — bolała wtedy nad rozstaniem się nie z Faleńskim, lecz z marzeniami, które łączyła z jego osobą.

— Czyż ja kochałam nie jego, lecz swoje wyobrażenie o nim? Czy wobec tego istnieje miłość?...

Z nadejściem słotnej jesieni, Irena całe dni spędzała w domu. Wbita w kąć kanapy, z nogami na pluszowym siedzisku i z książką w ręku patrzyła przez małe okienko na rozdeszczony, szary świat.

Któregoś dnia w połowie listopada ktoś zastukał do drzwi.

— Proszę!

Wszedł Faleński. Zjawienie się jego było tak niespodziewane, że serce w Irenie zatłukło się, jak w pułapce.

W myśl dawno powziętych postanowień nie odzywała się ani słówkiem.

— Nic mu nie ułatwię, niech sam wyjąka...

Wodziła za nim oczami, szukając śladów jakiegoś zażenowania, ale napróżno. Zachowywał się początkowo dość swobodnie. Na przywitanie pocałował ją w rękę i, przysunąwszy sobie krzesło, usiadł naprzeciwko niej.

Uporczywe milczenie zbiło go jednak nieco z tropu.

Przedewszystkiem nie wiedział, czy mówić jej, jak zawsze, po imieniu, czy tytułować „pani“. Wybrał to ostatnie.

— Zapewne doszły panią różne wieści, co się tutaj dzieje?

Milczenie.

— Choćby o ostatnich wypadkach, może o mnie? — zawiesił głos, jakby czekając pytania, ale Irena i teraz nic się nie odezwała.

— Czy pani postanowiła milczeć, pani Ireno?

— Nie! Czekam tylko na te wieści.

— Jakto, nic pani nie słyszała o ostatniej katastrofie?

— Fiu!.. To dopiero nowina, sprzed trzech miesięcy!

— Z tem jednak wiążą się inne.

— Słucham!

— Pani Ireno! Mogłem to załatwić piśmiennie, że jednak tak dużo wiąże nas wspólnych przeżyć, przyszedłem osobiście.

— Zatem szlachetność wiodła tu pana kroki?

Usłyszawszy to ironiczne zdanie, Faleński niemal się ucieszył. Najbardziej obawiał się płaczu i sentymentalnych uniesień.

— W samo sedno pani trafiła!

— Bardzo się cieszę i czekam dalszych wieści.

— Te dalsze będą przykre... Mianowicie jestem tu ostatni raz.

— Przykreść dotyczy, oczywiście, pana?

Zaczerwienił się.

— Naturalnie! Ale skoro dla pani nie jest to przykreścią, zwalnia mnie pani od długiego rozwodzenia się, z czem tu przyszedłem, i powiem krótko...

— Słucham!

— Jestem zaręczony z panną Wiktorją Walicką...

— Czy i tym razem powodował się pan wzniosłą szlachetnością?

— Tak! Mogę panią zapewnić, że sztych jej ironji trafił teraz w próżnię.

— No?

— Zostałem związany słowem i, żeniąc się, dotrzymuję właśnie słowa.

— O, aż tak?..

— Tak!

— A komuż to pan dawał to słowo?

— Nie mogę powiedzieć...

— Może jej ojcu, który pana tak cenił?... A może

Kwietniowi?... Tak, pewno jemu!.. Gdy szedł na śmierć, prosił pana usilnie, aby się pan zaopiekował jego narzeczoną... Pan zaś ze szlachetnym patosem: „Młodzińcze, giń spokojnie! Już ja ci się nią zaopiekuję!“ Co? Tak było? Co? Ha, ha, ha...

Faleński siedział sztywny i zmarszczony.

— Proszę pani nie poruszać tego tematu!

— Tematu pańskiej szlachetności?

— Nie! Tematu mojego słowa.

— A któż to zaczął? Czy ja pana wogóle o co pytałam?..

— Istotnie! Niepotrzebnie mówiłem. Mogłem tylko stwierdzić, że nie pasowaliśmy do siebie, i na tem skończyć.

— Ah, niech mi pan oszczędzi banałów! W ten sposób mówi każdy...

— Pani taka doświadczona? Czyżby więc i Targowski?.. — błysnął złym uśmiechem i binoklami.

— No, nareszcie, mówi pan po swojemu, po męsku! Cóż tego trzeba było zacząć! Od samczej zazdrości! Trzeba mnie było odrazu splugawić! Splugawić wbrew temu, w co się wierzy, bo przecież pan dobrze wie, że ja Targowskiego nie kochałam.

— Alem go przyhołubiła!

— Wstrętny pan jest z tą swoją męską wyższością, która chlubi się takimi triumfami, jakich kobiecie zakazała, która sobie w tej chwili, teraz, wybacza to, co mnie zarzuca...

— Doprawdy! Mężczyźni są wstrętni... — cedził z sarkazmem.

Irena zeszkoczyła z kanapy i, mierząc go spojrzeniem od stóp do głowy, powiedziała dobitnie:

— Ma pan rację, są tak wstrętni, że nie życzę sobie rozmawiać nadal z jednym z ich przedstawicieli.

— Jak to mam rozumieć?

— Wyraźniej powiedzieć nie umiem.

Faleński, czerwony, jak lawa, skinął głową i wyszedł z pokoju.

Słyszała jego kroki na klepisku sieni... Potem otwieranie drzwi i szelest charakterystycznego energicznego stąpania po żwirze. Obudziło to w niej echa przeszłości, marzeń, uczuć. Zrozumiała, że był tu ostatni raz, i nagle ciemne płaty zamigotały w jej oczach.

— Ostatni raz...

Wolno opuściła się na kanapę.

Faleński wyszedł z uczuciem spoliczkowanego.

— Kodeksy honorowe piszą mężczyźni, ale trzeba przyznać, że są głupie! Ponoć policzek od kobiety nie dyskwalifikuje, a więc nie godzi w honor, a tymczasem!... Brr...

Otrząsnął się, jakby chciał tym gestem spłókać dojmujące uczucie niesmaku.

— Do diabła z temi babskimi historjami!...

Wiele razy w życiu nawiązywał i zrywał miłostki, ale żadne dotąd przejście nie pozostawiło po sobie posmaku jakiegoś haniebnego czynu.

Irena po uspokojeniu się napisała podanie do kuratorium, prosząc o przeniesienie od półroczna do innej okolicy.

Odłożyła arkusz i obracając w ustach koniec obsadki, usilnie szukała w myśli kogoś, kto mógłby ją protegować.

— Mam!.. — ucieszyła się, przypominając sobie jakiegoś zasuszonego w aktach potentata kuratorskiego. — Przecież jego żona to moja szkolna koleżanka.

Dnie upływały teraz na wyczekiwaniu odpowiedzi. Irena codziennie chodziła na pocztę. Szczęściem wkrótce chwyciły mrozy i spętały rozlane błota, oraz bajora polnych dróg. Niedługo spadł pierwszy śnieg.

Kilkakrotnie spotkała Targowskiego. Kłaniał się zdaleka z tą swoją przesadną elegancją i mijał ją w milczeniu.

Odpowiedź otrzymała tuż przed ferjami Bożego Narodzenia. Przenoszono ją do Wolbromia.

Była tak uszczęśliwiona, że wracała na Wodącą, jak wcielenie radości. Tym razem Targowski podszedł się przywitać.

— Wesele bije od pani, jak luna. Czy można panią odprowadzić, żeby się zanurzyć w tej łunie?

— Owszem, ale pod warunkiem!

— Słucham!

— Że nie będzie pan mówił o miłości.

Targowski westchnął.

— Ha, przyjmuję... Czy miłość aż tak mocno pani dokuczyła?

— O, tak!

— Ja uprzedzałem...

— Ah, panie, — uśmiechnęła się, — już pan łamie warunek!..

— Milczę i zaczynam o czym innym.

— Proszę!

— Czemu przypisać ten pani świetny humor?

— Temu, że nareszcie porzucam Wodącą.

○ Brwi Targowskiego uniosły się do góry.

— Tak? Od kiedy?

— Za kilka dni, gdy się rozpoczną ferje.

— — — — —

W pogodny mroźny dzień, wyładowane domowemi sprzętami sanie posuwały się szosą w kierunku Bukowna. Targowski roztoczył nad Ireną w ostatnich dniach troskliwą opiekę. Odprowadził ją na stację, kupił bilet.

Przed nadejściem pociągu pochylił się ku niej i spytał cicho:

— Pani Ireno, nie łamałem dotąd warunku, więc wolno mi się teraz spytać, czy zachowa mnie pani w pamięci?..

Patrzył tak, jakby miał usłyszeć wyrok. Wchodziła tu w grę jego męska duma... Widząc ten wzrok, Irena odpowiedziała:

- Naturalnie, że zachowam.
- Zatem kochała mnie pani troszeczkę?..
- Może, może...
- Dziękuję pani!
- Ucałował jej rękę.

Istnieje specjalna melancholja i smutek odchodzących pociągów. Z uczuciem tego specyficznego smutku patrzył Targowski na migające na odległym zakręcie wagony i na rozwiewający się dym lokomotywy, aż póki pociąg nie zniknął w paszczy lasu.

- Ostatni raz!... — mruknął.

Szedł do domu po równej wyślizganej szosie. Ośnieżone pola spały w jasnej zimowej ciszy.

- Mój Boże, ile się tu zmieniło...

Dostrzegł w dolinie swój dom. Anielka w białym zimowym paltociku, z szyją opatuloną szalem, szła swym powolnym, ostrożnym krokiem na spacer.

Serce Targowskiego wezbrało nagle przyływem ojcowskiej miłości.

- Córeczko! — zawołał.
- A co?
- Poczekaj na mnie!

Ciepła ręka pogładziła zmarzły policzek, a oczy wpały się w zaczerwienioną twarzyczkę. Anielka zdziwiła się.

- Co się tatusiowi stało?

— Cóż mi się miało stać? Kocham cię i tyle! Do tej pory nie miałem czasu zajmować się wami. Teraz wszystko się zmieni. Skoczno zaraz po saneczki, pojeździmy sobie z góry!

Pani Targowska, dostrzegłszy ślizgających się, stanęła zdumiona przy oknie:

— Co go tak odmieniło, co go odmieniło?.. — myślała.

PO STAREMU

Dwaj przyjaciele — Rzuchowski i Łuczyński — bo-
czyli się przez pewien czas na siebie, co wyrażało się
przedewszystkiem w tem, że pili oddzielnie. Ponieważ
w Bolesławiu były tylko dwie knajpki, gdy więc Łu-
czyński łykał swe sakramentalne cztery wódki i cztery
piwka u Lubowicza, Rzuchowski dokonywał tego obrząd-
ku u Marchewki. Przez jakąś milczącą umowę zmieniali
lokal co drugi dzień. Najgorzej wychodził na tem Lubo-
wicz, to też myślał zrosyjska po polsku:

— Żeby się którego dnia chociaż jedna z nich cha-
ljera pomyliła, ot, i byłoby w porządku. Niech się tylko
raz zejda, a potem i batem nie rozgonisz!

W jakiś słotny dzień późnej jesieni Łuczyński mar-
szczył się i sapał ponad zwykłą miarę.

— Wie pan, panie Lubowicz, co panu powiem?

— Czwarte piwko!... Już się robi.

— Nie, panie! To jest rzecz tak zrozumiała, że szko-
daby języka na ćwierkanie... Co innego chciałem powie-
dzieć.

— Mianowicie?...

— Że ten Rzuchowski to cymbał, ale bez niego je-
szcze nudniej.

W tym samym czasie w szyneczku Marchewki Rzu-
chowski bardzo niespokojnie kręcił się na krześle, my-
śląc:

— Jak tu tak ciągnąć tę gorzałę w samotności? To
nawet nie wypada człowiekowi w pewnym wieku i na
pewnym stanowisku.

Zwrócił się do właściciela:

— Panie Marchewka, dajno pan ten czwarty kieli-
szek.

— Służę panu!

— Marne u pana to wódczysko! Pół na pół wody pan dolewa i chce pan mieć klientelę. Wszędzie woda, psiakrew!.. Szyby mażą się od deszczu jak bachory, na dworze woda i w kieliszku Marchewki woda! Czy ja się tu kąpać przyszedłem, u diabła?

— Co też pan mówi? Wódka mocna! Wszyscy tu piją: panowie z gminy, urzędnicy z biura, wszyscy!

— Ale się jeszcze nikt nie upił?

— Jakto nie? — oburzył się Marchewka. — Nie dalej jak wczoraj pan Głowacz tak się schlał, że go w czterech wynosili. A co się nakopał, napluł dookoła, to trudno wypowiedzieć!

— Pańską wódką się spił?

— No, a czyją?

— Łziesz pan, panie Marchewka! Zapłacę i idę do Lubowicza!

Od tego dnia przyjaciele pili razem i gawędzili po staremu, chociaż Łuczyński ostatnio coś zramolał. Kiedyś zimą zwrócił się do markszajdra:

— Wiesz, którego dziś mamy?

— Dwudziestego lutego.

— I nic ci ta data nie mówi?

— Nic!

— Przecież to jest rocznica balu! Mój Boże, popatrz się ty, ile się tutaj zmieniło...

Rzuchowski westchnął:

— Tylu ludzi pod ziemią: Walicki, Gładysz, Foszmanik, Kwiecień, tamtych sześciu...

— I powiedz, czy to było potrzebne?

— My tu też ponosimy część winy...

— Co my, jacy my? Powiedz: baba! Targonius inspirował, bo mu szło o Iruchnę.

— Ona podobno wyjechała?

— „Podobno!“. Już miesiąc temu! Ano, jak Faleńsio do Wikci się przymerdnął, to tamta smyk!.. Jak to się dziwnie plecie... Faleński z Wiktorją! Żeby to nieboszczyk wiedział...

Ilekró Łuczyński mówił o Walickim, zawsze się nieco wzruszył. Tak było i tym razem. Przełknął więc szybko kieliszek i zamruczał:

— Starzeję się!..

— Chyba ci już czas...

— Czas nie czas, ale się starzeję, bo ile razy myślę o Zygmuncie, zawsze mnie coś za grdykę łapie! Nie o tem jednak chciałem mówić, tylko o zmianach. Bo to jest dziwna rzecz...

— Co?

— A z temi zmianami! Przecież one dotknęły tylko ludzi. Zakotłowało się, zamieszało między nimi, a „Herakles“ pozostał taki sam i jego prawo wciąż głosi: „Do zrobów nie wściecie, bo trzepnę!“.

-- „Herakles“ też się zmienił..

— Et, tyle co nic. Podsadziliśmy trochę chodników, trochę zarabowali, i kwita! Można tego było dokonać bez ofiar i śmierci. Tylko, że młodość zawsze chce pokazać swoje. Na łbie stanie, aby dowieść, że potrafi lepiej i inaczej! Zwali, zniszczy, stratuje stare, jak dziki byk, bo jej się zdaje, że od niej się dopiero świat zaczyna!.. Złudzenie, złudzenie...

— Tak musi być, bez tego wszystko stałoby w miejscu...

— W to nie wchodzę. Ot, patrzę sobie i mówię. A im dłużej obserwuję, jak się ten świat kręci dokoła Wojtek, tembardziej się przekonuję, że wszystko dzieje się przez ambicję.

— Nietylko...

— Zapewne! Kręci światem i miłość, i chciwość, i przypadek, ale najważniejsza jest ambicja. Bo to jeden z drugim chce pokazać, co to on znaczy. „Ja“ i „ja“! Nie rozumie smerda, że w gruncie rzeczy jest takim samym, jak miljarady poprzedników i współżyjących, i tak samo skończy tam, na cmentarzu...

-- Cóżes taki sentymentalny?

— Dobrześ powiedział: sentymentalny! Ale czy ty nie? Po nieszczęściu inaczej się na życie patrzy. Człowiek staje się jakiś lepszy, czy co?

— Może powiesz, że nieszczęście jest potrzebne?

— Jeszcze jak!

— Idź-że, idź!.. Wolałbym, żeby nie istniało. Bardzo nikłe z niego korzyści.

— Tak się zdaje!

— Powiedzmy, że narazie człowiek staje się lepszy, ale rychło o nieszczęściu zapomina i wraca do swojego.

— Tybyś zaraz chciał aniołów! A to nie o to chodzi... Chodzi o rachunek sumienia, o te chwile, kiedy jest lepszy, i o te postanowienia...

— Zwykle postanowi, a nie dokona...

— I tak dobrze... Panie Lubowicz!

— Rad jestem starać się!

— Jeszcze po jednym!

— Koniecznie! Bóg trójkę lubi!

Rzuchowski wypił i rzekł:

— Strasznie ci się na filozofję zebrało, widzę...

— A bo jakoś tu zszarzało i niema o czym paplać.*

Ponoż nawet Targonius zrobił się przykładnym ojcem i małżonkiem.

— Może powiesz, że też przez nieszczęście?

— Myślisz, że nie?

— Pewno! On się katastrofą specjalnie nie przejął!...

— Co ty wiesz? Napewno nie mniej od nas... Przytem miał swoje własne przejścia.

— No?

— Zerwanie z Ireną!

— Od takich rzeczy się nie umiera...

— Nie mów z taką pewnością, nie mów!... Panie Lubowicz!

— Już lecę! — wódka zagulgotała w butelce. — Po dwa na jedną nóżkę!

Łuczyński zamyślił się.

— Ciekawe, — podjął po chwili — co też Kwiecień mówił wtedy Faleńsiowi? Ci, co widzieli, twierdzą, że po rozmowie był bardzo rad i leciał w chodnik, jak na wesele... Ciekawym, co to też?...

— Tego się chyba nigdy nie dowiesz...

— Mam wrażenie, że zginął z przyczyny, o której mówiłeś przed chwilą, że się od niej nie umiera.

— Może...

— Panie Lubowicz!

— Rozumiem: piwko!

— Są jednak szczęściarze! — stwierdził Łuczyński.

— Mówisz o Faleńskim?

— Tak! Chociaż djabli wiedzą, jak się czuje taki facet, co dostał narzeczoną po samobójcy.

— Czy oni napewno się pobiorą?

— Ty się pytasz? Naturalnie! Jeszcze się na weselu spijemy, jak bele!

— Ciekawym, czy ona wie o tej rozmowie?

— Wątpię! Są rzeczy, które się chowa w sobie na zawsze. Są takie tajemnice! Co tu dużo szukać? Naprzykład, Walicki uniósł z sobą do grobu to, co się działo w grocie za pierwszej katastrofy.

— Tak, tak...

— No, rąbniemy jeszcze piwka?

— Ma się rozumieć, przecież musimy zachować normę, a to będzie dopiero drugie.

Stuknęli się kufłami i umilkli na dłuższą chwilę...

XXXV.

KAMIENNA PŁYTA

Był cudowny październikowy dzień. Świat chylił się do snu zimowego, mieniając się kolorami zamierania i osnuwając głuchą ciszą.

Młodzi Faleńscy wracali z krótkiej podróży poślub-

nej. Konie szły ostrego klusa od Olkusza. Z góry staro-olkuskiej daleki „Herakles“ rzeźbił się w czystym powietrzu dziwnie dokładnie i wyraźnie: żółte hałdy, skrzyżale odkrywek, zabudowania i prosta wieża szybu wyciągowego. Czarny dym snuł się z komina prostym słupem i rozwiewał coraz szerszy, bledszy, aż wsiąkał w błękit.

Na widok „Heraklesa“ Faleński uśmiechnął się.

— Idzie, jak wyregulowany zegarek!... — pomyślał. — Nic dziwnego, poznałem jego tajniki.

Złapał się na tem, że jest zupełnie zadowolony ze swojego obecnego losu... Gdzież jego ambicje, gdzie postanowienia? Czy już osiadzie tu — żonaty i stateczny — nie dążąc do wybicia się?

Myśl ta, jak smuga, zaćmiła na chwilę jego jasne samopoczucie.

Poczuł na swej ręce ciepłą, miękką dłoń Wiktorji.

— O czym tak дума mój pan i małżonek?

Sklonił głowę szarmancko i odrzekł z uśmiechem:

— Przedewszystkiem o tobie...

— A następnie?

— Następnie?... Bo ja wiem? O życiu, o „Heraklesie“...

... Przymińsz pod tym względem ojca...

— A tak!... Ojciec też był przywiązany do „Heraklesa“. Wiem coś o tem...

Skręcili na powrót, wiodącą do Krążka... Biegła wzdłuż cmentarza. Przy jednym z grobów klęczała jakaś postać w czerni z głęboko pochyloną głową.

— Gładyszowa... — szepnęła Wiktorja.

— Tak!

— Wiesz co, Zen? Wstąpmy na grób ojca!

Ścigaj przystanął.

Gładyszowa, zobaczywszy młodych z daleka, powstała i wolno skierowała się ku bramie.

Mogily ofiar katastrofy mieściły się jedna koło drugiej. Wiktorja uklękła i modliła się żarliwie. Faleński

stał z boku. Gdy podniosła się z klęczek, wzrok jej padł na świeżą marmurową płytę grobu Kwietnia.

— O, patrz, nie widziałam tej płyty! Widocznie niedawno ją tutaj umieszczono.

Oczy prześlizgnęły się po wykutych w marmurze literach:

ś. † p.

Józef Kwiecień

sztymar kopalni „Herakles“

zginął śmiercią bohatera, trwając na posterunku.

Żył lat 28.

— ...śmiercią bohatera... — przeczytała raz jeszcze.

— Ciekawam, kto kazał ustawić tę płytę?

Po twarzy Faleńskiego przebiegł lekki rumieniec:

— Ja!

— Ty? — zdziwiła się.

— Tak... — a po chwili dodał. — I napisałem prawdę.

Przytuliła się do jego ramienia:

— Ty zawsze byłeś szlachetny!...

Objął ją wpół i wolno ruszyli ku domowi.

Ścigaj, widząc, że państwo nie wsiądą do powozu, cmoknął na konie.

— Tak to jest na tym świecie, tak! — myślał. — Starzy se gniją na takim pagórku, a młodzi się ściskają! Tak jest i tak będzie aż po wiek wieków...

K O N I E C.



SŁOWNIK

WYRAZÓW TECHNICZNYCH i GWAROWYCH

„*Barburka*“ — wypłata na dzień św. Barbary, patronki górników.

Bono — dno szybu.

Dołowe ubranie — technicy, idąc na dół, wkładają specjalne, zwykle nieprzemakalne ubrania.

Dołowa szkapa — konie pracujące w kopalni pozostają zwykle w podziemiach do śmierci. Gdy jednak zdarzy się wydobycie konia na powierzchnię — wówczas światło dzienne tak go razi, iż koń zdaje się szaleć.

Dukla — mały szybik, prowadzący zwykle z poziomu na poziom.

Feszta — strop chodnika, to samo co piętro.

Filar — robota górnicza, miejsce, gdzie wydobywa się minerał.

Galman — ruda cynkowa.

Górník przysięgły — do uwłaszczenia chłopów górnicy na rządowych kopalniach zwalniani byli z wojska, za co przysięgali pracować w kopalni przez określoną ilość lat. Gdy górnik przysięgły nie stawiał się do pracy, sprostowano go siłą.

Hałda (w wymowie zagłębiowskiej „hołda“) — zwały mialu i kamieni, wydobytych z kopalni.

Haszpel — kołowrót, podobnie jak przy studniach.

Ja! — gwarowe „tak“.

Kapa — deska lub okrągłak wsparty na stemplach i podtrzymujący strop chodnika.

- Kilofek* — laska górnicza o ostrej, metalowej rękojeści.
- Kurzawka* — piasek z wodą, zalewający kopalnię.
- Markszajder* — geometra górniczy.
- Numer* — mniej więcej to samo, co filar, miejsce wydobywania minerału.
- Piętro* — strop chodnika.
- Piryt* — iskrzyk, związek siarki z metalami.
- Pochylnia* — chodnik biegnący pochyło.
- Podsadzka* — materiał, którym zapełnia się opróżnione chodniki, żeby się nie waliły.
- Podszybie* — miejsce przecięcia chodników z szybem.
- Przecinka* — mały, wąski chodnik łączący większe.
- Przodek* — zakończenie chodnika, miejsce wydobywania minerału.
- Rabować się* — walić się.
- Spong* — dno chodnika.
- Szleper* (w wymowie tamtejszej śleper) — pomocnik górnika, ładowacz, ciskacz.
- Szlus* — zakończenie rachunków, jakie sztygarzy przedstawiają co miesiąc zwierzchnikowi kopalni.
- Tąpać* — walić się. Tąpanie, zjawisko geologiczne, polegające na obrywaniu się wielkich odłamów skalnych.
- Wiertarka* — mechaniczny świder, działający zapomocą zgęszczonego powietrza.
- Wydział mechaniczny* — robotnicy tego wydziału mają się za arystokrację kopalnianą.
-

SPIS ROZDZIAŁÓW:

	Str.
I. Ludzie „Heraklesa“	5
II. „Herakles“ sam	19
III. Żona i kochanka	25
IV. Dawna miłość	33
V. Barbarka	45
VI. Tu i w głównem biurze	57
VII. Przyjazd	61
VIII. Pierwsze posunięcia	66
IX. Przygotowania	78
X. Bal	82
XI. Przed zaśnięciem	92
XII. Rozterka	99
XIII. Dwa obozy	106
XIV. W szynku	109
XV. W restauracji	118
XVI. Turbacje	124
XVII. Na polu Targowskiego	132
XVIII. Samotna ścieżka	143
XIX. Wieczorem i nazajutrz rano	148
XX. Rodzeństwo	156
XXI. Starość i młodość	166
XXII. Brzoza i akacja.	178
XXIII. Po burzy.	182
XXIV. Zjazd	190

XXV.	Na dole	198
XXVI.	Błysk oczu	206
XXVII.	Milcząca grota	215
XXVIII.	W świat	223
XXIX.	Boże, bądź miłościw...	228
XXX.	Tajemnica	230
XXXI.	Na gruzach.	237
XXXII.	Przypadek	240
XXXIII.	Ostatni raz	244
XXXIV.	Po staremu	252
XXXV.	Kamienna płyta	256

JAN WAŚNIEWSKI

„NA PODSZYBIU”

Cena zł. 5.—

Dedykacja jaką autor zamieścił na czele swej powieści górniczej, wskazuje, iż pochodzi on ze środowiska górniczego, że zatem środowisko to zna; „Na podszybiu” zaś dowodzi, że je również głęboko rozumie, że z niem współczuje, że prawdopodobnie z ojcem swym „który od lat czterdziestu walczy z żywiołem podziemnym”, umiał podzielić niejedną dolę i niedolę surowego i ryzykownego żywota górnika.

Głęboka znajomość i zrozumienie duszy „podziemnych” bohaterów — oto główny walor tej książki, napisanej ze wzruszającą prostotą, bez cienia przesady, bez jakichkolwiek sztuczek efekciarskich; zamiast nich przemawia z kart tej powieści szlachetny patos twardej pracy i cichego, lecz tem piękniejszego bohaterstwa, w którym się ryzykuje życiem i wreszcie życie się oddaje. Postacie nadsztygara Kossobudzkiego i dozorcę Stawińskiego są tych cnót górnika świetnymi przedstawicielami zarysowanymi przytem przez Waśniewskiego umiarkowanie i przekonująco: to nie są papierowi bohaterowie powieści, to żywi ludzie, z którymi czytelnik, czytając „Na podszybiu”, przechodzi zdaje się, przez znój pracy, przez mękę bezrobocia i przez triumf bohaterstwa.

Na drugim planie swej powieści, której zasadniczym tłem jest oczywiście, życie górnicze, porusza jeszcze autor sprawę współżycia dwóch współczesnych pokoleń, starego i młodego. Notujemy to na tem miejscu, gdyż kwestję tę, jakkolwiek drugoplanową, potraktował autor ze swadą i wnikliwością. W jego trafnej ocenie młodzież, wchodząca dziś w życie, jest pracowita i przedsiębiorcza, lecz do gruntu zmaterjalizowana, nierozumiejąca zupełnie szlachetnego idealizmu swych ojców-romantyków. Na tem tle dochodzi nawet do konfliktów, których rozwiązaniem jednak autor wystawia pochlebne świadectwo młodym.

Dobra powieść, napawająca wiarą w istotne, dodatnie wartości życia.

„Polska Zbrojna” z dn. 9.X.1932 r.
(J. K.)

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

MELCHJOR WAŃKOWICZ

SZCZENIĘCE LATA

Nowa Serja Roju — cena zł. 3.—

„Szczenięce lata” dają antytezę dwóch dworów kresowych — ojczywego i matczywego. Książka, doprowadzona do wybuchu rewolucji, roztaacza obraz tak swoistego życia obyczajowego, że trudno nam, współczesnym radja i telefonji, Stalina i Hitlera, uwierzyć, że takie zakątki z tak swoiście płynącym w nich życiem, mogły istnieć jeszcze za naszej dobrej pamięci.

Zwraca uwagę faktura książki, wywodzącej się z rozległego staropolskiego gawędziarstwa, a przecież opartej na zwartej konstrukcji i nitowanej nieoczekiwaniami skrótami.

OPIERZONA REWOLUCJA

Nowa Serja Roju — cena zł. 3.—

Książka jest ilustrowana karykaturami na życie w Sowietach roboty Deni, Czerniaka, Jefimowa i innych karykaturzystów w sowieckich oraz zdjęciami, wśród których wyróżniają się zdjęcia Debabowa, Mikulinej, Zelmy i Smirnowa. Nawet przerywniki i ornamentacje w książce rysowane są przez sowieckich malarzy.

Książka jest podzielona na 9 części, noszących następujące tytuły:

ODJAZD TORPEDĄ CZASU
ZIEMŁAK
NA KAPITAŃSKIM MOSTKU
MILJON WOLT „HOSPODI POMIŁUJ”
OPIERZONA REWOLUCJA
STAWKA NA CZŁOWIEKA
NA ŚMIECH — ZA WCZEŚNIE
START OD WIELBŁADZIEJ NORMY
BŁĄD PARALAKTYCZNY.

poprzednio ukazały się:

W KOŚCIOŁACH MEKSYKU	Zł. 1.95
STRZĘPY EPOPEI (II wyd.)	„ 1.80
SZPITAL W CICHINICZACH (II wyd.)	„ 2.—

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”



Biblioteka WSP Kielce



0169929

...ob...
turz st...
...zn...